



Biblioteka Politechniki Krakowskiej



10000231520





DR. MAREK PIEKARSKI

# J. I. KRASZEWSKIEGO


## ŻYCIE I DZIEŁA



WE LWOWIE — 1912

MACIERZ POLSKA — ADMINISTRACJA W GMACHU SEJMOWYM





JÓZEFA IGNACEGO KRASZEWSKIEGO  
ŻYCIE I DZIEŁA



*J. H. M. C. W. G.*





# JÓZEFA IGNACEGO KRASZEWSKIEGO

## ŻYCIE I DZIEŁA

NAPISAŁ

**DR. MAREK PIEKARSKI**

Z LICZNYMI RYCINAMI

---

---

**Cena 2 Korony**

---

---

WE LWOWIE  
MACIERZ POLSKA  
ADMINISTRACJA W GMACHU SEJMOWYM  
1912



II. 37. 376

Akc. Nr. 12 3893/58

CZĘŚĆ PIERWSZA.

## ŻYCIE J. I. KRASZEWSKIEGO.

---

W Dołhem i Romanowie. — W Białej, Lublinie i Świsłoczy.

---

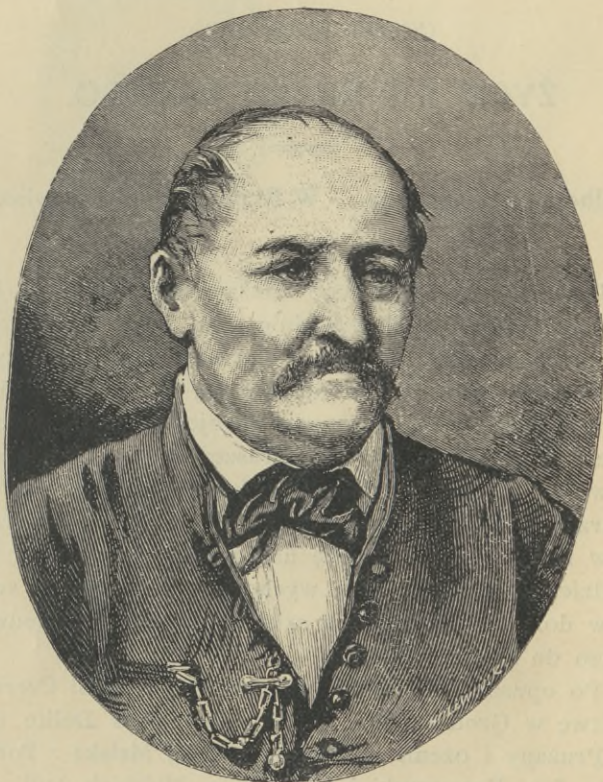
Dziadek Józefa Ignacego Kraszewskiego Kajetan, Łowczy Trębowelski, stracił wczesnie ojca, więc wychował się pod opieką możnej rodziny Potockich. Umiał on zyskać względy i zaufanie swych opiekunów, to też przy ich pomocy powiększył odziedziczony po ojcu majątek, położony na Rusi Czerwonej. Kajetan Kraszewski ożenił się z Michałowską, a z małżeństwa tego urodził się syn, któremu na chrzcie świętym dano imię Jan. Po wczesnej śmierci rodziców krewni objęli opiekę nad małoletnim Jasiem i nad jego dziedzictwem. Sierota wychowywał się dosyć swobodnie w domu, a następnie w szkole i wyrósł na młodzieńca dobrego do tańca i różańca.

Po opuszczeniu szkół przeniósł się z Rusi Czerwonej na Litwę w Grodzieńskie, gdzie nabył wieś Dołhe niedaleko Prużany i ożenił się z panną Zofią Malską z Podlasia. Ten to Jan Kraszewski i ta Zofia z Malskich byli rodzicami Józefa Ignacego Kraszewskiego.

Pan Jan miał złote serce i poczciwą naturę Kraszewskich, ale lubiał pożartować i pohulać w czasach kawalerskich, ustatkował się jednak zupełnie, skoro się ożenił. Żywłość i wesołość zostały mu jednak na zawsze. Miał wielką bystrość umysłu i dar spostrzegawczy, a opowiadać umiał tak zajmująco, że wszystkich słuchaczy chwycił za serce.

Czytał chętnie powieści, poezye i sam potrafił napisać układny i dowcipny wierszyk. W muzyce miał wielkie zamiłowanie.

Matka naszego pisarza Zofia z Malskich odznaczała się wielkimi cnotami: pobożnością, łagodnością i wyrozumiałością, to też cieszyła się sympatją i czcią ogólną.



Jan Kraszewski, ojciec Józefa.

Nadszedł rok 1812: Napoleon gotował się do wyprawy na Rosyę, a droga wypadła mu przez Litwę. Pan Jan nie chciał narażać żony na niebezpieczeństwo wojny, więc wysłał ją z teściową do Warszawy, gdzie zamieszkały w domu zajezdnym (dawnym pałacu Słuszków) przy ulicy Aleksan-

drya. Tutaj dnia 28. lipca 1812. r. przyszedł na świat Józef Ignacy Kraszewski, który potem zdobył sobie nieśmiertelną sławę swojemi dziełami i zasłużył na wdzięczność całego narodu.

Rok cały po urodzeniu syna spędziła pani Kraszewska w różnych miejscowościach, korzystając z gościny u znajo-



Zofia Kraszewska, matka Józefa.

mych; dopiero po roku przywiozła synka ojcu do Dołhego, gdy już na Litwie po odwrócie Napoleona spokojniejsze czasy nastąpiły. Chłopczyk wychowywał się częścią w Dołhem pod okiem rodziców, częścią zaś w Romanowie na Podlasiu w domu babki Anny Malskiej.

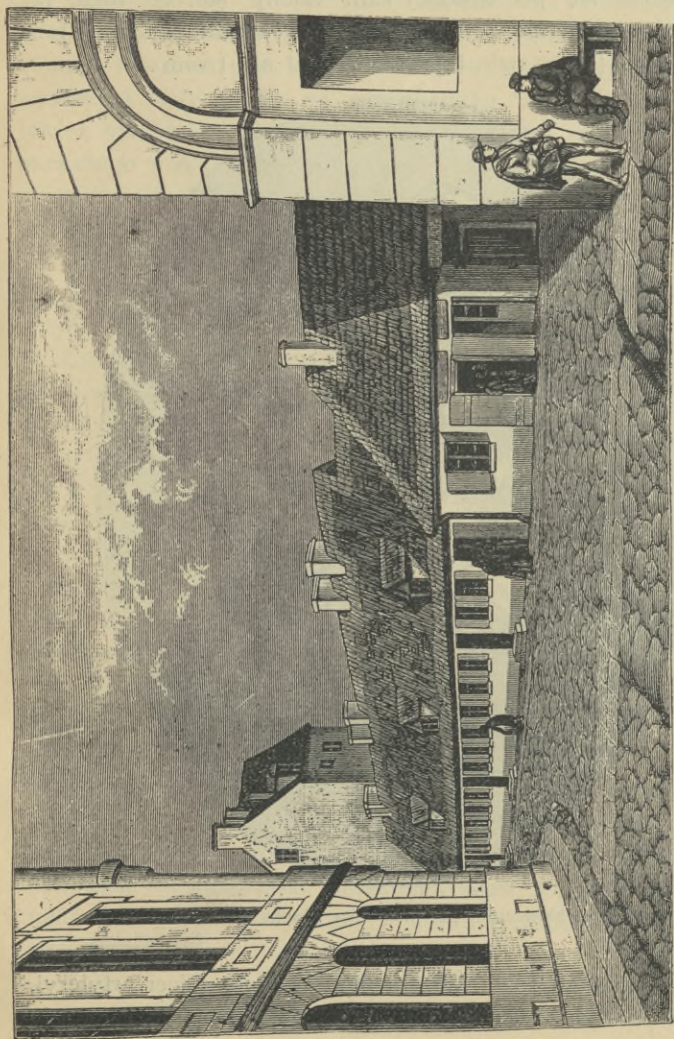
W domu pan Jan, jak wspomnieliśmy wyżej, umiał tak pięknie opowiadać, że synek słuchał jego historii ze zapałym oddechem, a co sobie z tych opowiadań zapamiętał, to powtórzył później w swoich powieściach. Do domu rodziców zaglądali sąsiedzi, a między nimi były ciekawe figury:

Wózkiem przyjeżdżał, a niekiedy pieszo przychodził kapitan Sobolewski. Mężczyzna to był dobrze stary, łysy, twarz szeroka i blada, usta wielkie, postawa żołnierska, ubiór staroświecki, najczęściej frak makowego koloru, z fajeczką o krótkim cybuszku w ustach i z kapciuchem na guziku. Gdy ten zaczął opowiadać, to było co słuchać: jak on to służył we wojsku francuskim, jak to walczył we Włoszech, jak to jadał szczury podczas jakiegoś oblężenia przez nieprzyjaciół. Opowiadając, umiał trzymać fajeczkę w kąciku ust. Do Dołhego przychodził także o kiju stary Jan Dołęga Dołubowski z wierszami osobliwymi i rubaszną wesołością i wielu innych.

Wszystkie te figury opisał Kraszewski we *Wspomnieniach*, napisanych i drukowanych w późniejszych czasach, oraz w innych utworach. W tych *Wspomnieniach* czytamy także o szczęśliwych chwilach dzieciństwa, spędzonych u dziadków. Również w pięknej powieści p. t.: *Boża czeladka* wprowadza później Kraszewski osoby i zwyczaje, które bardzo przypominają dziadka i babkę, ich otoczenie, oraz życie w ich dworku.

W dworku tym żyła jeszcze sędziwa prababka, matka pani Malskiej, która nie mogła się nacieszyć ukochanym prawnukiem i strzegła go jak oka w głowie. Prababka ta, którą nazywano babką białą, gdyż się najczęściej w suknie białe ubierała, była pierwszą nauczycielką i drugą matką małego Józia. W jej pokoju spędzał dni całe, łóżeczko jego tam stało; ona z nim odmawiała ranne i wieczorne modlitwy; ona uczyła go czytać na kalendarzu i wpajała w niego najszlachetniejsze zasady np. żeby za złe odpłacał dobrem.

Również dziadek i babka chętnie się zajmowali wnukiem. Młodziutki chłopczyzna lubił słuchać i marzyć, gdy opowiadali o dawnych czasach, gdy babka Anna Malska



Dom w Warszawie przy ulicy Aleksandrya, w którym urodził się J. I. Kraszewski.

wieczorami czytała głośno książki, a dziadek Błażej Malski przechadzał się po wielkiej sali. Zacny starzec miał łzy w oczach, gdy żona czytała sławną mowę abdykacyjną Jana Kazimierza. (W mowie tej król zrzekł się tronu).



Konstanca Nowomiejska, prababka Józefa Kraszewskiego.

Wuj małego Józia Wiktor Malski, były oficer artylerji, człowiek bardzo wykształcony, malarz, duszą artysta, ale zarazem zapalony myśliwy czytywał wiele i zajmował się literaturą. Z oficyalistów warto wspomnieć jednego: rachmistrza Więckiewicza, który przy stole bywał milczący, ale stanąwszy przed gankiem, spluwając często, prawił o dawnych



czasach, powtarzając ze zapałem jedno po sto razy. Godzinami grywał na skrzypcach, to znowu polował zawzięcie.

Zjawiali się i sąsiedzi w Romanowie. Pewnego razu przybył do dziadka jakiś szlachcic w paradnym stroju na obiad i bawił aż pod wieczór. Gdy wyjechał bryką za dom, wyszedł i mały Józio na przechadzkę w tę samą stronę. Jakież było jego zdziwienie, gdy pod lasem zobaczył owego paradnego gościa, siedzącego na suchym rowie i strój kosztowny mieniającego na płócienny kitel i kozłowe buty. Dało to chłopczynie pierwszą naukę oszczędności.

W Romanowie nie brakowało i życia umysłowego: listy, dzienniki, książki, czasem ludzie, którzy je z daleka przywozili. Pierwsze poezye Mickiewicza czytano w odpisie, bo drukowanych nie można było dostać. Jak dziadka, babkę, tak i wuja interesowało wszystko, co się w kraju i za granicą działo; czytano chciwie, rozprawiano wiele.

Wszystkie dawne zwyczaje zachowały się święcie i wierne w Romanowie. Obchodzono doroczne uroczystości wedle form starych. Balów i zabaw wrzaskliwych nie urządzano, ale we dworku dosyć było gwarno. Na obiad i wieczerzę uderzano w bęben i naówczas schodzili się wszyscy domownicy do stołu, gdzie rozmawiano z ożywieniem o sprawach domowych i publicznych.

W takim to środowisku spędzał miesiące i lata całe przyszły powieściopisarz, patrzył na wszystko ciekawie, notował sobie w pamięci, a potem w swoich powieściach wskrzeszał dawne czasy i dawnych ludzi. Gdy podrósł, towarzyszył wujowi w polowaniach. Okazywał wielki pociąg do rysunków, do pisania zaś rwał się już od dzieciństwa. Przepadał za książkami polskimi, choć rozumiał po francusku i książek francuskich w domu dziadków miał podostatkiem.

---

W roku 1822, gdy Józef Ignacy ukończył dziesiąty rok życia, oddano go do szkoły wydziałowej w Białej na Podlasiu. Szkoła ta zwała się akademią, bo za czasów Rze-

czypospolitej była kolonią akademii. Kraszewskiego oddano na stancję do domu rektora tej szkoły Józefa Preyssa, który oddał się zupełnie wychowaniu i nauczaniu powierzonej sobie młodzieży. Pani rektorowa obchodziła się z jasnowłosym, rumianym chłopczykiem jak matka; syn rektora Aleksander i Jan Gloger, który opisał później ten pobyt Kraszewskiego w Białej, byli miłymi towarzyszami na stancyi.

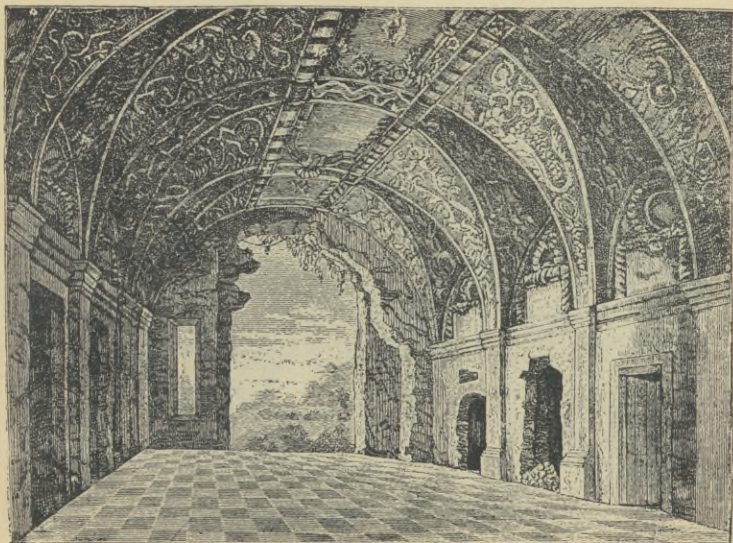


Zamek Radziwiłłowski w Białej.

W tej szkole spędził Kraszewski cztery lata a uczył się: religii, języka polskiego, łacińskiego, francuskiego i niemieckiego, geografii, historii powszechnej i polskiej, nauk przyrodniczych i matematyki. Profesor języka polskiego Adam Bartoszewicz posiadał ogromne księgi wypisów z poetów polskich i chętnie ich uczniom pożyczał, mógł więc młodzieńcy Kraszewski, zapalony do czytania, poznać poezye Krasickiego, Naruszewicza, Niemcewicza, Brodzińskiego, a wreszcie i Mickiewicza i sam zabrał się nie na żarty do rymowania. Na strychu w gmachu szkolnym znalazł stosy starych książek i zaczął je przeglądać z największą cieka-

wością, nie dając się odstraszyć szczerom ani warstwom pyłu. To zamiłowanie do starych ksiązek zostało mu na całe życie.

W Białej wznosił się stary zamek Radziwiłłowski, otoczony wałami, na których w wolnych chwilach lubił siadać Kraszewski i rozmyślać o życiu i ruchu, który tu panował w dawnych czasach.



Sala w zamku bialskim, ulubiona przez Kraszewskiego.

Owoce i inne łąkocie sprzedawała uczniom stara Fejga, u której nieraz trzeba się było zadłużyć, gdy brakło gotówki, a ochota brała zjeść smaczny pierniczek.

Bohater nasz wolał czytać książki niż przykładać się do nauki szkolnej, matematyka sprawiała mu wiele trudności; mimo wszystkiego jednak otrzymał list pochwalny, drukowany.

Z wierszy, które wówczas układał młody studencik, wymienimy balladę pod tytułem: *Klasztor na górze*, wpisana

do zeszytu koledze Glogerowi. Opisuje tutaj Kraszewski, jak to zbójcy napadli na klasztor, wymordowali zakonników, zrabowali skarby klasztorne, jak potem herszt opryszków, dręczony wyrzutami sumienia, rzucił się w przepaść, gdzie duch jego pokutuje dotąd, obrywa kawały skał i straszy ludzi.

Po ukończeniu szkół w Białej oddano czternastoletniego chłopca do szkoły wojewódzkiej w Lublinie. Nor-



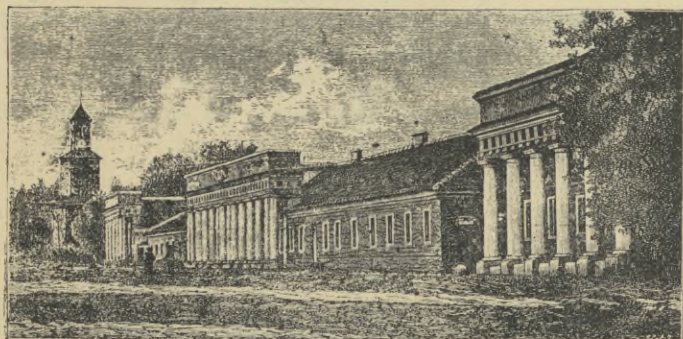
Dom w Świsloczy (niegdyś Huferta).

malnie uczęszczało się sześć lat do szkoły średniej; Kraszewski w czwartej klasie w Białej otrzymał stopień pierwszy, ale mimo to w Lublinie zapisał się jeszcze raz do tej samej klasy, bo może nie czuł się dostatecznie przygotowany do klasy piątej. Wielkich postępów w nauce nie poczynił w tym roku, bo w większym mieście za dużo było rozrywek, które nęciły. Wydał tyle pieniędzy na wiśnie i na jakieś drobiazgi, że popadł w długi i ściągnął na siebie niełaskę rodziców.

Po nudnych matematycznych zadaniach pocieszał się

nasz bohater czytaniem książek, o które łatwiej było w Lublinie niż w Białej. W mieście samem nie mało było pamiątek z lepszych czasów Polski, które wielkie wrażenie wywrzeć mogły na myślącym uczniu. W kościele Dominikanów pokazywano mu stół, gdzie podpisano unię Litwy z Polską, stare gmachy i bramy, wspaniałe kościoły zachwycały oko i podnosiły serce.

Na końcu roku spotkał Kraszewskiego zawód: nie dostał nagrody ani pochwały, więc rozdrażniony podczas uroczystego czytania listy uczniów odznaczonych rzucił książkami i zeszytami o podłogę i opuścił salę.

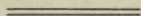


Gmach w Świsłoczy (niegdyś gimnazjalny).

Po wakacjach, spędzonych w Dołhem, oddał go ojciec na ostatnie dwa lata do gimnazjum w Świsłoczy na Litwie i umieścił na stancyi w drewnianym domku Huferta, ocienionym starymi kasztanami. Tutaj ukończył Kraszewski dwie najwyższe klasy szkoły średniej (piątą i szóstą) i bardzo wiele się nauczył. Nic tutaj nie odrywało uczniów od książki; w małym miasteczku nie było zabaw ani rozrywek, któreby odciągały od nauki. Kto się nie chciał zanudzić, ten zabierał się do czytania. Kraszewski nauczył się po rosyjsku, szczerzej i sumienniej oddał się nauce języka łacińskiego i greckiego, wielkie też postępy poczynił w znajomości języka i literatury polskiej. Czytał dzieła pisarzy pol-

skich złotego wieku: Reja, Górnickiego i Kochanowskiego, układał słownik wyrazów staropolskich, które wyszły z użycia; wogóle zapragnął zdobyć jak najobszerniejszą i jak najgruntowniejszą wiedzę. Do pracy a szczególnie do sumiennego poznania języka i literatury polskiej zachęcał go ulubiony profesor Walicki, człowiek rozumny i zacny, prawdziwy przyjaciel młodzieży. Później napisze Kraszewski *Powieść bez tytułu*, a w tej powieści przedstawi uczonego i poczciwego profesora, który daje rady uczniowi Szarskiemu, piszącemu wiersze. Domyślamy się, że profesorem owym jest Walicki, a uczniem-poetą sam Kraszewski.

Dwa lata w Świsłoczy minęły w mgnieniu oka. Józef Ignacy otrzymał nagrodę i świadectwo dojrzałości, które upoważniało go do zapisania się na uniwersytet.



## We Wilnie.

---

Na wakacje pojechał znowu do domu rodziców do Dołwego, a we wrześniu 1829. r. jako siedemnastoletni młodzieniec wybrał się do Wilna, prastarej stolicy Litwy, na uniwersytet. W drodze zaskoczyła go burza, którą opisał wierszem w liście do matki. Czytamy więc w tym liście takie rymy:

Z początku deszczyk kropił z wolna i nieznacznie,  
Ale potem za kołnierz jak nam łać nie zacznie!...  
Płyną strugi po sukniach, po bryce i koniach,  
Coraz gęstsze kałuże, już płynamy w toniach...  
.....  
A niekiedy pioruny bijące z daleka,  
Światłem swem wskazywały człowiekowi człeka.

U spodu tego listu narysował nieszczęśliwy podróżny aniołka z rozpostartymi skrzydełkami, a poniżej dwa dyabełki; widzimy więc, że w rysunkach zrobił znaczne postępy.

Pierwsze dni po przybyciu do Wilna były pełne zajęć i zachwytu. Jak gdyby się obawiał, żeby mu wszystko nie pouciekało, obejrzeć chciał zarazem całe Wilno, pamiątki jego, okolice i osobliwości. Drapał się na górę zamkową, zwiedzał zwaliska Górnego Zamku, katedrę, Ostrą bramę. Obiegał kościoły, zachwycał się uroczemi wieżami tego grodu, który patrzył na tyle wieków, bohaterów, ludów. Nie było chwili, żeby odetchnąć, bo z jednej strony wpisy, rozpoczynające się wykłady, z drugiej porywające życie akademickie pochłaniało czas. Ojciec umieścił syna w kanonicznej

kamienicy, w której na dole wynajął mu dwa pokoiki i polecił go opiece krewnych, mieszkających we Wilnie.

Uniwersytet wileński dawniej, kiedy w nim uczył się Adam Mickiewicz, stał bardzo wysoko, bo miał znakomitych profesorów i niezwykle szlachetne grono młodzieży. Kiedy jednak rząd rosyjski wytoczył proces najlepszym uczniom uniwersytetu, posadzając ich o spiski i bunt, kiedy wielu z nich w roku 1824. osadzono we więzieniu lub wywieziono w głąb Rosyi, kiedy najmądrzejsi profesorowie pomarli lub ustąpili, wówczas uniwersytet zaczął się chylić ku upadkowi.

W roku 1829, kiedy Kraszewski przyjechał do Wilna i zapisał się na wydział wymowy i sztuk wyzwolonych, czyli literacki, zastał tu jeszcze bardzo sumiennego i pracowitego profesora Leona Borowskiego, od którego dawniej Mickiewicz wiele się nauczył. Borowski rozmawiał kilka razy z Kraszewskim i zachęcał go do pisania, z czego młodzieniec był dumny.

W powieści pod tytułem: *Pamiętniki nieznanego* czytamy bardzo piękny list syna do matki. Synem tym jest właśnie sam Kraszewski, więc przytoczymy z listu te wyjątki, które nam malują życie i sposób myślenia młodzieńca:

»O moja matuniu, skarby drogie są w nauce! nie myśl, bym je miał zaniedbywać, nie lękaj się także, bym Boga z oczu stracił. Nauczyłaś mnie widzieć Go wszędzie, szukać Go zawsze i obejść się teraz bez Niego nie mogę. Nie myśl, bym dla poezyi naukę rzucił... Poezya nie wyłącza nauki, owszem obejść się bez niej nie może.

Opiszę ci, matuniu, moje zatrudnienia, abyś się przekonała, że nie próżnuję przecie. Uczę się, czego pragnąłem i uczę się z zapałem. W ciągu tygodnia uczęszczam regularnie na lekcyje, które mi przypadają w różnych godzinach przed- i poobiednich. Oprócz języków, historii, literatury i tego, co do oddziały mego należy, chodzę na lekcyje malarstwa, rysuję z natury«.

Podobnie pisze Kraszewski do ojca: »Ten rok, kiedy mi raz pierwszy w życiu bogate języków i nauk stworzył





Kościół św. Jana i gmach dawnego uniwersytetu w Wilnie.

skarby, obudził nieznany zapal do nauki. Czuję, że jej moje życie poświęcę i dla niej jestem stworzony. Jeżeli kto na świecie się nudzi, niech się uczy, a uzna, że jedna tylko nauka i praca umysłowa może człowieka uszczęśliwić».

Nie myślmj jednak, żeby młody akademik ustawicznie ślęczał nad książką i wcale nie wyglądał z domu. Owszem lubił się zabawić w towarzystwie kolegów, których odwiedzał lub gościł u siebie, lubił wycieczki zamiejskie i waleśanie się między tłumem po ulicach miasta, dla zbierania wzorków z przechodniów, których potem wprowadzał do swoich powieści. Zaglądał także do kawiarni studenckiej, gdzie spędzał wieczory w gwarnej towarzystwie młodzieży.

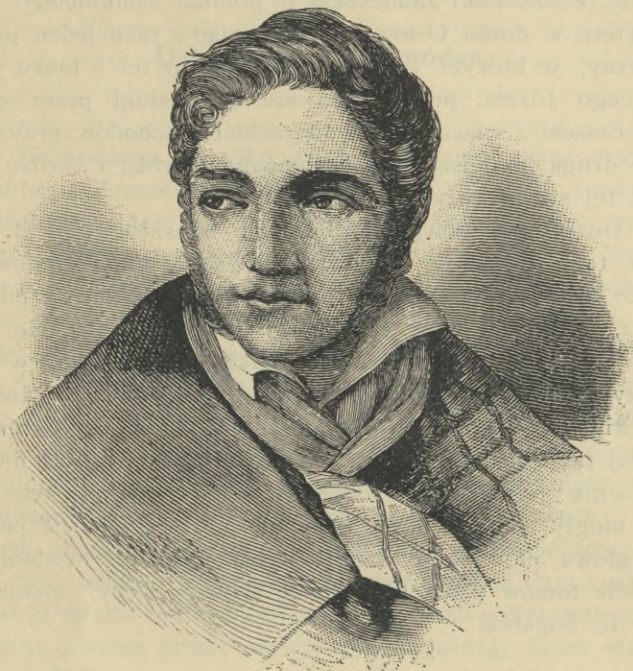
Już na pierwszym roku uniwersytetu napisał kilka krótszych i dłuższych powieści, ale przed rodzicami nie przyznawał się do nich, zapewniając ich głównie o swoich postępach w nauce. Ojciec bowiem nie byłby zadowolony, gdyby wiedział, że syn jego ma zamiar zostać literatem. Zdawało mu się, że synowi obywatela taki zawód nie przystoi. Nie przewidywał wówczas pan Jan, że syn jego rozsławi imię Kraszewskich po całej Polsce.

Egzamina po pierwszym roku zdał Józef szczęśliwie, a na wakacye przygotował sobie różne zajęcia: miał pisać rozprawę naukową, układać historję języka polskiego, skracać czterotomową gramatykę arabską. O tem wszystkim pisał otwarcie do ojca, a po cichu marzył o nowych powieściach.

Na talencie pisarskim Kraszewskiego poznał się młody nauczyciel gimnazyalny Hipolit Klimaszewski, człowiek pełen życia i ognia. On to zachęcił młodzieńca do pracy literackiej i przyjął dwie jego powieści do *Noworocznika literackiego*, przeznaczonego do czytania na rok 1831. Gdy jednak po wakacyach wrócił młody autor do Wilna i zabrał się znowu ochoczo do nauki i do układania powieści, odezwał go niespodziewanie od pracy wypadek niesłychanie ważny, mianowicie wybuch powstania we Warszawie w dniu 29. listopada 1830. r.

Kraszewski został uwięziony z Klimaszewskim i wielu

innymi za to, że jednał ochotników do powstania. Za karę miał służyć we wojsku rosyjskiem, tymczasem oddano go do szpitala księży Pijarów, bo go uznano chorym. Stąd pisywał bardzo smutne listy do rodziców. Obawiał się, że pomaszeruje daleko w kraj obcy, że już nie powróci do swoich, że już nie zobaczy ojca, matki ani braci. Nieszczęście to



Kraszewski w wieku młodzieńczym.

rozwinęło ducha młodzieńca i ustaliło jego charakter. Pocięgą jego w czasie tego zamknięcia były książki. Nazwałby największym nieprzyjacielem swoim tego, ktoby mu książki odebrał.

Sprawa ta skończyła się jednak dosyć pomyślnie dla Kraszewskiego. Żołnierzem nie został, bo wybawiły go od tego próśby i starania krewnych. Nie wolno mu było opu-

szczać Wilna, a więc nie mógł wracać do Dołwego do domu rodziców, których natychmiast uwiadomił o swoim uwolnieniu listem, pełnym uciechy.

Po powstaniu, które i na Litwie się szerzyło, a które skończyło się nieszczęśliwie w r. 1831, uniwersytet wileński został zamknięty, a młodzież akademicka rozprószyła się po świecie. Kraszewski zamieszkał w pobliżu zamkniętego uniwersytetu w domu Orłowskiej, zajmując z razu jeden pokój obszerny, w którym za parawanem stało też i łóżko jego służącego Józefa, przysłanego mu do posługi przez ojca; ale z czasem z własnych już literackich dochodów przynajmniej sobie drugą, mniejszą, obok położoną izdebkę i bardzo rad był z tej swojej rezydencji.

Do pisania powieści zabrał się Kraszewski na dobre; prócz tego tłómaczył z obcych języków, układał słownik polsko - rosyjsko - francuski, pracował nad historią miasta Wilna, a przecież miał jeszcze czas na zajmowanie się muzyką, w której musiał zrobić wielkie postępy, skoro sam tworzył melodye i wyrażał je nutami. Już w tych czasach zadziwia nas jego wielostronność i pracowitość, któremi później tak bardzo zasłynął. Do matki pisał wówczas młody pracownik: »Będzie czas odpocząć wtedy, gdy już ręce nie będą mogły trzymać pióra, oczy nie zobaczą liter na papierze, głowa nie usnuje myśli; wtedy, gdy już wydam ze dwieście tomów dzieł, kiedy będę sławny, ślepy, sparaliżowany i... bogaty«.

---

---

## U rodziców i w Horodcu.

---

Tymczasem w roku 1833. zniesiono zakaz wyjazdu z Wilna i Kraszewski mógł się udać do domu rodziców w Dołhem, gdzie go serdecznie powitano. Pobyt na wsi byłby bardzo przyjemny, gdyby nie złośliwe głosy krytyki, skierowane przeciw drukowanym utworom Kraszewskiego, które doszły już do Dołhego i boleśnie dotknęły ojca. Nie chciał on pozwolić synowi na dalsze zajmowanie się literaturą, a pragnął go wykierować na dobrego gospodarza. Rychło więc smutne myśli ogarnęły Józefa; wszystkie jego piękne marzenia o literaturze rozwiały się. Nie mógł się oswoić z życiem wiejskiem, które mimo wielkich przyjemności miało tę ujemną stronę, że utrudniało mu pracę literacką. Pisał jednak ciągle ukradkiem po nocach lub w nieobecności ojca. Za radą babki z wielką gorliwością zbierał materiały do historii miasta Wilna, ale i nowe powieści powstawały ciągle. A miał o czym pisać: stykał się z szlachtą, która sąsiedowała z Dołhem i widział jej wielkie wady: głupotę, samolubstwo, szachrajstwo, zepsucie kobiet, niedołęstwo mężów i t. d. Chwytał więc za pióro i opisywał to wszystko np. w powieści bardzo ciekawej i zręcznie ułożonej pod tytułem: *Cztery wesela*. Niechby szlachta czytała te książki, niechby się przestraszyła swoich błędów. A starał się autor o wyrażenie wszystkiego z największą siłą i jaskrawością.

W roku 1834. zaszła zmiana w jego położeniu, bardzo dla niego pomyślna. Oto za pozwoleniem ojca wyjechał na Polesie Wołyńskie do Horodca. Właścicielem Horodca był

pan Antoni Urbański, łagodny, serdeczny i cichy szlachcic, który się kochał w książkach i gromadził je pilnie. Biblioteka jego liczyła do 20 tysięcy tomów, nadto posiadała około 500 prześlicznych obrazów, prawdziwych arcydzieł. Pobyt w takim domu był dla Kraszewskiego rajem. Czytał pilnie książki, odnoszące się do historyi Wilna i robił z nich wyciągi, przyglądał się pięknym obrazom i nabierał pojęcia, co to są prawdziwe dzieła mistrzów. Gospodarz tak polubił młodego i sympatycznego pisarza, że go w żaden sposób nie chciał puścić do domu. Trzeba przyznać, że i Kraszewski nie bardzo się spieszył z wyjazdem, a dlaczego, zaraz się dowiemy.

Gospodyni domu Elżbieta z Kruszewskich Urbanowska, pani przezacna, bogobojna, nader starannie wychowana i wykształcona, wytworna w obejściu, miała trzy siostrzenice, które często zaglądały do Horodca. Jedna z nich panna Zofia nie na żarty spodobała się Kraszewskiemu. Była to osoba lat 18, »jaknajlepszego urodzenia i wychowania; nawet bezstronem patrząc okiem, nie można jej było odmówić najśłodsze go charakteru, najlepszych skłonności i talentów. Tak pisał Kraszewski do matki, a potwierdzali to wszyscy«. Panienka pochodziła ze ślicznej familii, bo stryj jej Jan Paweł Woronicz był arcybiskupem i znakomitym poetą polskim.

W tej to pannie Zofii Woroniczównie zakochał się 22 letni młodzieniec i wyznał jej swoją miłość. Panna odpowiedziała mu, że powinien naprzód zyskać pozwolenie jej rodziców. Kraszewski udał się natychmiast do państwa Woroniczów i został przyjęty jak najlepiej. Teraz dopiero doniósł o wszystkim własnym rodzicom, prosząc ich pisemnie o zgodę. Prośbę tę powtórzył ustnie, kiedy na wiosnę 1835. r. powrócił do Dołhego. Rodzice jednak nie pozwolili Józefowi zenić się w tak młodym wieku, a babka nie bardzo się za nim wstawiała. Wysłano zakochanego młodzieńca na kilka miesięcy do Wilna, a nie do Horodca, jakby tego pragnął.

We Wilnie przesiadywał pilnie po bibliotekach i archiwach, czytając książki, potrzebne mu do historyi Wilna. Powieści pisywał teraz mniej, natomiast od chwili zakochania się układał głównie wiersze i drukował swoje poezye razem

z utworami innych autorów we wspólnych zbiorach: w *Znizczu*, a później w *Birucie*.

Pod koniec roku 1835. wyjechał z Wilna do Dołhego, a z Dołhego za pozwoleniem rodziców udał się do Horodca i przybył tam na sam Nowy Rok 1836.

U państwa Urbanowskich zastał znowu Zofię Woroniczównę i znowu, korzystając z miłej gościny, przepędził całą zimę na Wołyniu. Kiedy powrócił do domu rodziców, rozpoczął starania o katedrę literatury polskiej na uniwersytecie w Kijowie. Dla otrzymania tej posady potrzeba było przedłożenia rozprawy naukowej, którą Kraszewski posłał do Kijowa, bo oddawna pisał *Historję języka polskiego*. Rozprawę jego uznano za najlepszą, ale posady nie otrzymał, bo rząd rosyjski w ostatniej chwili nie pozwolił na otwarcie katedry języka polskiego na uniwersytecie kijowskim.

Tymczasem ojciec, przekonawszy się o stałości uczuć syna, pojechał sam do Prawutyna na Wołyn do rodziców panny Zofii; dom państwa Woroniczów spodobał się bardzo panu Janowi, również i córka najlepsze na nim zrobiła wrażenie, więc poprosił o jej rękę dla swojego syna. Rodzice Zofii dali odpowiedź przychylną, którą ojciec przywiózł synowi do Dołhego.

Zimę roku 1836/1837, a więc trzecią z kolei, spędził Józef częścią w Horodcu u państwa Urbanowskich, częścią w Prawutyńie u rodziców narzeczonej. Dwór w Prawutyńie nawiedziło wielkie nieszczęście właśnie w czasie pobytu Kraszewskiego: umarł bowiem pan Woronicz, ojciec Zofii, a z tego powodu ślub dwojga zakochanych musiano odłożyć do następnego roku.

W jesieni tego samego roku 1837. rozpoczął Józef Ignacy gospodarkę na własną rękę, ojciec bowiem wziął dla niego w dzierżawę wieś Omelno w powiecie łuckim na Wołyniu. Ciężka to była praca na tem nowem gospodarstwie. Objął Omelno w stanie bardzo opłakanym; nawet stary, doświadczony a zasobny gospodarz musiałby się dobrze natrudzić, nakłopotać nie dojeść i nie dospać, aby wyjść na swoje; cóż dopiero mówić o gospodarzu młodym, bez do-

świadczenia i pieniędzy, a do tego literacie i zakochanym, który musiał urządzać dom na przybycie żony. Dom mieszkalny był ruderą, którą trzeba było przerabiać, poczynając od drzwi i okien. Jeden zaś pokój tego domu zajmowała jakaś lokatorka nieznośna, otoczona kupą pijaków, psów, bachorów i brudów.

Młody gospodarz z największym wysiłkiem doprowadził mieszkanie do jakiegoś ładu i wprowadził w nie ukochaną żonę, z którą wziął ślub w czerwcu 1838. roku w kaplicy



Omelno. Dom mieszkalny Kraszewskiego.

domowej w Prawutynie. Po ślubie odwiedzili państwo Józefowie krewnych i znajomych, a przedewszystkiem rodziców w Dołhem, potem babkę i prababkę w Romanowie. Z Romanowa udali się do Warszawy, gdzie także mieli krewnych.

We Warszawie w świecie literackim nie doznał Kraszewski takiego przyjęcia, jakiego się mógł spodziewać autor wprawdzie młody wiekiem, ale już wsławiony licznymi utworami. Mało serdeczności okazał mu również sławny wówczas malarz January Suchodolski, kiedy młody powieściopisarz zwiedzał jego pracownię. Kraszewski bowiem korzystał z po-



bytu w stolicy w ten sposób, że się zajął gorliwie malarstwem, a nawet pobierał lekcye u jednego z warszawskich malarzy.

Na zimę 1838/1839. powrócili młodzi małżonkowie do Omelna, ale więcej przebywali u wujostwa w Horodcu niż u siebie w domu. Ogółem spędził Kraszewski na dzierżawie w Omelni trzy lata od 1837—1840, które mimo kłopotów gospodarskich były wcale szczęśliwe: tutaj się ożenił, tutaj żona powiła mu pierwszą córeczkę na wiosnę 1839. roku. Pani Zofia okazała się znakomitą gospodynią, wyręczała więc męża we wielu zajęciach gospodarskich, a on tymczasem mógł się poświęcić ulubionym pracom literackim.

Z artykułów, pomieszczanych po różnych czasopismach, dwa, drukowane w Tygodniku Petersburskim w r. 1837, wielkie wywarły wrażenie i wiele narobiły hałasu: 1) *Fak się robią nowe książki ze starych książek*, 2) *Asmodeusz*.

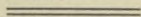
W pierwszym z tych artykułów dowodzi Kraszewski z wielką zręcznością i niezwykłą śmiałością, że najwięcej nowych książek powstaje w ten sposób, że autorowie odpisują ze starych dzieł, popełniając w ten sposób kradzież literacką. Tylko kilku autorów było oryginalnych. W twierdzeniu tem jest oczywiście bardzo dużo przesady, więc też posyłały się odpowiedzi, które jeszcze więcej zwróciły uwagę na młodego autora.

W *Asmodeuszu* znowu w sposób niesłychanie ostry gani i ośmiesza Kraszewski cywilizację zachodu, głównie Francyi i piętnuje książki francuskie, które według niego szerzą tylko płytkość i zepsucie.

Z wielu powieści, napisanych w Dołhem, Horodcu i Omelni, wymieniamy tylko jedną najcelniejszą: *Poeta i świat*. Powieści tej nie chciano drukować w Warszawie, więc wyszła w Poznaniu w r. 1840. W tym samym roku wyszło także: *Wspomnienie Wołynia, Polesia i Litwy*.

W ostatnich miesiącach pobytu w Omelni poznał Kraszewski hrabiego Henryka Rzewuskiego, człowieka niepospolitych zdolności, niemałego doświadczenia, wsławionego już mistrzowskim utworem pod tytułem: »Pamiętki Imci

Pana Seweryna Soplicy«. Mieszkał on na Wołyniu w Cudnowie i zaprosił do siebie wielu sławnych literatów, a między nimi Kraszewskiego. Znajomość ta sprawiła naszemu autorowi wiele kłopotu, bo Rzewuski napisał potem książki, które obraził boleśnie cały naród Polski, a Kraszewskiego posądzano, że pochwała te utwory i wogóle szkodliwe poglądy Rzewuskiego.



## W Gródku.

---

W roku 1840. porzucił Kraszewski dzierżawę Omelna, a nabył wieś Gródek w dobrej ziemi niedaleko Łucka. Wieś tę pięknie wierszem opisał:

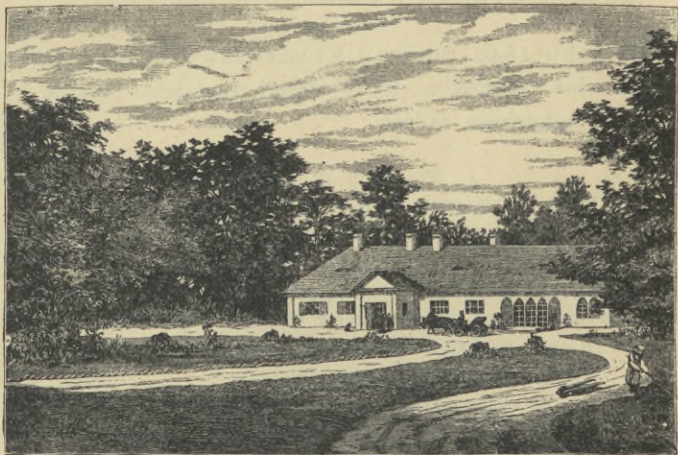
Poglądnij ze wzgórza:

Wzrok leci zadumany, w zieleniach się nurza,  
I nie chce mu się wracać, tak to kraj uroczy!  
Jeszcze go czuje serce, jeszcze widzą oczy.  
Nad zielonemi łąki, rzeczką przeciętymi,  
Piętrzą się wzgórze, śmiejąc ku niebu od ziemi;  
Tu ówdzie chatka biała, jak grzybek wyrosła,  
Ocieniona gruszami, okolona płotem,  
Dalej stodółka starą strzechę swą podniosła,  
I w koło pola, gaje, przetykane złotem  
I szmaragdowe łąki i wioski bez liku,  
Cerkiewek i kościółków, jakby na obrazku...  
Tam domek stary skrył się wśród gąszczy gaiku,  
Tam pasieka dymi w lasku,  
Wygony jak kobierce prześcielają łąny,  
Wsie ciekawe na wzgórze patrzeć się wybiegły,  
A kraj gdyby malowany,  
A widok jak sen rozległy.

W Gródku spędził Kraszewski lat dziewięć (od 1840. do 1849.), a życie jego w tym czasie, chociaż nieraz zatrute przykrościami, miało i przyjemne strony. Ze strony arystokracji doznał Kraszewski wielu dowodów przychylności i sympatii: wielcy panowie zapraszali go do siebie i na-

wzajem odwiedzali w jego domu np. księżęta Lubomirscy, Sanguszkowie i inni. Pierwsze dwa lata na nowem gospodarstwie upłynęły bardzo szczęśliwie: urodzaj był piękny, zboże dobrze płacono, państwo Urbanowscy w trudnych chwilach spieszyli z pomocą, a sława literacka rosła.

Wkrótce jednak nadeszły gorsze czasy: pieniądze rozeszły się na przebudowanie domu, na postawienie budynków gospodarczych, na dokupienie żywego inwentarza, na proces z powodu jakiegoś długu, ciężącego na kupionej wiosce, wreszcie na chorobę żony i dzieci. Kraszewski także coraz



Dom mieszkalny Kraszewskiego w Gródku.

częściej zapadał na zdrowiu. Ukochana prababka Nowomiejska umarła, a po niej zacny wuj Urbanowski poszedł także na wieczny odpoczynek. Chwilami było niestrudzonemu pracownikowi bardzo smutno i bardzo ciężko. Czekał z niecierpliwością i tęsknotą, rychło go odwiedzi ktoś z rodziny: babka, rodzice lub siostra. Takimi odwiedzinami cieszył się jak dziecko i długo je mile wspominał. Wogóle rodzinę swoją kochał Józef tkliwie, ciągle pisywał jak najserdeczniejsze listy do braci, do rodziców, do babki; na to nie brakło mu nigdy czasu. Należy pamiętać, że pisanie listów pochła-

niało mu całe godziny, gdyż zostawał w stosunkach listownych z wielką liczbą literatów, księgarzy, wydawców, przyjaciół i znajomych.

A jednak umiał znaleźć wolną chwilę na ćwiczenie się w muzyce, w której nabył znacznej biegłości i w malarstwie, któremu się oddawał z zapałem i powodzeniem, bo obrazy przez niego malowane chętnie kupowano. Przy tem wszystkim nie ustawał w pisaniu powieści, rozpraw naukowych, poezyi i wspomnień.

Nie lubiał, gdy go odwiedzali nudni sąsiedzi i przeskadzali mu w pracy, oni zaś za złe mu brali to ślęczenie nad książkami i poza oczy żartowali sobie z niego i z jego zajęć umysłowych. Inni znowu gniewali się na pisarza, bo im się zdawało, że ich ośmieszył w jakiejś powieści. W takich to warunkach pracował Kraszewski na wsi, poznajemy najlepiej z listu, napisanego przez niego i drukowanego w *Tygodniku petersburskim*, z którego wyjątki przytoczymy:

»Człowiek porywa pióro i rzuca, siada pisać i wstaje, chciałby tworzyć a nie może. Gdy się wreszcie zdecydował, machnął ręką i odpędził natrętne myśli, usiadł i począł, wtem wpadł ktoś, wszedł z potrzebnem zawsze zapytaniem o stodołę, owcach, gorzelní — i wszystko popsuł. Ale narazie otrząsnąłeś się z gospodarstwa, zdałeś się choćby na złodziei, spodziewając się, że przynajmniej nie wiele ci ukradną i pokonczyłeś interesa, zapłaciwszy dla spokojności dwa razy jedno, wróciłeś do domu, odpocząłeś; uśmiechnęła się żona, przywitało cię dziecko, rozruszały cię książki nowe, któreś czytał, siadasz do pracy, roją się myśli, układasz plany... znowu jesteś w swoim żywiole...

Trzask z bicza!... Ktoś przyjechał... Tak — odpowiada ci żona po cichu — istotnie ktoś przyjechał. A więc precz książki, precz papier i pióra, precz myśli! Wypogódź czoło, idź, podziękuj gościowi, że cię odwiedził, że o tobie pamiętał. I tak się też robi: trzeba być uprzejmym, uśmiechającym się, zapraszającym; trzeba nie puszczać, trzeba rozmawiać o pogodzie, o urodzajach, o sąsiedztwie; trzeba siedzieć jak na mękach, udawać wesołego, szczęśliwego! Trzeba, mówię, bo

inaczej ogłoszą cię za człowieka, który nie umie żyć z ludźmi, powiedzą, żeś dumny, zarozumiały...

Zbyłeś gościa jednego, wjeżdża drugi: przyjacielu jak się masz? Niema co mówić, wszyscyśmy przyjaciele! Bierze na sekret; ważne wiadomości: tam mówiono o tobie to i to. Niepodobna, żeby najrozumniejszego nawet człowieka najgłupsza czasem plotka nie dotknęła. Otóż i po spokojności. Wije ci się po głowie myśl niepotrzebna i dręczy jak soliter.

Wyjechał nareszcie roznosiciel plotek z nowemi plotkami dalej i już jesteś wolny. Nadjeżdża posłaniec. Czego tam? Pan i pani proszą o książki. Dajesz książki, bo oddałbyś duszę, żeby się uwolnić. W tydzień odbierasz książki oszarpane, poplamione, podarte i zamiast podziękowania list z wymówkami, żeś chyba na szyderstwo i żart dał takie rzeczy do czytania: jedna książka była zanadto rozumna, druga za głupia, (znajdźże środek, kiedyś mądry) trzecia nieprzyzwoita, czwarta nie nowa, a piąta usypiała skutecznie. Pożyczajże drugi raz książki!

Już znowu siadasz. Wieczór nadchodzi, swobodny wieczór, bo wieczorem rzadszy gość, nie przychodzą listy i nie latają daleko plotki; pewny jesteś odpoczynku. Gdzie tam! Oto wchodzi ekonom, któremu sto razy powtarzać musisz do zrozumienia dyspozycję na jutro (a jednak jej nie spełni); dają ci znać, że przyszli żołnierze, a ty ich musisz rozstawiać; tu znowu potrzebują furmanek pod przechód i t. d. Otóż i wieczór ci przepadł. Szczęśliwyś, jeśliś skończył to wszystko do dziesiątej i już, spojrzawszy na zegar, liczysz sobie cztery godziny wolne, bo ledwie spocziesz o drugiej. Ale w tej chwili jakże nie pomówić z biedną żoną, która cały dzień w milczeniu strawiła nad robotą i książką? jak nie pobawić się z dziecięciem, które ku tobie rączki wyciąga. Tak prędko biegną godziny. Północ, ucichło, wszyscy spać idą — godzina pracy. Wtem czujesz, jak całodzienną wrzawą, niepokojem rozdrażnione nerwy drgają w tobie, jak głowa ci się płomieni, jak oczy pieką, krew wre po żyłach. Siadasz i wstajesz, padasz wreszcie bezsilny na łóżko, bo ci sił nie

stało. Ciągłe chciałeś coś robić, a jednak nic nie zrobiłeś, dzień przepadł».

Sąsiedzi, przeczytawszy takie narzekania autora, przestali go trapić swojemi odwiedzinami, z czego on był zadowolony, bo mógł swobodniej pracować.

Zajęcia gospodarskie były uciążliwe dla literata, ale poetyczną piękność zawodu rolnika umiał ocenić Kraszewski, bo opisał w prześliczny sposób nadzieje i obawy wieśniaka: »Każdy posiew tak go zajmował gorąco, jakby dramat namiętnego widza. Co będzie ze wschodem ziarna? A nuż posucha? a nuż chłód? nuż się zaostrzy? nuż spóźni? nuż wybuja? A tu pogoda nigdy taka nie przyjdzie, jakiej się gospodarz spodziewa... Zeszły oziminy dobrze, ruń piękna... nadchodzi zima. Tu dopiero, co Pan Bóg da. Śnieg może paść na niezmarzłą ziemię — wyprzeje. Przez całą zimę myśli się, co to wyjdzie z pod śniegów. Nareszcie skowronek zaśpiewał... kotki na wierzbach, leszczyna kwitnie... Wiosna! Złazą powoli skorupy śniegowe... czarno. Każdego dnia co rana w pole się leci: zielenieje czy nie? W niektórych miejscach zboża ani znaku — odorywać czy nie? Czekać jeszcze? Siać na nowo? Później, czy pszenicę skosić czy nie? nuż wylegnie? Dramat urodzaju rozwija się powoli. Posucha! nieszczęście! Moczy — liście żółkniją. A co będzie na kwiat? Nuż chłody albo wiatry i ulewy... Lada burza może sypnąć gradem. W jednej godzinie całego roku praca w niwecz idzie. Wreszcie wszystko się przetrwało... Kłos nabrął, schyla się, złoci... Co to będzie we żniwa? Czy się to da zebrać sucho? A tu o robotnika trudno. Pszenica już w korpach, ale i tu porosnąć może... Zwieziono ją do stodoły? jaki będzie wydatek? jakie ziarno? dalej jakie ceny?«...

Były to jeszcze czasy, kiedy chłopci odrabiali pańszczyznę i żyli w ciężkiej biedzie. Otóż Kraszewski w swojej wiosce obchodził się z poddanymi bardzo dobrotliwie, a w pismach i listach swoich występował w ich obronie i zachęcał do poprawienia ich doli.

Gdy kłopoty gospodarskie bardzo go znudziły, gdy nużąca praca autorska wyczerpała jego siły, wówczas jechał

do rodziców lub do krewnych i tam szukał rozrywki i wytchnienia. Niekiedy znowu wydalą się z Gródka na dłuższy lub krótszy czas w interesach gospodarskich i literackich, lub dla poratowania zdrowia, był więc w tych latach w Kijowie, w Kamieńcu Podolskim, w Odessie, we Warszawie i w Druskienikach.

Kijów, miasto bardzo stare, które dawniej należało do Polski, wywarło wielkie wrażenie na Kraszewskim. Wszystkie wolne chwile obracał na zwiedzanie i oglądanie kościołów oraz innych pamiątek tego historycznego grodu, tej dawnej stolicy Rusi, większą jednak część czasu spędzał w towarzystwie głośnych autorów, którzy zjechali się w Kijowie dla wymiany myśli i dla odczytania swoich nowych utworów w zaufanem kółku. Był tu więc hr. Henryk Rzewuski, powieściopisarz, Michał Grabowski, powieściopisarz i krytyk, przebywający wówczas stale w Kijowie ksiądz Ignacy Hołowiński, u którego Kraszewski mieszkał i z którym serdeczną zawarł znajomość. Wogóle w Kijowie poznał wielu poczciwych obywateli, którzy go serdecznie do siebie zapraszali, tak im przypadł do serca.

W Kamieńcu Podolskim był Kraszewski bardzo krótko, a jednak był wzruszony głęboko na widok tej potężnej twierdzy, bronionej długo przez Polaków przeciw napadom tureckim, a zagarniętej wreszcie przez Rosyę. Oto co pisał nasz autor o tem mieście: »Nie uwierzysz, jak mi się podobał ten cudny, czarodziejsko-piękny, w tyle żywych pamiątek strojny Kamieniec! Pomimo soty, wiatru, zimna, błota latałem jak szalony i zachwycałem się. O co za miasto dla poety, dla malarza! Co za śliczna ruina!«

Lato 1843. spędził Józef Ignacy w Odessie w kąpielach morskich, któremi chciał wzmocnić organizm, osłabiony chorobą i pracą. Droga z Wołynia do Odessy prowadzi przez step nieprzejezany. Kraj ten, a nadewszystko widok zachwycający morza był dla niego zupełną nowością. »Morze zachwyciło mnie, pisał do przyjaciela; jam je śpiewał, rysował, malował, opisywał i dotąd z zapału po niem ochłonąć nie mogę. Pobyt nad morzem wprawił Kraszewskiego w lepszy



humor, bo zdrowie jego nieco się polepszyło po kilkudziesięciu kąpielach, a gorące i serdeczne przyjęcie, jakiego doznał od rodaków, bawiących w Odessie, dodało mu otuchy. Opis Odessy i podróży do niej ogłosił później drukiem.

We Warszawie bawił Kraszewski w jesieni 1846. roku, a w czasie tego pobytu spotkał się z oznakami prawdziwego uznania. Zasłużonego pisarza zapraszano na obiady, wieczory, uroczystości. To proszono, by oblubienicę powiódł do ołtarza, to zapraszano na ojca chrzestnego i t. d. Najmilszy może dla Kraszewskiego był następujący objaw czci: Zecerowie wszystkich drukarni warszawskich pragnęli obaczyć autora, którego pisma tyle im dawały zajęcia, a więc i chleba. Korzystając z obecności Kraszewskiego w jednej redakcyi, zbrali się tam wszyscy i wybrali ze swego grona mowcę, który swoim szczerem przemówieniem do łez wzruszył pisarza. Serdecznie im też podziękował.

Do Druskienik, miejscowości kąpielowej, położonej w gubernii grodzieńskiej na Litwie, wybrał się Kraszewski, przynaglony złym stanem zdrowia i silnem rozdrażnieniem. Kąpiele jednak nie pomogły mu wcale, żałował tylko, że się wynudził kilka miesięcy w tej miejscowości.

Po każdej takiej wycieczce powracał stęskniony mąż i ojciec z największą niecierpliwością do ukochanej żony i lubych dzieciak. Wspomnieć należy, że w Gródku przybyło mu dwóch synów.

W Gródku powstało wiele powieści i innych utworów, z których wymienimy tylko najważniejsze. Przedewszystkiem w roku 1840. rozpoczął wydawać Atheneum. Tak nazywał Kraszewski książki, w których różni autorowie drukowali swoje powieści, rozprawy i t. p. Książek takich wychodziło sześć rocznie, a ponieważ to wydawnictwo trwało przez 11 lat, więc zjawilo się w całości 66 tomów. Kraszewski kierował wszystkim: pisywał więc setki listów do różnych autorów, aby przysyłałi swoje utwory, nadesłane utwory czytał, porządkował, skracał, często poprawiał, następnie dopiero wysyłał do druku do Wilna, bo przecież na wsi nie mógł drukować.

Wydawanie takich zbiorowych prac jest rzeczą bardzo trudną nawet wtedy, gdy wydający mieszka we wielkiem mieście, zaopatrzonym w drukarnie, gdy współpracowników ma w pobliżu, gdy ma na miejscu księgarnie i książki; a przecież Kraszewski żył na wsi, oddalonej o kilkadziesiąt mil od większych miast, współpracownicy jego przebywali jedni w Petersburgu, drudzy w Warszawie, inni w Wilnie, inni wreszcie nie ruszali się ze swoich dworów wiejskich. Kolei żelaznych ani telegrafów nie było wcale, a w takiej pracy pospiech jest rzeczą niesłychanie ważną. Kraszewski nie miał przy sobie żadnego doradcy, ani zastępcy, ani sekretarza, jak dzisiejsi wydawcy, nie miał drukarni pod ręką, nie miał gotówki. Dzisiaj nie możemy się wydziwić, jak przez tyle lat mógł sobie dać radę z tem wydawnictwem, że znalazł na to czas przy swoich rozlicznych zajęciach, że nie brakło mu sił i ochoty.

Inni autorowie, obrażeni na Kraszewskiego z różnych powodów osobistych, występowali wrogo przeciw Atheneum i utrudniali na każdym kroku pracę wydawcy. Coraz mniej osób kupowało te książki, nieszczęśliwego wydawcę ośmieszano i oczerniano po różnych pismach, a przecież wytrwał przez lat jednaście, dziesiątki a nawet setki ludzi zachęcił do pisania swoimi listami i swymi odezwami, a tysiące do czytania, dając innym naukę, żeby dla dobra ogólnego pracować nawet wtedy bezinteresownie, gdy zamiast uznania spotykają nas nagany i prześladowania. Z ważniejszych powieści i powiastek, napisanych w Gródku, omówimy w drugiej części następujące: *Ulana*, *Ostap Bondarczuk*, i *Budnik*, nadto wspominamy dwie: *Pamiętniki nieznajomego* i *Sfinks*. Tutaj też ukończył *Historję miasta Wilna* i wydał ją w 4-ch tomach.

---

---

## W Hubinie i Żytomierzu.

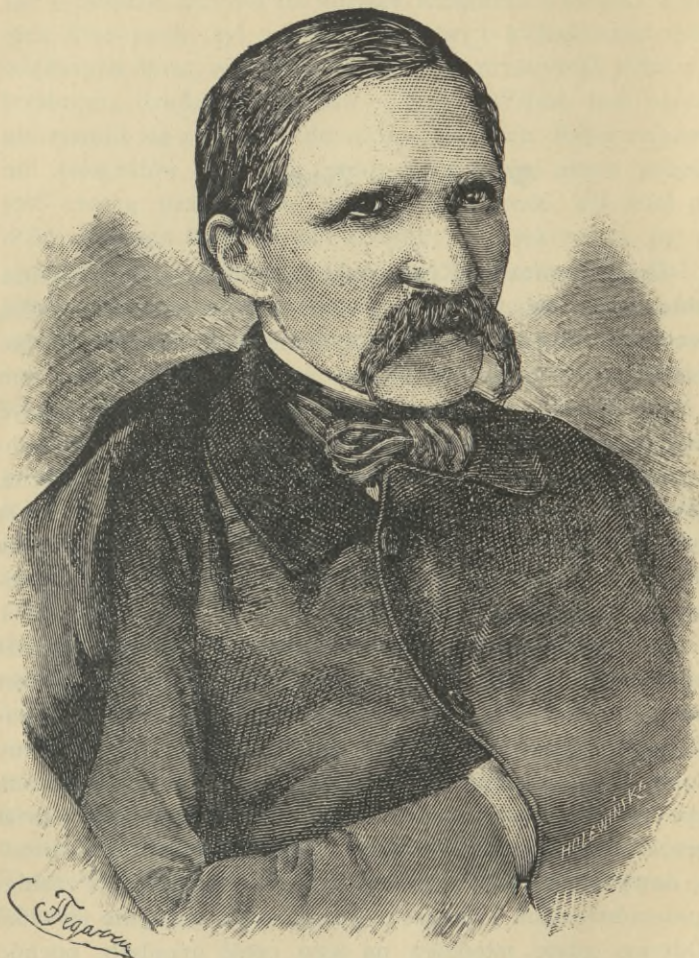
---

Gródek sprzedał Kraszewski i przeniósł się do Hubina. Hubin był to majątek odległy tylko o dwie mile od Gródka, również w pięknej ziemi Wołyńskiej. Wydawało się powieściopisarzowi, że na nowem gospodarstwie będzie mu się lepiej wiodło, że z dochodów zwiększonych zdoła pokryć wzrastające wydatki. Ale i tu nie mało kłopotów czekało na gospodarza-literata. Dom był za ciasny, urodzaje mierne, ciągłe straty i zawody. Jednem słowem gospodarka nie szła jakoś panu Józefowi. Sąsiedzi żartowali z niego, że »hreczka posiana po literacku, żyto wschodzi po łacinie, gnój w poetycznym rozrzucony nieładzie«.

Z drugiej strony w czasie pobytu w Hubinie doznał Kraszewski niejednej przyjemności: tutaj przyszła na świat druga córeczka, tutaj odwiedzali go bracia, przyjaciele i znajomi, stąd wyjeżdżał do Warszawy, do Odessy, przyjmowany w obu tych miastach z gorącym zapałem i powszechną czcią. We Warszawie zarówno szersza publiczność jak i świat literacki składał zasłużonemu powieściopisarzowi dowody uznania, dawano na cześć jego ucztę i podnoszono jego zasługi w przemówieniach i toastach. Równie miłe wrażenie wywołał z Odessy, gdzie młodzież na jego cześć urządziła pochód z pochodniami, gdzie Polacy żegnali go uroczyście i wręczyli mu na znak czci piękny jego portret.

Wszystkie te przyjemności i tryumfy zatarły się zupełnie w myśli i pamięci poety pod wpływem bolesnego ciosu, jaki weń uderzył. Oto w przeciągu dwóch dni stracił

dwie ukochane osoby: babkę Annę Malską i siostrę Annę, zmarłą w kwiecie wieku. Po ich zgonie długo się Józef nie mógł utulić w bólu.



Kraszewski w r. 1851.

Coraz większe niepowodzenia i straty w gospodarstwie odstraszyły wreszcie Kraszewskiego od pracy na roli. Widział, że boryka się daremnie z losem, że praca jego idzie

na marne, więc w roku 1853. wypuścił Hubin w dzierżawę i przeniósł się do Żytomierza.

Znowu nie wymieniamy wszystkich nowych utworów Kraszewskiego, napisanych w Hubinie; liczne rozprawy naukowe i artykuły do gazet pomijamy zupełnie, a z powieści wspomnimy tylko o najważniejszych jak: *Dziwadła, Żaryna, Ostatni z Siekierzyńskich*.

Mimo tylu kłopotów i nieszczęść, doznanych w Hubinie, wrażliwy powieściopisarz przywiązał się do tej wioski i opuszczał ją z żalem. Żal ten wyraził w serdecznym wierszyku, z którego kilka zwrotek przytaczamy:

Mnie żal mej starej wioski, jak starego świata,  
Żórawi moich studzień, plotów z chrustu tkanych,  
Gdzie z przyzbą białą czarna śmiała mi się chata  
W ogródku z wisien niskich i bzów rozczochranych.  
Żal mi i ludu tego, co z nami żył w parze,  
Sercem przy sercu naszym, z dłonią w naszej dłoni!  
Żegnajcie starzy moi bracia gospodarze!  
Cześć waszym sercom czystym, waszej siwej skroni!  
Żegnaj mi dworze, wiosko, pola i cmentarzu,  
Ludu poczciwy i ziemio poczciwa...

---

Pobył Kraszewskiego w Żytomierzu trwał lat siedm od 1853—1860. r. Życie rodzinne, gorliwa praca obywatelska, podróże i rozliczne zajęcia literackie wypełniają ten okres życia zasłużonego pisarza. Synowie dorastali, a ojciec bardzo troskliwie kierował ich wykształceniem. Starszego syna oddał do gimnazjum, reszta dzieci uczyła się w domu.

W pierwszych miesiącach pobytu w Żytomierzu przybyła do państwa Kraszewskich na dłuższy pobyt owdowiała od kilku lat pani Urbanowska, witana z największą radością przez pana Józefa i przez jego żonę. Radość ta jednak wkrótce obróciła się w ciężki smutek, gdyż zacna i ukochana staruszka ciężko zachorowała i w domu państwa Kraszewskich umarła, zapisawszy im w testamencie wieś Kisiele. Tę nową stratę odczuł boleśnie nasz powieściopisarz, bo,

jak wiemy, serdecznie kochał swoich i każda śmierć w rodzinie była dla niego źródłem łez i cierpień dotkliwych.

Straszniejszy jeszcze grom uderzył w powieściopisarza w ostatnim roku (1859.) przed opuszczeniem Żytomierza: mianowicie doszła go wieść o śmierci najdroższej matki, którą syn uwielbiał i czcił jak świętą. Otóż i ona przeniosła się w krainę wiecznej szczęśliwości, gdzie już na nią czekały babka i prababka Józefa. Wiemy, że te trzy istoty były aniołami stróżami dziecinnych lat naszego autora. Te-



Dom Kraszewskiego w Żytomierzu.

raz ostatnia z nich zesłała do grobu, a kochający syn nie mógł być nawet przy jej zgonie. Znekany i złamany cierpieniem, z rozpaczą w duszy pojechał do ojca, aby go cieszyć w ciężkim smutku, choć sam potrzebował pociechy.

O dobrem sercu pana Józefa świadczy i to, że w tych czasach przyjął w dom swój dwie sieroty, krewne żony i zajął się po ojcowsku ich wychowaniem i wykształceniem.

Troszcząc się o własną rodzinę, nie zapominał Kraszewski o dobru powszechnem. Obywatele wybrali go kuratorem honorowym gimnazjum w Żytomierzu, a on ze zwykłą mu energią i niestrudzoną gorliwością zabrał się do

spełniania obowiązków tego urzędu, który inni uważali tylko za zaszczyt.

Kraszewski kochał prawdziwie młodzież szkolną i rozumiał jej potrzeby. Nie szczędził też ani trudów ani pieniędzy, wspierał uczniów ubogich, zaopatrywał ich w książki i odzież, płacił nieraz za nich wpisowe, a nadto w swoim domu miał zawsze na utrzymaniu jeśli nie dwóch to przynajmniej jednego wychowanka, przybranego za towarzysza do swoich synów. Na jego też prośbę znakomity muzyk Apolinary Kątski dał koncert na ubogich uczniów, dla których zebrano znaczną sumę pieniężną.

Jak młodzież zrozumiała poświęcenie swojego dobroczyńcy i jak serdecznie go kochała, dowodzi tego następujące wydarzenie. Gdy szlachta zebrała się w Żytomierzu, aby wybrać kuratora na nowy okres, delegacja młodzieży szkolnej i studentów uniwersytetu dostała się do sali i zaczęła błagać zgromadzonych ojców i starszych braci, aby nie pozbawiano uczniów tak chlubnej i serdecznej opieki, jaką dotąd mieli w Kraszewskim. I wybrano go ponownie kuratorem, choć o to nie zabiegał i chociaż wielu miał niechętnych, zazdroszczących mu sławy i znaczenia.

Równie gorliwie zajął się Kraszewski urządzeniem i podniesieniem teatru w Żytomierzu, gdy obywatele powołali go na dyrektora tego przybytku sztuki narodowej, gdzie Polacy mieli możliwość przedstawiania dramatów i komedyi w ojczystym języku. Niezmordowany pracownik zasłużył się pięknie i w tej sprawie narodowi. Sprowadzał dobrych aktorów z Krakowa i ze Lwowa, starał się o zaopatrzenie garderoby, o dekoracje, o bibliotekę, kierował nawet przebudowaniem gmachu, bywał na próbach każdej nowej sztuki, a wreszcie pisywał utwory, grywane w tym teatrze.

Dodajmy do tego, że Kraszewskiego wybrano dyrektorem Klubu szlacheckiego i dyrektorem Towarzystwa Dobroczynności i że na obu tych godnościach odznaczył się szlachetnymi dążnościami i pożytecznymi usługami. W klubie teraz mniej grywano w karty, a więcej czytano gazety, książki i rozprawiano o sprawach poważnych. Dla Towa-

rzystwa Dobroczynności Kraszewski przez swoją zapobiegliwość uzyskał wiele pieniędzy i pomocy.

Trudno nam dzisiaj pojąć, jak Kraszewski mógł podołać tylu obowiązkom i tylu godnościom, nie przestając tworzyć powieści i rozpraw naukowych, odbywając podróże i zajmując się muzyką oraz malarstwem.

Ważną rolę odegrał zasłużony powieściopisarz w sprawie włościańskiej. Rząd rosyjski polecił gromadzić się szlachcie i naradzać się nad tem, w jakiby sposób należało ulżyć ciężkiej doli chłopów. Kraszewski głosił ustnie i w listach, że chłopom należy dać po kawałku gruntu i domy, a za to otrzymać od rządu odszkodowanie. Szlachta przestraszyła się takich myśli, bo się obawiała, że po oswobodzeniu chłopów nie dostanie robotników i nie utrzyma się przy swoich majątkach. Ci sami obywatele, którzy dawniej zbierali się na uczty na cześć Kraszewskiego, ogłosili go teraz wrogiem szlachty i występowali ostro przeciw niemu w gazetach i na zebraniach. Kraszewski nie uląkł się i nie przestał ujmować się za chłopami, a wówczas szlachta zrozumiała, że temu zacnemu mężowi nie idzie o własny interes lecz o sprawiedliwość. Przecież i on był szlachcicem, przecież i on miał majątek ziemski, więc i jemu oswobodzenie chłopów mogło przynieść szkodę, ale on nie chciał dłużej patrzeć na krzywdę wieśniaków. Gdy więc obywatele pojęli szlachetne i dobre chęci zasłużonego autora, zawstydzili się swego samolubstwa, przeprosili go za krzywdzące napaści i uznali jego wielkie zasługi w tylu sprawach narodowych.

Z Żytomierza wyjeżdżał Kraszewski kilkakrotnie do Kijowa lub do Warszawy. We Warszawie doznawał jak najserdeczniejszego przyjęcia i porobił mnóstwo znajomości: wszędzie witano go jako wielkiego powieściopisarza i zasłużonego obywatela.

Jadąc do Warszawy albo wracając ze stolicy, wstępował do Romanowa, gdzie teraz przeniosła się jego rodzina z Dołhego zawsze równie droga jego sercu.

Ale w tym czasie odbył także Kraszewski dłuższą czteromiesięczną podróż za granicę i zwiedził Austryę, Wło-



chy, Francję i Niemcy, zatrzymując się dłużej w Krakowie, we Wiedniu, w Rzymie, w Paryżu i Dreźnie. Podczas tej podróży nie chodziło Kraszewskiemu o przyjemność, lecz o poznanie obcych krajów i nauczenie się nowych rzeczy. Zwiedzał więc starożytne kościoły i pałace, oglądał prze-



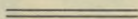
Kraszewski w roku 1859.

śliczne obrazy, nagromadzone po galeryach, notował sobie wszystko, co było ciekawe i pożyteczne.

Kraków wydawał się Kraszewskiemu piękny, jak relikwiarz rzeźbiony. Kościoły, gdyby ze szczerego złota ulane, takie cacka nieopisanej, malowniczej piękności. Wnętrze kościoła Panny Maryi to obraz nieporównany, zachwycający.

Szczególnie Włochy zachwyciły podróżującego powieściopisarza swoją pięknnością i prastaremi pamiątkami. W Rzymie był na posłuchaniu u Ojca świętego.

Zarówno podczas podróży jak i w Żytomierzu mimo rozlicznych zajęć nie stracił Kraszewski ochoty do pisania powieści, których przybyła znaczna ilość! My wymienimy tylko najważniejsze: *Chata za wsią*, *Powieść bez tytułu*, *Dwa światy*, *Fermoła*, *Boża czeladka*.



## W Warszawie.

---

Do Warszawy udał się Kraszewski w roku 1859, aby tam objąć redakcyę *Gazety Codziennej*, na stałe zaś przeniósł się tutaj dopiero w roku 1860. Blizko cztery lata to jest do końca 1862. roku kierował wydawnictwem tej *Gazety Codziennej* którą później nazwano *Gazetą Polską* i na tem stanowisku położył wielkie zasługi w obronie dobrej sprawy. Redakcyę tej gazety powierzył Kraszewskiemu Leopold Kronenberg, człowiek bardzo rozumny i energiczny, który pragnął podnieść bogactwo krajowe i Żydów zamienić w obywateli pożytecznych i kochających ziemię rodzinną. Te dwie myśli miał Kraszewski głosić w *Gazecie Codziennej* i ze zapałem zabrał się do dzieła.

Za jego najlepsze chęci i za jego wytrwałą pracę odpłacili mu źli ludzie plotkami, które go boleśnie krzywdziły. Głoszono wszędzie, że sławny powieściopisarz zaprzedał się Żydom, przysyłano mu listy złośliwe, wyśmiewano go i usiłowano mu szkodzić na każdym kroku. Łatwowierna szlachta, nawet dawni sąsiedzi Kraszewskiego uwierzyli tym kłamliwym pogłoskom, bo nie rozumieli dobrze, że Kraszewski pracuje dla dobra narodu. Nastąpiły bardzo smutne chwile w życiu zasłużonego męża, gdy nawet najbliżsi nie umieli ocenić jego pracy i poświęcenia. A jednak nie ustąpił ani na krok, lecz wytrwale spełniał swoje obowiązki. To też *Gazeta Codzienna* pod jego kierownictwem rozwinęła się świetnie. Postarał się o to, że najznakomitsi autorowie przysyłali artykuły do tego pisma. Kraszewski starał się prze-

konać szlachtę, że powinna się zająć przemysłem i handlem, bo każda praca uczciwa przynosi zaszczyt jednostce i bogaci kraj. Tysiące czytały *Gazetę Codzienną* i dowiadywały się wielu rzeczy nowych, pięknych i pożytecznych.

Kraszewski, który po dziewięć godzin dziennie poświęcał wydawaniu tego dziennika, potrafił przecież założyć i wydawać jakiś czas drugie pismo, drukowane raz na miesiąc, pod tytułem: *Przegląd Europejski*, a nadto pisał ładne i bardzo pożyteczne książeczki dla ludu. Wogóle chłopów



Dom Kraszewskiego przy ulicy Mokotowskiej w Warszawie.

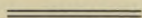
ceńił i kochał nasz autor szczerze, starał się w swoich książkach brać ich w obronę i zachęcał innych do ojcowskiego obchodzenia się z ludem.

W swojej wytrwałej i pożytecznej pracy natrafił Kraszewski na przeszkodę, której nie mógł pokonać: Po upadku powstania w r. 1831, tak zwane Królestwo Polskie Kongresowe ze stolicą Warszawą przyłączono do Rosyi. Otóż w czasie, kiedy Kraszewski przebywał we Warszawie, panował w Rosyi car Aleksander II; u nowego cara pragnęli Polacy

wyjednać sobie łagodniejsze prawa i więcej wolności. Jedni dążyli do tego drogą próśb, przedkładanych carowi, inni chwyтали się ostrzejszych środków: tłumy ludzi gromadziły się we Warszawie i ciągnęły po ulicach z pieśniami i okrzykami, a wówczas wojsko rozpędzało zgromadzonych, raniąc i zabijając niektórych. Rozruchy takie powtarzały się kilka razy w roku 1861. i 1862. Były to tak zwane manifestacye.

Zastępcą namiestnika w Królestwie został margrabia Aleksander Wielopolski, Polak, człowiek bardzo zdolny i energiczny, ale przytem dumny i szorstki. Chciał on w kraju utrzymać spokój i wydałał za granicę ludzi, którzy nie popierali jego zamiarów i czynów. Ponieważ mu się wydawało, że Kraszewski w *Gazecie Codziennej* krytykuje jego postępowanie, więc mu rozkazał złożyć redakcyę tej gazety, a potem opuścić kraj w grudniu 1862. roku.

W miesiąc po wyjeździe Kraszewskiego z Warszawy, w styczniu roku 1863. wybuchło w Królestwie Polskiem i na Litwie powstanie, które skończyło się znowu klęską Polaków.



## W Dreźnie. — Śmierć na tułactwie.

---

Kraszewski wówczas przebywał już w Dreźnie, w stolicy Saksonii. Był on przekonany, że wkrótce wróci do ojczyzny; stało się jednak inaczej: resztę życia przyszło mu spędzić zdala od rodzinnej ziemi wśród obcych na tułactwie. Synowie byli na naukach za granicą, żona nie mogła opuścić kraju, gdyż musiała zająć się sprawami majątkowymi oraz wychowaniem córki i dwóch sierót, wziętych pod opiekę.

Z kraju dochodziły coraz boleśniejsze wieści o kłeskach powstańców. Kraszewski był niespokojny o ojca, o braci, o żonę i dzieci i tęsknił gorąco za ojczyzną. Drezno, choć to miasto spokojne, pełne zieleni, ogródków, drzew i cienia, nie mogło mu zastąpić rodzinnego kraju. Szukał ulgi w podróży do Szwajcaryi, ale nawet ten cudny kraj nie ukoił jego tęsknoty, nie zmniejszył jego trwogi o los rodziny i współziomków.

Po powrocie do Drezna zajął się Kraszewski gorliwie nieszczęśliwymi wygnańcami z Polski, którzy po rozbiciu powstania schronili się do Drezna. Starzy i młodzi, ludzie pełni zapału i ludzie zimnej rozważliwości, bogaci i ubodzy, wszyscy cisnęli się do niego, szukając rady, pociechy... Wielu przybywających na tułactwo sami poczciwi Sasi doprowadzali do mieszkania Kraszewskiego, który rano i popołudniu przyjmował wszystkich, przychodzących w odwiedziny lub w interesach, a noce poświęcał pracy. Przyszedłszy do niego, za każdym razem zastać było można kilku lub kilkunastu siedzących i stojących gości i nieszczęśliwych,

którzy patrzyli z podziwem na niezmiernie szybkie i chętne załatwianie swoich spraw.

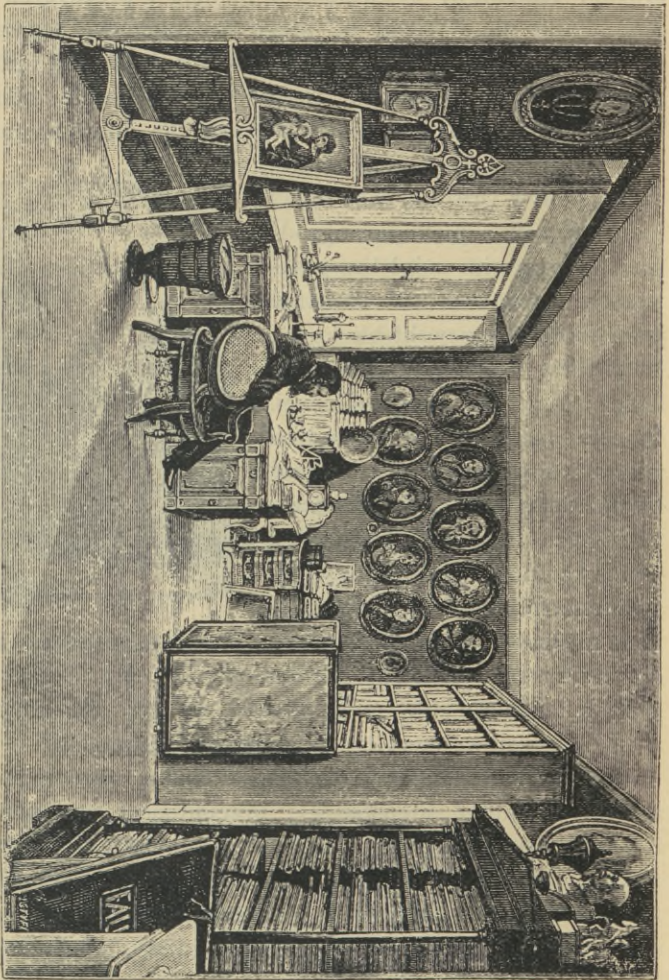
Zacny autor z niewyczerpaną dobrocią i łagodnością słuchał lamentów, opowiadań o biedzie i przebytych kolejach i nikt nie wyszedł od niego bez pomocy, bez zasiłku, bez listów polecających. Gdy brakło pieniędzy dla ratowania nieszczęśliwych tułaczów, wygłosił kilkanaście odczytów i w ten sposób zyskał nowe fundusze na dobroczynne cele.

Ponieważ postanowił zamieszkać stale w Dreźnie, więc nabył mały domek z pięknym ogródkiem, aby w nim mógł bez przeszkody pracować. W Dreźnie przebywał Kraszewski blisko 22 lata, tutaj doznał niejednej radości i niejednej straty bolesnej. W roku 1864. doszła go smutna wiadomość o śmierci ojca, w sześć lat później umarła córka zamężna, a jeszcze później dorastająca wnuczka pożegnała się z tym światem. Nieszczęśliwy wygnaniec nie mógł nawet pospieszyć do kraju, gdy najbliżsi konali, a po ich śmierci nie mógł płakać na ich pogrzebie, lecz w samotności wylewał łzy po bolesnych stratach.



Willa Kraszewskiego w Dreźnie.

Jak dawniej tak i obecnie szukał ulgi i pociechy w pracy usilnej, nieustannej, przejmującej nas podziwem i zdumieniem. Jak mógł człowiek w podeszłym wieku, chorowity, nękany nieszczęściami tak pracować jak olbrzym niezwalczony i zajmować się tyloma sprawami. Przez jakiś czas kierował wydawnictwem *Hasła*, gazety, wychodzącej we Lwowie, choć sam mieszkał w Dreźnie, pisywał do wielu dzienników i czasopism; zajmował się malarstwem i muzyką, nadto litografią, miedziorytnictwem, a nawet malowaniem na porcelanie. Wyjeżdżał raz do Bolonii we Włoszech, raz do Sztokholmu w Szwecyi w sprawach naukowych. Był



Kraszewski w swej pracowni drezdeńskiej.



w Krakowie i we Lwowie i w obu tych miastach wygłosił odczyty na cele dobroczynne.

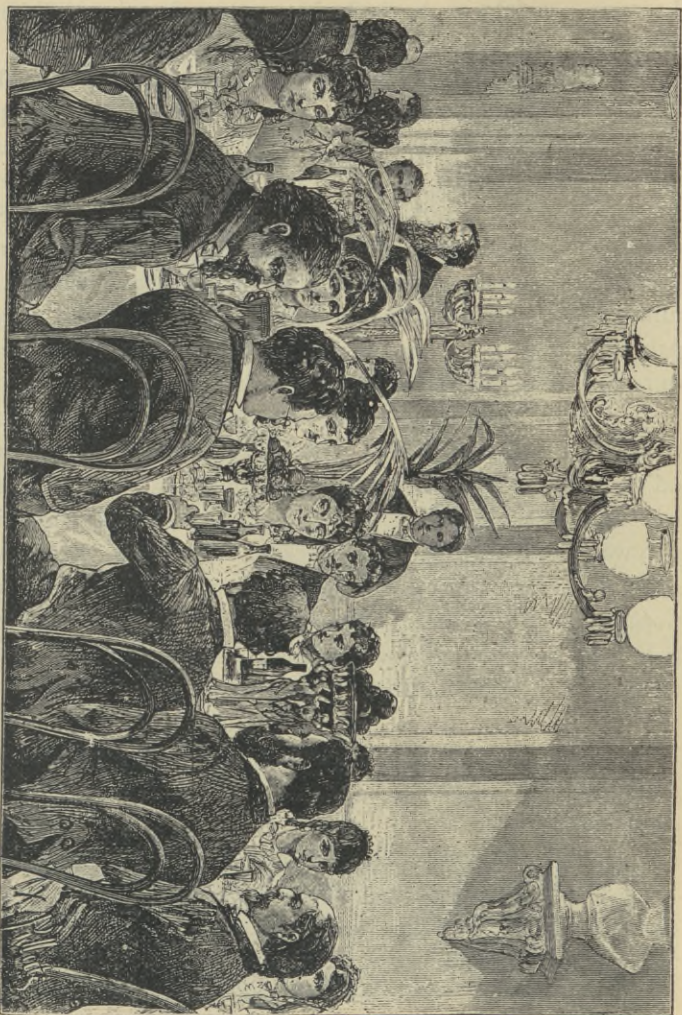
W Krakowie okazywano mu wiele czci i uznania, a we Lwowie przyjęto go z niesłychanym zapałem i uwielbieniem. Wydawał dzieła innych autorów np. *Pisma Kazimierza Brodzińskiego*, zasłużonego poety polskiego; układał i wydawał własne dzieła naukowe. Założył w Dreźnie drukarnię i przez jakiś czas ją prowadził, a sprzedał ją rodakowi do Poznania, gdy mu brakło środków do dalszego jej prowadzenia. Wydawał przez cztery lata (za 1866—1869.) tak zwane *Rachunki*, t. j. pogadanki, w których oceniał rozwój życia narodowego w trzech zaborach, ganiąc najsurowiej Galicyę. Zamiast tych rocznych Rachunków wydawał później *Tydzień polityczny*, a przy tem wszystkiem napisał w tym czasie ogromną ilość powieści, bo sto kilkadziesiąt.

Dodać należy, że znakomity powieściopisarz odbierał codziennie kilkanaście lub kilkadziesiąt listów od krewnych, od znajomych i nieznanym, od mężczyzn i kobiet, a nawet od dzieci; otóż na każdy list choćby błażej treści odpisywał natychmiast własnoręcznie. Rodaków, przybywających do Drezna, witał z największą uprzejmością i serdecznością; wielu z nich oprowadzał po galeryach obrazów, pałacach i kościołach, a niekiedy towarzyszył im w wycieczkach w przepiękne okolice.

Żeby tego wszystkiego dokonać, musiał Kraszewski korzystać mądrze z każdej chwili czasu. »Zrana czytywał dzienniki i książki oraz odpisywał na listy. Po obiedzie wychodził na przechadzkę; wróciwszy przyjmował gości, grał, malował, przepisywał niekiedy stare rękopisy, robił notatki.

Dopiero po herbacie wieczornej od wpół do ósmej do dwunastej lub pierwszej zabierał się do pracy pisarskiej. Zasiadłszy raz do biurka i przygotowawszy zawczasu pewną ilość piór gęsich, pisał już bez wytchnienia, pisał nieustannie, nieoderwanie, z niedoścignioną szybkością. Na zapełnienie drobnem, a wcale wyraźnem pismem całej stronicy potrzebował nie więcej nad parę minut czasu«.

Za tę pracę wytrwałą i niezmordowaną, za tyle zasług



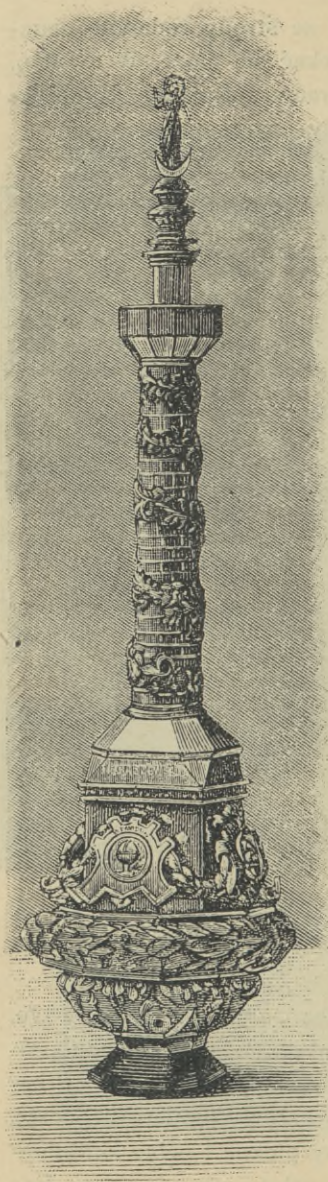
Uczta na cześć Kraszewskiego w Dreźnie.  
(Podług szkicu Pivnickiego rysował Ksawery Piłatti).

i trudów spotkało Kraszewskiego ze strony rodaków uznaniem, jakiego niewielu pisarzy doczekać się może. W r. 1879. obchodzono 50-letni jubileusz pracy autorskiej Kraszewskiego, a obchód ten był wspaniały i wzruszający.



Wręczenie Kraszewskiemu wieńca w Dreźnie, dnia 18. marca 1879. roku.  
(Podług szkicu Piwnickiego rysował Alfred Kowalski).

W wilię imienin Kraszewskiego, dnia 18. marca 1879. Polacy, mieszkający w Dreźnie, wręczyli zasłużonemu pracownikowi złoty medal z jego wizerunkiem w ślicznej hehanowej szkatułce. Następnie zaproszono jubilata na ucztę, podczas której wygłosił dwie mowy piękne i pełne skromności. Mówił on, że cześć i miłość należy się nie jemu lecz językowi ojczystemu i narodowej przeszłości. On był tylko sługą narodu i wiernym synem kościoła katolickiego. Po



Pieczęć ofiarowana Kraszewskiemu przez obywateli Podola rosyjskiego.

uczcie przedstawiały się autorowi różne deputacje, a więc: trzy deputacje młodzieży polskiej i deputacja przemysłowców, wreszcie przyniesiono mu wieniec jubileuszowy, upleciony przez uczennice szkoły polskiej w Dreźnie. Przez dwa dni nadchodziły telegramy z najserdeczniejszymi życzeniami

O wiele wspanialszy był obchód jubileuszowy w Krakowie, który trwał pięć dni od 2—6. października 1879. roku.

Z różnych stron Polski przybyło do Krakowa około 12 tysięcy osób. Po czcigodnego jubilata wyjechała do Dreznia osobna deputacja, która mu towarzyszyła w drodze. Na dworcu kolejowym oczekiwały go tłumy. Młodzież akademicka z kokardami i straż ogniowa ochotnicza tworzyły szpaler, wśród którego przeszedł Kraszewski, otoczony radą miejską i członkami komitetu. Powóz, do którego siadł jubilat z prezydentem miasta Krakowa, otoczyły miejskie cechy z chorągwiami. Wśród nieustannych okrzyków na cześć wielkiego męża posuwał się powóz zwolna do miasta.

Ale to był dopiero początek uroczystości, której dalszy ciąg odbył się dnia następnego. Najprzód odbyła się msza w ko-

ściele Panny Maryi. Następnie niezliczone tłumy ludzi zebrały się w rynku krakowskim. Na estradzie, wzniesionej naprzeciw głównego wejścia do Sukiennic, zasiadł Kraszewski na wysokim krześle, aby wysłuchać pięknej kantaty, odśpiewanej na jego cześć. Potem wystąpiły delegacje i ko-



Przemówienie Kraszewskiego w Sukiennicach w Krakowie dnia 4. października 1879. r.  
(Rysunek Andriollego).

lejno składały hołd zasłużonemu jubilatowi. Delegacyi takich było 120 z różnych stron Polski, z Czech, z Ameryki i z Australii. Wygłoszono tylko 30 mów na cześć znakomitego pisarza, gdyż na wysłuchanie wszystkich przemówień nie starczyłoby dnia całego. Mnogie wieńce laurowe i srebrne padały u stóp wzruszonego jubilata.

Cisza wielka nastała, gdy powstał sam Kraszewski

i przemówił do narodu. Mały, suchy, przygarbiony pod ciężarem lat i pracy, z ognistym okiem, z czołem pomarszczonym od ciągłego myślenia stał na podwyższeniu widziany przez wszystkich. W przemówieniu swoim wyraził głęboką wiarę w siłę polskiego narodu, ze zachwytem wspominał



Scena z komedii Kraszewskiego *Miód Kasztelański*, granej w teatrze krakowskim podczas uroczystości jubileuszowych dn 3. paźdz. 1879. r. Rysunek Andriollego. (Na lewo Modrzejewska, klęczy Królikowski, między nimi Stachowiczówna, z ręką wzniesioną Ładnowski, na prawo Hofmanowa i Rychter).

o świetnym rozwoju naszej poezji, mówił o pojawieniu się znakomych talentów muzycznych i malarskich i o podnoszeniu się nauki polskiej. O sobie mówił jak zwykle z wielką skromnością. Opowiadał, jak przez 50 lat bez przerwy pisał książki, które pragnął zachęcić naród do zgody i miłości.

Nie szło mu o sławę ani o nagrodę; do pracy popychało go ukochanie prześladowanej ojczyzny, którą chciał podnieść i uszczęśliwić. Wierzył zawsze w miłość i braterstwo, a unikał nienawiści i zemsty, wierzył w prawo sumienia, w sprawiedliwość bożą i we wszystko, co człowieka pod-



Obiad na cześć Kraszewskiego w Sukiennicach w Krakowie dn. 4. paźdz. 1879.  
(Rysunek J. Kossaka).

nosi, co dobre, wielkie i piękne. Zakończył słowami Pisma świętego: »Puść, Panie, sługę Swego, bo najpiękniejszy dzień życia widziały oczy moje«.

Wieczorem tego samego dnia odbyło się w teatrze krakowskim uroczyste przedstawienie komedii, napisanej przez Kraszewskiego pod tytułem: *Miód Kasztelański*. W przedstawieniu wzięli udział znakomici aktorowie i aktorki

polskie, jak Ładnowski, Modrzejewska, Stachowiczówna i inni.

Następnego dnia przedstawiły się jubilatowi szkoły średnie i niższe, poczem w bibliotece Jagiellońskiej wręczono



Pochód uroczysty podczas jubileuszu. (Rysunek współczesny J. Kossaka).

mu uroczyste dyplom na doktora filozofii. Następnie odbył się na jego cześć w Sukiennicach wspaniały obiad, na którym było 800 osób. Podczas obiadu wygłaszano bardzo piękne mowy na cześć Kraszewskiego, jako zasłużonego pisarza i wiernego syna ojczyzny. Piątego października



teraci i artyści urządzili znowu ucztę, na której powtórzono wyrazy uznania i hołdu dla zacnego jubilata. Wreszcie 6. października odbył się wspaniały pochód przez miasto z gorejącymi pochodniami, urządzony na cześć Kraszewskiego i Henryka Siemiradzkiego, który w czasie tego jubileuszu podarował dla galeryi w Sukiennicach wspaniały obraz p. t. *Pochodnie Nerona*.

Za przykładem Siemiradzkiego posypały się inne dary na cele narodowe. Najtrwalszą pamiątką tej wielkiej uroczystości jest złożenie na ręce jubilata przeszło 30 tysięcy reńskich, przeznaczonych na założenie Macierzy polskiej. Kraszewski nie ustał w pracy, aż to szlachetne i pożyteczne dzieło przyszło do skutku.

Z Krakowa wyjechał jubilat do Wiednia, aby podziękować cesarzowi Franciszkowi Józefowi za wysokie odznaczenie, jakiego mu udzielił monarcha, nadając mu krzyż komandorski w uznaniu jego niezwykłych zasług literackich. Z Wiednia powrócił Kraszewski do Drezna i ze zdwojoną pilnością zabrał się do pracy, w której nie ustawał mimo chorób, nawiedzających go coraz częściej i dręczących go coraz boleśniej. Najcelniejsze powieści, napisane w Dreźnie, są następujące: *Dziecię starego miasta*, *Rzym za Nerona*, *Żyd*, *Morituri*, *Pamiętnik Mrocza*, *Dajmon*, *Z dziennika starego dziada*, *Ostatnie chwile księcia wojewody*, *Zadora*, *Hrabina Cosel*, *Brühl*, *Historya o Fanuszu Korczaku i o pięknej miecznikównie*, *Powrót do gniazda*, *Kunigas*, *Stara baśń*, *Król chłopów*.

---

W r. 1883. został Kraszewski aresztowany przez władze pruskie i osadzony we więzieniu. Wiadomość o tem aresztowaniu przeraziła całe społeczeństwo polskie. Początkowo sądzono, że zaszła jakaś dziwna pomyłka, ale wkrótce zrozumiano, że los wielkiego męża jest bardzo bolesny. Powód uwięzienia był następujący: Kraszewskiego proszono z Paryża, aby przysyłał do pism francuskich artykuły w sprawach wojskowych. Ponieważ on sam nie znał się na wojskowości, więc artykuły takie pisał dla niego niejaki Fran-

ciszek Hentsch, były kapitan we wojsku pruskiem, za co mu Kraszewski płacił znaczne sumy pieniężne. Kraszewski sądził, że pisanie i posyłanie do Francji takich artykułów o wojsku pruskiem jest każdemu dozwolone, dopiero w rozmowie z majorem Szczepanem Bohdanowiczem dowiedział się, że rząd pruski może to uważać za wydawanie tajemnic wojskowych i oddać go pod sąd. Wówczas zaprzestał natychmiast zajmować się tą sprawą, ale już było za późno. Niejaki Adler, literat berliński, człowiek nikczemny, który przedtem sam dostarczał Kraszewskiemu wiadomości wojskowych i wyłudził od niego wiele pieniędzy, doniósł rządowi pruskiemu, że wielki powieściopisarz polski trudni się szpiegowaniem na korzyść Francji. Wskutek tego doniesienia uwięziono Kraszewskiego i dwa miesiące trzymano go we więzieniu śledczem. Następnie wypuszczono go tymczasowo z więzienia aż do rozpoczęcia procesu, który się odbył w maju 1884. r. przed najwyższym trybunałem niemieckim w Lipsku. Kanclerz państwa niemieckiego Bismarck nadesłał do trybunału list, pełen fałszów i kłamstw, bo chciał, aby nieszcześliwego starca osądzono jak najsurowiej. Na rozprawie nie udowodniono Kraszewskiemu winy, ale mimo to skazano go na półczwarta roku twierdzy. Adwokat Saul, który wziął 17 tysięcy marek, bronił oskarżonego bardzo niedbale. Kraszewski padł głównie ofiarą polityki pruskiej. Bismarck chciał zgnieść naród polski i przygotowywał ustawę, która ogromną ilość Polaków wydalala z granic państwa niemieckiego. Skazanie Kraszewskiego miało być dowodem, że Polacy spiskują przeciw państwu niemieckiemu, że więc należy ich wypędzać z ich rodzinnej ziemi.

We więzieniu w Magdeburgu obchodzono się z nieszcześliwym starcem dosyć względnie i łagodnie: dano mu pokój nie najgorszy, nie broniono przechadzki, pozwalano na osobny wikt za jego własne pieniądze. Mimo to po upływie roku zdrowie jego tak bardzo się pogorszyło, że dalszy pobyt we więzieniu musiałby się skończyć śmiercią. Wówczas za staraniem księcia Antoniego Radziwiłła otrzymał schorzały starzec sześciomiesięczny urlop z więzienia za

złożeniem kaucyi 20.000 marek. Dodać należy, że Kraszewski zarówno we więzieniu śledczem jak i we więzieniu we Frankfurcie nie ustał w pracy, lecz mimo choroby, nie-szczęść i prześladowań pisał powieści i rozprawy. Taka pracowitość i wytrwałość godna jest najwyższego uznania.

Opuściwszy więzienie w 1885. roku, udał się Kraszewski do Włoch i zamieszkał w San Remo. Tutaj otoczył go najtroskliwszą opieką zacny doktor Tymowski, który wyjechał na spotkanie czcigodnego starca. We Włoszech mógł Kraszewski oddychać zdrowem, czystem i ciepłym powietrzem. Choroby jednak, jakie go dręczyły, nie dały się uleczyć; troskliwą opieką można mu było tylko życie przedłużyć. Położenie zasłużonego męża było bardzo smutne. Do łóżka sam wejść nie mógł, bo nogi miał obrzękłe, we fotelu spać się lękał, bo raz spadł z niego i potłukł się mocno; sypiał więc na podłodze, z której powstanie było wielce męczące.

Gdy się skończył urlop sześciomiesięczny, z powodu choroby nie mógł Kraszewski wracać do więzienia, a przedłużenia tego terminu nie mógł uzyskać. Trwoga go nie opuszczała, bo mu się zdawało, że rząd pruski zażąda jego wydania, a wówczas będzie musiał zginąć we więzieniu. Ledwo się udało przyjaciółom przekonać go, że nie zostanie wydany władzom pruskim, choćby tego żądały.

Ponieważ w lecie 1886. roku zapanowały w San Remo wielkie upały, więc troskliwy dr. Tymowski wywiózł znękanego starca do Szwajcaryi do Schinznach, a potem do Montreux.

W Schinznach napisał Kraszewski następujący wierszyk, który maluje stan jego duszy:

Nie mieć nad głową dachu, ni kąta na ziemi,  
Być ściganym złoczyńcą, wzgardzonym tułaczem,  
Przybłądą się nazywać pomiędzy swoimi,  
Zaczynać dzień od jęku, a kończyć go płaczem,  
Napóżno żebrać pracy i błagać spokoju,  
Szyderstwami być gnany, smaganym potwarzą,  
Zwyciężonym bez walki, pobitym bez boju —  
Takim dziś losem boże wyroki mię karzą...

Ale mocen i wielki Pan stoi nad światem!  
I dał moc katom, aby po serca ich probie  
Niewinnych lez się pomścić nad bez serca katem —  
Zemstę za okrucieństwa pozostawił sobie...

Wracając do San Remo, zatrzymał się Kraszewski tydzień cały w Genewie, gdzie go uczczono — po raz ostatni.

Odbywał się wtedy w Genewie kongres międzynarodowego stowarzyszenia literackiego i artystycznego, którego Kraszewski był honorowym prezesem. Otóż podczas pierwszego zebrania kongresu wszedł na salę staruszek mały, zgarbiony, o płowych włosach na głowie, z długą szpawką brodą, tak pochylony, że twarzy jego dojrzeć było trudno. Był to Kraszewski. Jeden z literatów wziął go pod ramię i zaprowadził na trybunę, gdzie były miejsca honorowe. Staruszek usiadł, skinął głową literatowi, na laskę nałożył kapelusz i oparłszy się na niej rękoma, odpoczywał chwilę, potem, podniósłszy głowę, bystrem spojrzeniem objął całą salę. Jeden z obecnych ogłosił zebrany, że na sali znajduje się znakomity poeta polski Józef Ignacy Kraszewski. Wówczas rozległy się oklaski przeciągłe, gorące. Kraszewski z wielkim trudem podniósł się trochę na krzesło i kilkakrotnem skinieniem głowy podziękował. Oklaski powtórzyły się znowu z poprzednim zapałem.

Z Genewy wrócił Kraszewski jesienią do San Remo i tutaj przebył w następnym r. 1887. straszne trzęsienie ziemi. Cały dom, w którym mieszkał, porysował się niebezpiecznie, więc zasłużony starzec parę dni przepędził w budce, skleconej z tarcic, za którą mu na wagę złota zapłacić kazano. Po drugim trzęsieniu z pospiechem opuścił ziemię włoską i udał się do Szwajcaryi. Do Genewy przybył ze zapaleniem płuc dnia 15. marca 1887.

Wezwany lekarz zajął się chorym gorliwie i przez noc nastąpiło polepszenie. Obecnych poznał i rozmawiał z nimi o tem, jak to sobie kupi willę w Lozannie i tam zamieszka. Przez następne dwa dni było chwilami lepiej, a chwilami gorzej. Trzeciego dnia t. j. 19. marca nastąpiło znaczne pogorszenie. Po godzinie trzeciej oddychanie odbywało się co-



I. I. Kraszewski. Rzeźba T. Rygiera.

raz lżej i ciszej, aż się zatrzymało — Kraszewski umarł w dzień swego patrona św. Józefa.

Zwłoki zabalsamowano i złożono je tymczasowo na cmentarzu w Genewie. Na pogrzebie przemawiał T. T. Jeż (Zygmunt Miłkowski): skreślił życie zmarłego, jego zasługi, jego męczeństwo i śmierć cichą i zapowiedział, że dla Kraszewskiego rozpoczęło się dopiero długie życie w potomności.

Życzeniem narodu było, aby zwłoki znakomitego męża spoczęły w Krakowie w grobie zasłużonych na Skałce. Niemcy nawet po śmierci nie chciały przepuścić nieboszczyka przez swoje granice, więc go wieziono na Wiedeń. Do Krakowa przywieziono zwłoki dnia 5. kwietnia o godzinie 12. w południe. Na dworcu oczekiwał ich przybycia prezydent miasta dr. Szlachtowski, delegowani komitetu i młodzież, która stanęła u karawanu, a skoro w nim skromną trumnę metalową złożono, sama się do niego zaprzęgła. Przed karawanem szła również młodzież, niosąca wieńce. Trumnę wniesiono do krypty kościoła św. Jana i tu odprawiło duchowieństwo egzekwie.

Uroczystość pogrzebu odbyła się dopiero 18. kwietnia. Kraj cały wziął w niej udział. Zrana przybyła przed kościół św. Jana rada miejska krakowska wraz z prezydentem swoim i przedstawicielami rady miejskiej lwowskiej. Kilka ulic, rynek, okna kamienic, nawet dachy wypełnione były ludźmi. Z wielu domów wywieszono wielkie czarne chorągwie. Wspinali się rozpoczynając pochód chorągwie cechów krakowskich, kirem okryte. Gdy trumnę na marach ustawiono, zapanaowała cisza. Zdała tylko dolatywał głuchy szum zebranych tysięcy. Prezes akademii Majer w pięknym przemówieniu przedstawił zasługi zmarłego nie tylko jako poety i powieściopisarza, ale też jako uczonego członka akademii. Potem przeniesiono trumnę do kościoła Panny Maryi w Rynku. W świątyni pomieściły się tylko delegacje różnorodne i bardzo szczupłe grono osób prywatnych, tłumy cisnęły się na rynek. Biskup Albin Dunajewski w otoczeniu licznych duchowieństwa odprawił nabożeństwo. Na chórze śpiewano przepięknie. Po mszy wygłosił całogodzinne kazanie ksiądz

Chotkowski, sławiąc zasługi zmarłego. Poczem z estrady, wzniesionej umyślnie przed kościołem, ozwał się śpiew z dwustu męskich piersi, rozległy się dzwony, jęknął Zygmunt na Wawelu; zwłoki wyniesiono ze świątyni i złożono na olbrzymim karawanie, zaprzężonym sześciu końmi, zarzuconym wieńcami. Pochód ruszył. Za trumną i przed trumną tysiące poważne, ciche, korne. Sklepy zamknięte, ruch wszelki ustał, latarnie gazowe, okryte kirem, płoną żółtem światłem. Płynnie nieprzejrzana fala ludu. Cisza — tylko dzwony płaczą głośniej, tylko serce Zygmunta coraz silniej bije. Łańcuch straży obywatelskiej zwięzać się musi. Delegacye z wieńcami zwalniają kroku. Widok ich wspaniały. Obecni czytają napisy na wstęgach; są wieńce z miast blizkich i bardzo odległych. Uderzające mnóstwo wieńców ofiarowali z różnych stron kraju Żydzi. Są też dowody uznania i pamięci ze strony najznakomitszych pisarzy i artystów czeskich.

U furty, wiodącej do klasztoru Paulinów na Skałce, oczekiwało na orszak całe zgromadzenie zakonników. Obszerny plac przed kościołem, schody i ganki zajęły delegacye; trumnę złożono tuż przy krypcie zasłużonych. Wszyscy odkryli głowy. Śpiew choralny rozległ się znowu. Rozpoczęły się mowy na cześć zmarłego. Gdy ostatni mowca skończył, wówczas przy dźwięku śpiewów i dzwonów wniesiono zwłoki do grobu, składając je obok sarkofagu Długosza. Ksiądz Polkowski odczytał dokument, świadczący o tem uczczeniu pamięci znakomitego pisarza. Dokument ten umieszczono wewnątrz grobu, w milczeniu zasunięto płytę kamienną i grób zamurowano <sup>1)</sup>.

Tak odbył się pogrzeb zasłużonego męża, który pozostawił po sobie setki książek pięknych i pożytecznych. O najpiękniejszych utworach Kraszewskiego pomówimy w drugiej części niniejszej książki.

---

<sup>1)</sup> W opisach posługiwał się autor znanemi pracami o Kraszewskim i artykułami w gazetach; odsyłanie czytelników do źródeł uważał za zbyteczne.

---





## CZĘŚĆ DRUGA.

### O POWIEŚCIACH J. I. KRASZEWSKIEGO.

---

Kraszewski pisał dzieła różnej treści: historyczne szczególnie z dziejów Litwy, filozoficzne, bo streszczał i omawiał utwory filozofów niemieckich, rozprawy językowe na przykład o języku polskim, artykuły literackie, bo oceniał książki świeżo wydrukowane, artykuły i rozprawy polityczne głównie w *Gazecie codziennej* i w t. zw. *Rachunkach*; dramaty jak: *Trzeci maja*, komedye jak: *Miód Kasztelański*, ale najważniejsze i najpiękniejsze są jego powieści. Z ogromnej liczby tych powieści wybierzemy tylko najznakomitsze i to nie wszystkie, a wybrane ułożymy w dwie grupy:

- A) Powieści historyczne.
- B) Powieści współczesne.

#### A) POWIEŚCI HISTORYCZNE.

Historycznemi nazywamy te powieści, w których autor przedstawia przeszłość jakiegoś narodu, opierając się trochę na historii, a trochę czerpiąc z własnej głowy. Historyk opisuje ściśle i dokładnie to tylko, co się rzeczywiście dawniej działo, a niczego nie dodaje z własnej fantazyi, po-

wieściopisarz zaś wymyśla jakieś osoby i określa, w jakim czasie, np. za jakiego króla żyły i dokonały czegoś. Do opowiadania wprowadza także osoby i wypadki, które znamy z historii. Z takiej powieści poznaje czytelnik zdarzenia historyczne oraz sposób życia ludzi tego czasu, który autor opisuje.

Już od roku 1833. pisał Kraszewski powieści historyczne, ale najlepsze powstały od r. 1860. Dwie powieści z dziejów rzymskich: *Caprea i Roma* (1860.) i *Rzym za Nerona* (1864.) należą do najpiękniejszych utworów Kraszewskiego. Bardzo wielką wartość posiadają powieści z czasów saskich: *Hrabina Cosel* (1873.) i *Brühl* (1874.). Z r. 1874. pochodzi także ciekawa powieść: *Powrót do gniazda*. W roku 1876. postanowił Kraszewski całą historję Polski przedstawić w cyklu czyli szeregu powieści, co też wykonał w przeciągu dziesięciu lat, napisawszy 28. powieści w 79. tomach. Najcelniejsze powieści historyczne przedstawimy w związku z historją Polski, a więc nie zawsze w tym porządku, w jakim je autor napisał.

---

Według starego podania założycielem państwa polskiego miał być Lech, który przywędrował ze swoim ludem z krajów południowych w okolice rzeki Warty, gdzie założył stolicę Gniezno. Mieszkańców tych okolic nazywano Polanami. Jednym z potomków i następców Lecha miał być Popiel albo Pepełek, którego panowanie opisuje Kraszewski w *Starej baśni*, napisanej w roku 1876.

---

## Stara baśń.

### I.

O świcie dnia wiosennego, na łączce pomiędzy rzeką a lasem, widać było szafas na prędcie z gałęzi sklecony, a nieco dalej dwa konie, pasące się na łące. Cisza pano-

wała, z lasu tylko dolatywał śpiew zbudzonych ptaków. Z szałasów wydobyło się dwóch ludzi: starszy Hengo z głową, pokrytą rudym włosem, z twarzą chytrą i ostrożną miał siekierę u pasa, krótki nóż w pochwie skórzanej, na plecach łuk, przez drugie ramię procę i krótką pałkę drewnianą, krzemieniem nabijaną; młodszy Gerda, syn Hengi, miał może lat piętnaście. Włożyli pakunki na grzbiety koni, sami ich dosiedli i ruszyli w drogę lasem wzdłuż rzeki. Jechali przez kraj pogańskich Polan, nic więc dziwnego, że spotkali kamiennego bożka przy drodze. Hengo splunął z pogardą w stronę bałwana, lecz w tej chwili świsnęła strzała i zraniła go w piersi; druga utkwiała w nodze Gerdy. Obaj popędzili konie przestraszeni i jechali kilka godzin bez przerwy. Przed południem zatrzymali się na krótki czas, obwiązali rany, napili się wody, zjedli suszonego mięsa i placka, a potem puścili się w dalszą drogę. Hengo dawał synowi nauki, jak ma udawać, że nie rozumie języka Polan, jak ma słuchać wszystkiego, a nic nie mówić. Popołudniu przybyli do jakiejś zagrody, otoczonej rowem i ostrokołem, to znaczy wysokiem i bardzo mocnem ogrodzeniem, ze sterczącymi, śpiczastymi kołami. Nad brzegiem rzeki spotkali gospodarza tej zagrody starego Wisza, ubranego w białe płócienne spodnie i płócienną koszulę, przepasanego czerwonym, skórzanym pasem. Siedział na kamieniu, a u nóg jego leżały dwa ogromne psy, które warczały groźnie na podróżnych. Stary Wisz poznał przybyszów, bo nie pierwszy raz byli w jego zagrodzie. Hengo zaczął mówić łamanym słowiańskim językiem, że przybywa w te okolice dla interesu. Chciałby wymienić swoje towary na inne przedmioty, bo on z tego żyje. Starego Wisza prosi o nocleg. Starzec oświadczył, że w jego kraju goście nie odmawia się noclegu, jadła i napoju. Udali się więc do zagrody, w której środku wznosił się dom, a obok niego budynki gospodarskie.

Żona Wisza Jaga nie była rada gościowi: bała się, żeby uroków nie rzucił na ludzi. Stary Wisz zjadł po kawałku chleba z Hengiem na znak przyjęcia gościa w dom. Gdy Niemiec w jednej izbie rozłożył swoje towary, świecidełka

dla kobiet, broń ozdobną dla mężczyzn, zjawili się zaraz z drugiej izby chłopcy i dziewczęta, przypatrując się ciekawie i pożądliwie różnym przedmiotom. Stary Wisz z powagą i spokojem wybrał kilka sztuk różnego towaru, zapłacił za nie po długim targu skórkami i bursztynem, a potem rozdzielił wszystko między mężczyzn i kobiety, wywołując radość niezmierną. Wkrótce podano wieczerzę, która ze względu na gością była obfitsza niż zwyczajnie: dwa gatunki mięsa, krupy, do tego napoje: piwo i miód. Kobiety nie siadały do stołu przy obcym, tylko usługiwały. Po kolacyi wyszli nad rzekę gospodarz z gościem, który następnego dnia miał się udać na dwór knezia, odległy o dzień drogi od zagrody Wisza.

Gdy słońce zachodziło, nadjechało pięciu zbrojnych wysłańców knezia. Smerda, zaufany sługa knezia, ubrany w jasne szaty z czerwonym obszyciem, dowodził tej gromadce. Domyślając się w Hendze szpiega, kazał go związać i prowadzić do domu Wisza. Gdy jednak Niemiec w izbie szepnął coś Smerdzie do ucha, ten kazał go natychmiast rozwiązać. Zuchwali pachołkowie kazali sobie podać piwa i zaczęli się dziwić, że nie widzą dziewcząt, z któremiby chcieli poswywolić. Stary Wisz popatrzył ponuro na Smerdę i odpowiedział mu tak groźnie, że jemu i jego towarzyszom odeszła ochota do zbytków.

Na żądanie wysłańców knezia przeznaczył gospodarz jednego ze swoich parobków Sambora do służby u księcia. Po cichu na podwórzu przykazał mu, aby uważał dobrze na to, co się dzieje na dworze knezia. Dochodziły bowiem wieści, że książęta, zwani Leszkami, chcą wolnych kmieciów zamienić w niewolników. Urodziwa córka Wisza Dziwa, spotkawszy smutnego Sambora we wrotach, przepowiedziała mu, że wróci szczęśliwie ze zamku księcia, że ten zginie, a nastanie inne panowanie.

Rankiem następnego dnia ruszył Smerda ze swoimi i z Niemcami konno na zamek knezia, Sambor szedł za nimi pieszo. Po drodze trafili na uroczyisko: było to miejsce, w środku którego stał wysoki kamień, otoczony mniej-

szymi. Na takich miejscach bogom składano ofiary. Mi-  
nęli uroczysko i jechali dalej. Koło południa zatrzymali  
się w zielonej dąbrowie, odpoczywali i jedli, co kto miał.



Kmieć Wisz z Domanem u knezia Miłosza, scena z *Starej Baśni*.  
(Rysunek Andriollego).

Uszu ich doleciał śpiew cichy i smutny, który coraz bar-  
dziej się zbliżał. Wkrótce zjawił się ślepy starzec, pro-  
wadzony przez pacholę. Był to wędrowny śpiewak albo

gęślarz Slowan, który na żądanie Smerdy i innych zaczął śpiewać różne pieśni np. o Krakusie i Wandzie. Gdy się jednak spostrzegł, że Niemiec jest wśród słuchaczy, przestał śpiewać i odszedł popiesznie.

Wysłańcy knezia, Niemcy i Sambor ruszyli w dalszą drogę i przed zachodem słońca zobaczyli wysoką wieżę, zbudowaną z szarego kamienia. Wjechali w podwórze książęcego grodu: dom knezia przytykał do wieży, naokoło były inne budynki, szopy, chaty. W podwórzu stał sam kneź tęgi, średniego wzrostu, z twarzą czerwoną, z czarnym włosiem i rzadką brodą. Ze stroju i postawy wyglądał na pana. Zły był; poprzedniego dnia kazał wyłupić oczy własnemu synowcowi i rzucić go do wieży, bo go posądzał o zmawianie się z kmieciami przeciw sobie, nadto dwóch ludzi ze służby kazał powiesić. Smerdzie polecił przyprowadzić sobie Niemca następnego dnia. Sambor spotkał znajomego parobka Kosa, który księcia nienawidził i opowiadał o jego srogości.

Hengę wezwało młode pacholę do żony knezia, Niemki, córki hrabiego Turyngii. Gdy księżna, zwana Brunhildą, dowiedziała się, że Hengo wysłany jest od jej ojca i jej synów, którzy się chowali na dworze dziadka, krzyknęła z radości i kazała sobie opowiadać długo o swoich dzieciach. Rozповідаł więc Niemiec, jak to jej synowie wyrosli na pięknych i dzielnych młodzieńców, jak świetnie władają bronią, jak mogą być ojcu pomocą w pokoju i wojnie. Księżna odprawiła wreszcie Hengę, bo musiała spieszyć na ucztę, na którą kneź zaprosił kmieciów, żupanów, starszyznę. Uczta ta skończyła się okropnie. Księżna przygotowała dla gości napój, który ich przywiódł do wściekłości. Zaczęli się kaleczyć i mordować wzajemnie, aż prawie wszyscy poginęli. Chwostek ryczał ze śmiechu i ciała pomordowanych kazał służbie rzucić do jeziora. Odgrażał się jeszcze, że w ten sposób wygubi wszystkich opornych, aby rządzić samowładnie. Sambor i Hengo, którzy patrzyli na te straszne mordy, drętwieli z przerażenia.

Następnego dnia wezwał Chwostek Niemca do siebie i polecił mu oświadczyć hrabiemu Turyngii, że jego pomocy

nie potrzebuje, że sam sobie da radę z kmięciami i kneziami. Hengo, wymieniwszy resztę towarów za skórki sople, opuścił z synem zamek pospiesznie, bo obawiał się o swoje życie. Gerdzie kazał milczeć i nie wspominać nikomu o strasznych rzeczach, które się na zamku działy. W powrocie zatrzymali się znowu Niemcy w zagrodzie staro Wisza, który się chciał od Hengi dowiedzieć coś o kneziu i jego dworze. Ale niczego nie mógł wydobyć od przybysza. Za to Gerda wygadał się przed Dziwą, w tajemnicy przed Hengą, jakie straszne zbrodnie oglądały jego oczy w zagrodzie knezia. Po odpoczynku ojciec i syn pociągnęli z powrotem do swej ojczyzny. Dziwa powtórzyła ojcu, co słyszała od Gerdy.

Następnego dnia rankiem stary Wisz, ubrany odświętnie w brunatną sukmanę i kołpak z piórem, uzbrojony starannie, w towarzystwie dwóch parobków konno udał się do zagrody młodego kmięcia Domana, z którym się długo naradzali. Postanowili zwołać wiec na »Żmijowe uroczysko«, gdzie się od niepamiętnych czasów naradzali ojcowie i dziadowie.

Nazajutrz udali się naprzód do knezia Miłosza. Należał on także do rodu Leszków, potomków Lecha, podobnie jak Popiel albo Pepełek, zwany Chwostkiem, który panował nad krajem Polan. Chwostek zamordował jednego syna Miłosza, a drugiemu kazał wyłupić oczy. Chciał on wymordować wszystkich krewnych, bo się obawiał, że mu któryś z nich wydrze władzę. Stary kneź Miłosz leżał na pościeli, opierając nogi o ciało oswojonego niedźwiedzia, gdy wprowadzono Wisza i Domana. Nie wierzył on, żeby się wiec na co przydał, żeby kmięcie mogli dać radę kneziowi. Chociaż Chwostka nienawidził, jako mordercę swoich synów, nie chciał się przeciw niemu łączyć z kmięciami, bo się uważał za coś lepszego, za potomka Lecha.

Piast albo Piastun mieszkał niedaleko dworu knezia. Ubogi był, ale wszyscy go szanowali i często o radę pytali. Trudnił się bartnictwem i myśliwstwem, gruntu miał niewiele, ale wystarczało na chleb dla niego, dla żony, dla

synka i czeladzi. Wisz i Doman spotkali Piasta w lesie, opowiedzieli mu, z czem przybyli i prosili o radę. On słuchał ich żalów i namyślał się długo, nim się zdobył na odpowiedź. Bał się, żeby na miejsce knezia, którego kmiecie chcieli usunąć, nie zawładnęli krajem Niemcy; wiec dobrzeby było zwołać, ale czy będą na nim zgodne obrady?

Pożegnawszy się z Piastem rozjechali się Wisz i Doman każdy do siebie. Wisz wysłał zaraz syna Ludka, aby jeździł od zagrody do zagrody i zwoływał kmieciów na »Żmijowe uroczysko« w głąb lasu na wiec.

W kilka dni później zjawił się w zagrodzie Wisza Sambor, który uciekł ze zamku knezia i przybiegł oznajmić staremu, że Chwostek gotuje napad na jego dom. Starzec nie uląkł się, kobiety wyprawił w głąb lasu, ludzi zgromadził i uzbroił i spokojnie czekał siepaczów knezia. Ci przybyli pod wodzą Smerdy, gdy Wisz stał we wrotach, a ludzie poukrywani czekali jego rozkazu. Zbrojni słudzy knezia rzucili się na starca, który się porwał do obrony. Nim mu swoi przybiegli na pomoc, jeden z pacholków przeszył mu pierś włócznią i powalił go na ziemię. Rzucili się parobcy na Smerdę, którego zranili w głowę; kilku z jego ludzi zabili, a reszta cofnęła się i powróciła do zagrody knezia. Wisz umarł z rany.

Kobiety, uwiadomione o śmierci starca, powracały z lasu. Szły płacząc, śpiewając, zawodząc, a puszcza jękiem rozlegała się daleko. Przodem szła stara Jaga, siwe włosy rozpuściwszy na ramiona, z rękami załamane, z zamkniętymi powiekami. Pod ręce wiodły ją córki, zrzuciwszy z głów wianki, rozplótłszy włosy, podarłszy odzież na sobie. Tylko Dziwa szła milcząc i jakoby martwa. Cały ten orszak niewieści zbliżył się do zwłok starca. Tu popadały na ziemię wszystkie i tarzać się poczęły.

Przez noc płaczki zawodziły, a żona i córki ubierały umarłego. Nad rankiem już stary Wisz siedział na ławie podparty tak, że się żywym niemal mógł zdawać. Najlepszą odzież mu włożono, najpiękniejszą broń przypasano. U nóg



nieboszczyka na ziemi siedziała Jaga z głową spuszczoną, ubrana w najpiękniejsze swe suknie, w sznurach bursztynu; jęczała boleśnie.

»Odszedłeś od nas — wołały płaczki — osierociłeś nas biednych. Wszystkoś na ziemi miał, czego dusza zapagnie: Ziemię rozległą, trzody bez liku, zboża dostatek, ulów tyśiące, chleb i miód biały; żonę ci wierną, dzieci posłuszne, czeladź pokorną i konie rączne. Rzuciłeś wszystko. Wróg cię napadł zdradliwie, krew twa będzie pomszczona...«

Dano znak, że w lesie stos gotowy. Zebrali się sąsiedzi na pogrzeb. Cały pochód ruszył z zagrody. Czterej parobcy nieśli siedzące ciało zmarłego, za nim wiedziono konia, prowadzono psy, niesiono broń i szaty. Płaczki jęczały i zawodziły. Ślepy guślarz Słowan szedł ze spuszczoną głową, a Jagę prowadziły córki pod rękę. W lesie na piaszczystym pagórku wznosił się ogromny stos drzewa. Niedaleko stały popielnice, garnki, misy i drobne naczynia gliniane, w które miano zbierać popioły — dalej widać było chleby, kołacze, mięsiwo, piwo i miód, przygotowane na stypę. Majowe słońce świeciło jasno.

Jaga nie mówiła nic, ale wszyscy czuli i wiedzieli, że dobrowolnie pójdzie na stos za mężem, bo nie zechce zostać sama na ziemi. Wśród jęków płaczek wniesiono na stos ciało, przy niem składano wszystko, czego zmarły potrzebował za życia: odzież i oręż. Stara Jaga, choć ją dzieci i wnuki z płaczem zatrzymywały, weszła na stos, padła u nóg męża i leżała nieruchomo. Konia także wprowadzono na stos, przywiązano go do słupa, spętawszy mu nogi, psy również stały na stosie uwiązane. Podpalono drzewo i wkrótce zaczęły się palić zwłoki Wisza, a z nimi wierna żona, koń i psy. Płaczki biegały wokoło ognia, krzycząc przeraźliwie. Gdy się wszystko spaliło, zalano zgłiszczę wodą świętą, a potem zgarnięto popiół do garnków i innych naczyń, na to przeznaczonych.

I ruszył znowu orszak żałobny ku miejscu, gdzie miano sypać mogiłę, obok ojców i braci Wisza. Popioły zakopano i usypano nad nimi grobowiec. Przy mogile zastawiono jadło

i napój; zaczęła się uczta pogrzebowa. W czasie stypy stary Słowan grał na gęśli i śpiewał żałośnie:

»Pusty w lesie dwór stoi, dzieci twe ojca nie mają...  
Poszedłeś stary do swoich na miód biały i biesiadę...  
Włosy miałeś jak śnieg białe, ale młode jeszcze dłonie...  
Któż policzy, kto wyśpiewa, coś ty zostawił na ziemi... ile  
z rąk twych padło zwierza, ileś rojów wypiastrował, ile wro-  
gów ty zabiłeś, iluś nakarmił ubogich. Wiszu stary, już nie  
wrócić ci do świata... Ziemiąśmy cię przysypali, popiół twój  
łzami poleli, poszła z tobą żona wierna, koń twój miły, róg  
twój głośny... Stos ci wielki zapalili, jadła, napoju nie  
skąpili«.

Wszyscy mężczyźni, należący do rodziny zmarłego, ślubowali zemstę Chwostkowi, który nasłał zbójów na Wisza. Młody kmicieć Doman, który przybył na pogrzeb, przyrzekł synom i krewnym zabitego pomagać w zemście. Uczta pogrzebowa trwała trzy dni. Podczas tego młodzież próbowała sił swoich, kto dalej rzuci oszczepem, kto pierwszy dobiegnie do mety pieszo lub konno, kto dalej rzuci kamieniem, kto kogo przewróci.

Po skończonej stypie rozchodzili się wszyscy do domów. Doman towarzyszył Ludkowi, najstarszemu synowi Wisza. W drodze prosił go, aby mu dał siostrę Dziwę za żonę. Ludek ze smutkiem musiał mu odmówić, bo Dziwa chciała służyć bogom, a za męża iść nie chciała. Doman rozgniewany odjechał, grożąc, że weźmie Dziwę siłą.

W jakiś czas potem zebrał się wiec na Żmijowem uroczysku. Zjechali się kmiecie starzy i młodzi i radzili dzień cały. Ludek przywiózł na wiec krwawą koszulę Wisza. Ale zgody nie było. Jedni radzili zburzyć dwór Chwostka, inni ostrzegali, że z kneziem trudna sprawa. Byli i tacy, którzy występowali w obronie Chwostka, bo on zasłania wszystkich przed Niemcami. Ślepy gęslarz Słowan pieśnią o srogości knezia zachęcał do zemsty... daremnie. Wszyscy rozeszli się do domów, nic nie uradziwszy.

II.

Święto Kupały, boga słońca, obchodzono u Słowian 21. czerwca, kiedy dzień jest najdłuższy, a noc najkrótsza. W kilka dni po nieudałym wiecu wypadło właśnie święto Kupały. Już od rana na świętej górze nad jeziorem gromadziły się tłumy. Znoszono świeże gałęzie i układano z nich stosy. Suchemi gałązkami nie godziło się palić w święto Kupały. Dziewczęta w bieli, przystrojone w zieleń i kwiaty, chłopcy w odświętnych szatach czekali wieczora, bo wtedy dopiero miała się zacząć uroczystość. Każda rodzina stała koło swego stosu. Ludek, który po śmierci Wisza był głową całej rodziny, czekał na przybycie sióstr, bo starsza z nich Dziwa miała rozniecić święty ogień, który potem przez cały rok w domu nie śmiał zagasnąć.

Wreszcie nadeszły obie Dziwa i młodsza Żywia, trzymając się za ręce, w białych szatach, z zielonymi wiankami na głowach. Ludek radził Dziwie, żeby się nie oddalała w głąb lasu, gdy noc nastanie, bo Doman mógłby ją porwać.

Dziwa zręcznie zapaliła smolne gałęzie; naokoło paliły się już inne stosy, zewsząd dochodziły radosne okrzyki i pieśni na cześć Kupały, który polom niósł ziarna złote, ludziom dawał chleb, wypełniał kłosa, ule zasładzał, zsyłał miłość i wesele. Dziewczęta tańczyły wkoło ognia, chłopcy je napastowali, śmiechy nie ustawały. Paroby chwytali palące się główne i obiegali pola i łąki, wołając: »Kupało«! Dziwa, zmęczona tańcem, siedziała smutna i patrzyła w ogień. Duchem proroczym widziała, że na Polan ciągnie wojsko zbrojne.

Obawy Ludka nie były przesadne. Nocą ludzie zbrojni pod wodzą Domana napadli na rodzinę Wisza; Ludka i kilku ludzi poranili, a sam Doman porwał Dziwę na koń i uwiózł ją w stronę swego domu. Z wesołej uroczystości Kupały wrócili wszyscy rano smutni i gniewni do zagrody.

Jakież było zdziwienie Ludka i domowników, gdy tego samego dnia jeszcze powróciła Dziwa na koniu Domana.

Z niechęcią opowiedziała, jak ją to młody kmieć uwoził na koniu, jak ona przebiła go jego własnym mieczem; Doman spadł z konia, a ona uciekła. Nikt jej nie ścigał, bo ludzie zajęli się rannym.

W domu już Dziwa zostać nie chciała. Pożegnała się z siostrą i braćmi, wzięła szaty i pod osłoną trzech zbrojnych ludzi udała się na wyspę, położoną na jeziorze Lednicy, do świątyni czyli do chramu, gdzie się palił wieczny ogień. Tam chciała pilnować świętego ogniska, aż się postarzeje i umrze.

Trzej domownicy odprowadzili ją aż do świętego jeziora. Na jeziorze u brzegu wznosiły się nędzne chatki rybaków, zbudowane na palach. Jeden z rybaków przewiózł w łódce Dziwę na wysepkę, zwaną ostrowem. Tutaj zobaczyła mnóstwo pielgrzymów z różnych ziem słowiańskich. Sama świątynia czyli chram otoczona była podwójnym ostrokołem. Wizun czyli kapłan pogański nie chciał przyjąć Dziwy do służby bogom; wydawała mu się nadto piękna i młoda; zgodził się wreszcie zatrzymać ją na próbę.

Dziwa podniosła zasłonę i weszła do chramu; na środku palił się ogień, nad którym czuwały dwie kobiety mizerne i blade. W głębi stała czarna okopcona postać, dziwna, nieforemna, straszna. Był to posąg bóstwa Niji, albo Nijoły. Obok niego wisały łuki, oręż, noże, jakieś zdobyte łupy, a sam posąg obwieszony był cały niemal sznurami bursztynu. U góry w głowie potwornej zamiast oczu dwa świecące ogromne kamienie pałały jak krew czerwone. Zdawało się, że to oczy żywe patrzą na wszystkie strony. Dziwa usiadła przy ogniu i ze wzruszeniem zaczęła dorzucać gałązki do świętego ognia. Gdy się zmęczyła, zastępowały ją inne, a ona wychodziła na świeże powietrze, żeby odpocząć.

Gdy minęło dni dziesięć, zjawił się w chramie sam kneź i zażądał od Dziwy, aby mu wróżyła. Dziewczyna pochylała się nad garnkiem, w którym zarzyły się węgle. Na żar rzucono jakieś zioła i dym gęsty, przykry, gryzący otoczył pochyloną dziewczynę. Byłaby upadła, gdyby jej nie podtrzymano; w głowie się jej kręciło. Zaczęła przepowia-

dać przyszłość Chwostkowi, który aż gębę szkaradną wykrzywił z wściekłości, bo wróżba była dla niego nieszczęśliwa. Dziewczyna mówiła o jego zbrodniach i o jego zgubie. Kneź wyszedł z chramu i krzyczał głośno, że zburzy świątynię, a rozpedzi kapłanów. Bał się jednak tego uczynić, choć miał ze sobą zbrojną służbę, bo na ostrowie były tysiące pielgrzymów, którzyby rozszarpali jego i czeladź za zniewagę świętego miejsca. Wsiadł więc na łódkę i odpłynął z swoimi ludźmi.

Wśród kmieci najliczniejsza była rodzina Mieszków, których nazywano Myszkami lub Myszami. Myszkowie nienawidzili knezia, a miłowali wolność. Przewodził im jeden Mieszko, człowiek dzielny i rozumny. Ten zebrał gromadę kmieciów i zaprowadził ich do zagrody knezia, aby go wezwać do sprawiedliwych rządów. Gdy starszyzna poczęła Chwostkowi wyrzucać jego zbrodnie, kneź zwołał swoje sługi i kazał im wyrąbać kmieciów. Ale kmiecie porwali się do zacieklej obrony, a Mieszko rzucił się nawet na samego knezia i powalił go na ziemię. Byłby go udusił, bo dworscy stracili głowy i nie bronili swego pana, lecz z domu wybiegła księżna Brunhilda z krzykiem i nożem zaczęła rzezać szyję Mieszka, aż krew się połała. Raniony Mieszek i inni kmiecie, walcząc dzielnie ze służbą książęcą, dobili się do bramy, wyłamali ją i wydostali się ze zagrody knezia, który pienieł się ze złości i kazał siec różgami swoich pachołków zato, że go nie bronili.

Żona Brunhilda przyszła do męża z przestrogą i radą: Jeśli kneziowie połączą się z kmieciami, to on sam nie da im rady i zginie, nim Niemcy przyjdą z obroną. Niech się więc stara pozyskać swoich krewnych Leszków, niech się połączy z nimi przeciw kmieciom. Chwostek usłuchał żony. Młodego oślepionego Leszka uwolniono, nakarmiono i napojono, ubrano w kneziowskie szaty. Brunhilda długo tłumaczyła nieszczęśliwemu młodzieńcowi, że go oślepieno bez rozkazu stryja, że brata jego zabili ludzie dworscy przez pomyłkę. Leszek słuchał, ale prawie nic nie odpowiadał. Może nie wierzył zdradliwej niewieście. Ona sama kazała

ludziom dworskim odprowadzić oślepionego młodzieńca do jego ojca Miłosza.

Kneź zapraszał krewnych Leszków na naradę. Stary Miłosz za nic w świecie nie chciał się naradzać z mordercą syna. Ruszyli więc do zagrody knezia dwaj bracia Miłosza: Mściwoj i Zabój, a z nimi wielu młodych Leszków. Chwostek oczekiwał ich w bramie z odkrytą głową, Brunhilda przyjęła ich z największą uprzejmością. Zaprosiła ich na ucztę. Podawano potrawy i napoje. Kneź namawiał krewnych, żeby się z nim połączyli przeciw kmieciom. Leszkowie nie chcieli się na to zgodzić; dawniej kneź nie pytał ich o radę, lecz mordował kmieciów, a nawet porywał się na krewnych, dopiero teraz prosi ich o pomoc. Niech zaprzestanie okrucieństw, niech rządzi sprawiedliwie, a kmiecie nie będą się buntowali.

Chwostek zawrzał gniewem, ale udawał spokojnego. Porozumiał się tylko oczyma z Brunhildą, a ta kazała podać najlepszego miodu. Miód smakował bardzo Leszkom, więc go pili ochotnie. Wkrótce jednak ten napój zaczął im palić wnętrzności; zrozumieli, że ich otruto. W strasznych bólach pomarli wszyscy do jednego. Tylko Żuła, stary sługa Mściwoja, uszedł szczęśliwie i oznajmił Miłoszowi o śmierci braci.

Miłosz z żoną, oślepionym synem i czeladzią opuścił swój dwór i udał się na wyspę na jeziorze Lednicy, gdzie było najbezpieczniej. Na tej wyspie zebrali się mnóstwo kmieci, którzy się naradzali nad tem, jakby się obronić przed srogością Chwostka. Po długich żalach i naradach okrzyknęli wodzem Mieszka, tego, który ich prowadził do zagrody knezia. Niech on im rozkazuje, z nim pociągną na gród knezia, zburzą go, a samego okrutnika ubiją. Wołali o stanice, które w czasie pokoju znajdowały się w chrampie. Stanice były to stare wyobrażenia bogów i znaki wojenne, noszone na długich tykach przed wojskiem. Mieszek jednak kazał stanice zostawić w chrampie i o wojnie nic nie wspominać. Ułożył on inny plan: Niech kmiecie siedzą spokojnie po swoich zagrodach. Chwostek uwierzy, że się ulękli, że wojny nie będzie, wybierze się na polowanie, a wtedy Mie-

szek z ludźmi napadnie go znienacka i zamorduje. W ten sposób oszczędzi się wiele krwi. Plan ten powierzył Mieszek tylko zaufanym.

Urządzono więc zasadzkę w lesie, spodziewając się, że kneź wkrótce wybierze się na łowy. Jakoż nie omylili się Myszkowie w swych rachubach. Po kilku dniach Chwostek, widząc, że kmiecie nie myślą o buncie, wyjechał do lasu na polowanie z garstką swoich ludzi. W głębi lasu spotkali starą babę Jaruhę, której się wszyscy bali, bo ją uważali za czarownicę. Jaruha ostrzegała knezia, żeby się nie posuwał dalej w puszczy, bo tam czatują na niego Myszkowie, czyli Mieszkowie, ale za późno. Właśnie w tej chwili zaczęli go otaczać zbrojni ludzie i kilku z jego służby zranili oszczepami. Kneź rzucił się do ucieczki, Myszkowie za nim w pogoń. Po drodze Chwostek i Smerda skręcili na prawo, reszta ludzi z wielkim krzykiem pędziła w lewo. Pogoń zwróciła się w tę stronę, skąd krzyki było słyhać, knezia i Smerdy nikt nie ścigał. Uciekali dalej, dopóki konie pod nimi nie padły, więc dalej szli pieszo, aż zmęczeni i głodni doszli do chaty Piasta i prosili go o gościnę. Kmieć zaprosił ich w dom swój i podał im jadła i napoju. Wtem nadjechali Myszkowie w pogoni za kneziem. Piast ukrył Chwostka i Smerdę w komorze i zapewnił ich, że im włos z głowy nie spadnie, dokąd są jego gośćmi. Myszkowie ani przypuszczali, że ścigany kryje się w chacie zacnego Piasta, napoił konie i odjechali, a Chwostek ze sługą udali się na gród.

Następnego dnia przybyli do chaty Piasta dwaj nieznanymi o pięknych i pogodnych twarzach i przemówili do niego językiem zrozumiałym choć nie lechicką mową Polan, prosząc go o gościnę. Kmieć przyjął ich jak mógł najgościniej i wdał się z nimi w rozmowę. Nieznajomi opowiadali mu o jednym Bogu, który rządzi całym światem, który dla dobra ludzi cierpiał i umarł na krzyżu. Tego Boga wyznają już bracia Słowianie w Czechach i na Morawach, oby i Polanie do nich się przyłączyli, wówczas łatwiej mogliby się oprzeć Niemcom. Jeszcze mówili przybysze, gdy w okolicy ukazały się ognie, gorejące w pewnem oddaleniu od siebie.

Piast wytłómaczył gościom, że są to, t. zw. »wici ogni-ste«, które zwołują kmieciów do walki z okrutnym kneziem. Niechaj się jednak podróżni niczego nie obawiają, walka zacznie się dopiero za kilka dni, a i w ten czas nikt im nie wyrządzi krzywdy.

Kmieć zatrzymał przybyszów do następnego dnia, w którym się miały odbyć postrzyżyny jego synka siedmioletniego na znak, że przechodzi z opieki matki pod władzę ojcowską. Nazajutrz tłumy ciągnęły koło chaty Piasta pod kneziowski gród, który miano oblegać. Wielu kmieci zatrzymało się w chacie Piasta, aby wziąć udział w uroczystym obrzędzie postrzyżyn. Zacny gospodarz i żona jego Rzepica albo Rzepicha zastawili stoły potrawami i napojami, ale obawiali się, czy starczy wszystkiego dla gości, którzy się tak licznie zebraли.

Matka przywiodła biało ubranego chłopca z ropuszczo-nymi włosami, których od urodzenia nie tknęły nożyce i od-dała go w ręce ojca. Piast pokropił synka wodą ze świę-tego źródła, a potem nożycami przystrzygł mu nieco włosy nad czołem. Goście po kolei przycinali włosy chłopcu. Na-stępnie ojciec zwrócił się do owych podróżnych i prosił ich, aby wymyślili imię jego synowi. Młodszy z nich w imię Ojca, Syna i Ducha świętego ochrzcił chłopca Ziemowidem, t. j. człowiekiem, który będzie widział ziemię swoją szczę-śliwą. Kmiecie jako poganie obrzędu chrztu nie zrozumieli, ale piękne imię bardzo się im podobało a najwięcej Pia-stowi, który gorące dzięki składał nieznanym. Obrzęd po-strzyżyn skończył się prastarą pieśnią, którą śpiewały nie-wiasty i dziewczęta, a w której była prośba o błogosławień-stwo dla chłopca. Udali się potem zebrani na mogiły ojców, aby im złożyć ofiarę, podróżni tymczasem niepostrzeżenie opuścili dom Piasta.

W kilka dni później niezliczone tłumy kmieciów oble-gły gród Pepełka. Kneź kazał wzmocnić wały obronne, most spalono, aby oblegającym utrudnić przystęp do bramy. Chwo-stek miał nadzieję, że kmiecie po kilku dniach rozejdą się do domu, Brunhilda nie bardzo się łudziła. Obawy jej



wkrótce się spełniły. Kmiecie z taką zaciekłością i w tak ogromnej liczbie rzucili się do zdobywania grodu, że ludzie dworscy w żaden sposób nie mogli się im oprzeć. Wielu oblegających potonęło w jeziorze, ale drudzy dostali się do wałów, wyłamali bramę i, mordując obrońców, dostali się do środka grodu. Brunhilda, Chwostek i reszta ludzi knezia z największym pospiechem schronili się na wieżę, na którą można się było dostać tylko po drabinie. Gdy kmieciowie chcieli podstąpić pod wieżę, posypał się na nich grad kamieni; cofnęli się i zrozumieli, że siłą nie zdobędą potężnej wieży. Spalili wszystkie drewniane budynki knezia, a potem naradzali się, co począć. Myszkowie, którzy dowodzili kmieciami przy zdobywaniu grodu, zostali w pobliżu wieży, aby Chwostka i jego ludzi zamorzyć głodem; reszta oblegających rozeszła się do domów.

Na wieży tymczasem działy się straszne rzeczy. Ludzi było dużo, jadła za mało, o wodę było trudno. Brunhilda więc wytruła połowę pachółków, a reszta mogła się trzymać czas jakiś. Spodziewała się księżna odsieczy, którą synowie mieli przyprowadzić. Odsiecz nie nadchodziła, a tymczasem we wieży wybuchł jakiś bunt, bo oblegający słyszeli okropne krzyki i jęki. Po kilku dniach zapanowała na wieży cisza śmiertelna, widać wszyscy wyginęli. Kmiecie dostali się do środka po drabinach i znaleźli tylko cuchnące trupy, które zakopano, albo wrzucono do jeziora, aby powietrza nie truły. Tak zginął okrutny kneź, który nie chciał szanować starego obyczaju i wolności kmieci.

### III.

Zbierali się potem kmiecie kilkakrotnie na wiec, aby wybrać nowego knezia, ale nie było zgody. Każdy chciał zostać kneziem, radzono, kłócono się i rozchodzono do domów. Leszków, potomków kneziowskiego rodu, była jeszcze liczba wielka, bo wszystkich Chwostek nie wygubił; spodziewali się, że jednego z nich kneziem obiorą. Myszkowie,

którzy najwięcej przyczynili się do zguby okrutnego Pepełka, chcieli dać knezia ze swojego rodu. Byli i inni, którym się uśmiechała godność książęca, ale na jednego nie mogli się zgodzić.

Tymczasem nadeszły wieści, że Niemcy i Pomorcy ciągną na Polan. Prowadzili ich synowie Popiela. Chcieli oni pomścić śmierć rodziców na kmieciach, których wieszano bez litości, gdy ich tylko przychwycono. Niejaki Dobek, możny żupan, mąż dzielny, zebrał ludzi i ruszył przeciw wrogom. Skradał się ostrożnie lasami, aż się zbliżył do obozu nieprzyjacielskiego. Na polance odpoczywali Pomorcy, uczując i pastwiąc się nad kobietami i dziećmi, wziętymi w niewolę. Na boku leżeli jeńcy, ranni, wynędzniali, skrępowani powrozami, jęcząc boleśnie. Niemcy stali osobno na wzgórzu, otaczając dwóch synów Chwostka; była ich garstka mała, ale uzbrojeni byli doskonale.

Polanie pod wodzą Dobka rzucili się na wrogów, którzy nie spodziewali się napadu i potracili głowy. Nawet nie próbowali obrony, lecz rzucili się do ucieczki. Niewielu jednak uciekło, Polanie wyrznęli ich prawie wszystkich; pomagali im w tem gorliwie jeńcy, uwolnieni z więzów. Niemcy tylko i synowie knezia uciekli, bo znajdowali się z drugiej strony łąki, znacznie oddalonej od Polan. Pomorców, których nie zabito, skrępowano powrozami i pędzono do zagród kmiecych jako niewolników. Ludek, syn starego Wisza, poznał między nimi owego Hengę, który przyjeżdżał z towarzyszami do domu jego ojca, a teraz widocznie Pomorcom wskazywał drogę w środek kraju Polan. Popędził więc Niemca do swojej zagrody, aby go okuć w dyby i zmusić do ciężkiej pracy rolnej.

---

Doman udawał się kilka razy na ostrów na Lednicy do chramu, gdzie Dziwa strzegła świętego ognia. Dziewczyna, która go miała za zabitego, krzyknęła z przestachu, gdy go pierwszy raz zobaczyła. Później dowiedziała się, jak się wyleczył z rany i rozmawiała z nim kilka razy. Choć serce

jej zaczęło się już zwracać ku zakochanemu młodzieńcowi, nie chciała mu tego okazać. Stary Wizun, który go dzieckiem na rękę piastował, radził mu, aby sobie poszukał innej kobiety na żonę. Usłuchał Doman jego rady.

Nad brzegiem jeziora Lednicy mieszkało kilka rodzin zdunów czyli garncarzy. Najbogatszym z nich był stary Mirsz, człowiek mądry i powszechnie szanowany. Miał on córkę Milę, jedynaczkę młodą i ładną, która nie kryła się z tem, że się jej Doman podoba. On też poprosił ojca, żeby mu ją dał za żonę. Mirsz zgodził się chętnie rad, że jego córka wyjdzie za bogatego kmięcia i żupana. Naznaczono dzień wesela. Mila dobrała sobie drużek sześć: wszystkie młode, hoże i wesołe. Doman też sześciu družbów prowadził z sobą, chłopców dorodnych, w ich liczbie i Ludka, syna Wisza, z którym się już był pogodził. Od ojca dziewczyny i od pana młodego poszły zaprosiny od zagrody do zagrody z wieńcami i śpiewami. Chatę wybielono, wymieciono i wykadzono jałowcem. Strojna była Mila w najcieńsze płótno, w najpiękniejsze pierścienie, które dostała od ojca.

Przed przybyciem młodego zaczęto już mieścić korowaj czyli placek weselny. Dziewczęta koło dzieży stały i sypały w nią siedm miarek mąki, jak śnieg białej, lały miód, lały wodę kryniczną i śpiewały pieśni weselne. Narzeczona udawała smutną, bo taki był obyczaj. Niewiasty miesiły ciasto, nucąc pieśni obyczajowe. Z pieśnią odbył się taniec koło dzieży, w której ciasto rosło, z pieśnią zaczęto lepić miśternie korowaj święty. Gdy korowaj był skończony, ulepiony, ustrojony, z nową pieśnią do pieca go niesiono uroczyście. Zamknięto piec, przy którym starsze niewiasty pozostały na straży, a pannę młodą posadzono uroczyście na ulu, zasłanym ręcznikami i družki w jej imieniu smutną pieśnią żegnały dom, gdzie się wychowała, źródło, z którego wodę czerpała, ogródek, gdzie rutę siała i t. d.

Pana młodego nie było jeszcze, wyglądano go co chwila. Gdy się Doman ukazał w dali na koniu, druchny zaczęły wołać: »księżyc jedzie młody«. Panu młodemu towarzyszyło konno sześciu družbów, w kołpakach skórza-

nych z piórami, w pasach ozdobnych, w szatach suto bramowanych, z ręcznikami bogato szytymi przez ramiona. Pan młody, choć blady jeszcze, krasą i odzieżą wszystkich gasił. Pas na nim cały był z kółek złocistych, pod szyją zapinka świecąca, u boku lśniący miecz, na głowie czapka z piórem i łańcuszkiem. Wpuszczono ich dopiero wtedy, gdy dali bogate dary. Pieśni śpiewano przez całą noc. Młody siedział przy Mili, której jakoś dziwnie było smutno.

O wschodzie słońca ruszył cały pochód na uroczysko pod dęby święte; stary ojciec miał ich tam błogosławić. Drużby na konie posiadali, pannę młodą wsadzono na wóz, kwiatami przystrojony. U starego dębu młodzi szli po kolei wszystkich prosić o błogosławieństwo, padli ojcu do nóg, przybranej matce, wszystkim stojącym dokoła. Potem oboje, wzięwszy się za ręce, kołaczem się łamali; włożono im korony na głowę, pili z jednego kubka, dłoń w dłoń siedm razy dęb święty obeszli dokoła i ojciec ich trzykroć ziarnem obsypał, a drużyna ciągle nuciła pieśni weselne. Wylano napój bogom na ofiarę, odpędzono czary i uroki, kadzono zielem, rzucano liśćmi, kropiono wodą i orszak cały nazad się puścił do chaty.

Tutaj zaczęto nowe pieśni. Dziewczęciu włosy ucięto i głowę czepcem osłoniono. Płakała, gdy ją drużki żegnały. Zanucono pieśni o chmielu, bo też chmiel w głowach szumiał. Drugą noc całą przetańczono i prześpiewano.

Rankiem stanęła wśród gości weselnych stara Jaruha, przerażona wielce i oznajmiła, że Pomorcy się zbliżają. Wszyscy rzucili się do ucieczki. Doman siadł na koń, porwał żonę i uciekał galopem. Dopędzili go jednak dzicy Pomorcy, skrępowali i przywiedli z powrotem nad jezioro. Miła umarła, raniona oszczepem. Nadeszła noc. Gdy straż zasnęła, Doman oswobodził się z więzów, skoczył do jeziora, przepłynął je i dostał się na wyspę, gdzie go otoczono troskliwą opieką. Ranny był, więc mu obwiązano rany, a Dziwa przynosiła mu niekiedy jedzenie i opatrunek mu raz zmieniała.

Stara Jaruha dostała się także na wyspę. Sama ofiarowała się Domanowi, że serce dziewczyny skłoni ku niemu;

gdy spotkała Dziwę, zaczęła jej zręcznie przedstawiać, jakie to smute życie czeka ją w chramie: przy ogniu musi się piec, dym jej oczy wygrzyzie, zamęczy się. Los znowu przy-



Ślepy gęślarz znachodzi nieżywego Miłosza, scena z *Starej Baśni*.  
(Rysunek Andriollego).

niósł Domana na wyspę, widać takie przeznaczenie, by on został jej mężem. Zadumała się dziewczyna, ale nic nie odrzekła.

Pomocy i Niemcy kraj napadli i łupili, a kmiecie, żu-

pani i władcy tracili na wiecach czas daremnie i knezia obrać nie mogli. Zjawił się między nimi stary Wizun z wyspy na Lednicy i radził im, aby wybrali ubogiego i pokornego, gdy się nie mogli zgodzić na możnego i bogatego. Przybyli i owi dwaj nieznajomi, co to byli na postrzyżynach u Piasta i tę samą radę powtórzyli, a nawet wprost doradzali wybór Piasta. Zgromadzeni zrozumieli, że taka jest wola bogów, aby im Piast panował. Wezwali go więc na naradę i tutaj jednogłośnie okrzyknęli go księciem.

Nie chciał ubogi kmieć przyjąć tej wysokiej godności, bo się bał, że nie potrafi rządzić całym narodem; uciekł nawet i krył się po lasach, ale go odszukano i uproszono, żeby objął rządy.

Nowy kneź wezwał wszystkich poddanych, aby z nim ciągnęli na wojnę, bo doszły wieści, że Pomorcy znowu napadli na kraj Polan i zabijali ludzi, np. zamordowali starego knezia Miłosza i całą jego rodzinę. Ślepy gęślarz Słowan natrafił na zwłoki zabitego Miłosza. Piast mianował wojewodami ludzi dzielnych a skromnych, zaprowadził ład wśród swoich i poprowadził ich na wroga.

Wojowniczy Dobek odznaczył się znowu, ale naraził się na wielkie niebezpieczeństwo. Za zgodą Ludka zabrał on z jego zagrody owego Niemca Hengę, który był do różnych robót przydatny. Niemiec, ośmieliwszy się, począł nakłaniać Dobka, aby się połączył ze synami Chwostka, obiecując mu w ich imieniu wielkie nagrody. Dobek zgodził się niby na to, udał się do obozu nieprzyjaciół, przypatrzył się ich liczbie i uzbrojeniu, umówił się z wodzami, że zdradzi Polan podczas bitwy i przejdzie na stronę Pomorców i Niemców. Potem wrócił z Hengą, którego po drodze spalił na ognisku; tak znienawidził zdradliwego Niemca. Obecnie Dobek opowiedział wszystko Piastowi i dodał otuchy Polanom, gdy im oznajmił, że Pomorcy nie przewyższają ich liczbą.

Koło jeziora Lednicy spotkały się oba wojska. Zawrzała walka. Polanie wkrótce przełamali szyki wrogów, otoczyli ich ze wszystkich stron i mordowali bez litości.

Niemcy z oboma synami Pepełka uszli i tym razem nieopstrzeżenie zaraz na początku bitwy. Klęska dzikich najezdców była straszna. Cała dolina i dwa wzgórza pokryte były ich trupami. Dwóch wojewodów wysłano w kraj Pomorców, aby im odpłacić za ich napady i odstraszyć ich na długo od pustoszenia ziemi Polan. Dobek, który walczył zaciekle, był ranny w nogę. Sambor i Doman w łódce przewieźli go przez jezioro na wyspę, gdzie umiano rany opatrywać. Doman znowu miał sposobność spotykać Dziwę, która oczy spuszczała i rumieniła się w jego obecności. Młody kmieć po krótkim pobycie na wyspie powrócił do swojej zagrody, ale nie wyrzekł się chęci zyskania córki Wisza za żonę.

W jakiś czas potem dobrotliwy Piast pozwolił synom Chwostka wrócić do kraju, gdy przysięgli uroczyście, że pokoju nie zakłócą. Leszkowie zawarli mir wieczysty z kmieciami, że odtąd będą żyć zgodnie na jednej ziemi.

---

Doman wybrał się znowu na ostrów niby w odwiedziny do Dobka. Prowadził ze sobą najdzielniejszych ludzi ze swojej czeladzi. Ci podpłynęli pod samą wyspę i czekali. Gdy Dziwa przechodziła koło brzegu, porwał ją Doman i ponióśł do łódki. Dziewczyna krzyknęła, ale nie bardzo się broniła przed tem drugim porwaniem. Doman odwiózł ją do domu Ludka, bo stamtąd chciał ją pojąć za żonę. Ani Dziwa, ani bracia już się teraz temu nie sprzeciwiali. Widać takie było przeznaczenie.

---

O życiu dawnych Słowian a więc i Polan mamy bardzo skąpe i niepewne wiadomości, więc Kraszewski musiał wiele dodać z własnej fantazyi. Według jego powieści można wyróżnić trzy warstwy wśród Polan: 1) kneziów, t. j. licznych potomków Lecha, 2) kmieciów i 3) osadników. Kneziowie uważali się za coś lepszego od kmieci, może być, że mieli większe posiadłości i więcej służby. Kmiecie byli jakby dzisiejszymi właścicielami dóbr, mieli więc rozległe grunta

i lasy oraz licznych domowników. Kmieć np. stary Wisz, a potem syn jego Ludek był naczelnikiem rodu, który składał się z kilkudziesięciu ludzi: mężczyzn, kobiet i dzieci. Wszyscy oni musieli słuchać najstarszego. Kmieć osadzał na swoich gruntach ubogich ludzi, którzy mu płacili daniny. Ci osadnicy mieli różne nazwy: np. rybaki, jeżeli trudnili się łowieniem ryb, zduny albo garncarze, jeżeli wyrabiali garnki i t. d. Jeńców, schwytanych na wojnie, używali kmiecie i kneziowie do najcięższych robót. Nad całym krajem panował kneź czyli książę, który jednak był obowiązany słuchać rady starszyny, gromadzącej się na wiecach. Słowianie czcili wielu bożków, a najstarszym z nich był Światowid, którego kamienne wyobrażenia ustawiali przy drogach. Czytaliśmy powyżej, jak Polanie obchodzili święto Kupaty czyli boga słońca. Nasze sobótki są tylko dalszym ciągiem tej uroczystości.

W kontynach czyli świątyniach utrzymywały dziewice-kapłanki wieczny ogień na cześć jakiegoś bożka, a obrzędy religijne spełniali kapłani, np. stary Wizun.

Poznaliśmy również różne obrzędy i uroczystości słowiańskie, np. jak się odbywał pogrzeb, jak wyglądało wesele i t. d. Słowianie odznaczyli się wielką gościnnością, którą słynął np. zacyjny Piast, obrany księciem po okrutnym Popielu.

---

Potomkowie tego Piasta panowali w Polsce przez 500 lat i rozszerzyli znacznie granice państwa polskiego. Jeden książę z tego rodu Mieczysław I. zaprowadził, jak wiemy, w Polsce wiarę chrześcijańską w r. 966, a syn jego Bolesław Chrobry pokonał nawet cesarza niemieckiego i koronował się uroczyście na króla polskiego. W wielu powieściach historycznych opisuje Kraszewski panowanie Piastów w Polsce. Ostatni z tego rodu Kazimierz Wielki opiekował się chłopami i bronił ich przed złymi panami i szlachtą.

W powieści *Król chłopów*, opisuje Kraszewski, jak to Kazimierz wstępował do chat wieśniaczych, naradzał się z gospodarzami, wypytywał się o ich potrzeby, jak postarał



się o nadanie narodowi mądrych praw, które nie pozwalały możniejszym krzywdzić słabszych.

---

Królowa polska Jadwiga wyszła za Władysława Jagiełłę, księcia litewskiego, który kazał ochrzcić całą Litwę. W ten sposób Polska i Litwa utworzyły jedno wielkie państwo. Potomkowie Władysława Jagiełły panowali w Polsce przez lat dwieście. Za dwóch ostatnich królów z tego rodu: za Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta zaczęła się szerzyć w Polsce wiara Lutra, co przedstawia Kraszewski w powieści: *Powrót do gniazda*, napisanej w r. 1874.

---

---

### Powrót do gniazda.

Ulicą niemieckiego miasta Wittembergi szedł w stronę rynku w pogodny wieczór jesienny jakiś człowiek lat średnich, otulony opończą, z pod której wyglądała krzywa szabla. Ujrawszy w rynku chłopca, siedzącego na schodkach pięknego domku, zatrzymał się i zawołał nań po cichu. Chłopiec, któremu było na imię Józef, zdziwił się bardzo, gdy usłyszał znajomy sobie głos; zbiegł ze schodów i wnet znalazł się obok wołającego, w którym poznał podstarościego pana wojewody z Rochowa. Udali się obaj do gospody, gdzie podstarość chwilowo zamieszkał. Ten, wprowadziwszy Józka do swej izby, wyjaśnił chłopcu, że przyjechał do Wittembergi, aby się od niego dowiedzieć o sprawowaniu się młodego wojewodzica Janusza. Podstarość kazał Józkowi powiedzieć szczerą prawdę, bo on tu przyjeżdża na zwiady nie po raz pierwszy i wiele od innych o paniczu słyszał. Józiek patrzył przez ten czas z zakłopotaniem na podstarościego, a potem powiedział, że panicz jemu z niczem się nie zwierza. Wreszcie na nalegania podstarościego przyznał, że Janusza zatrzymuje w Wittemberdze nie nauka

lecz dziewczyna Niemka. Janusz zakochał się w córce złotnika cesarskiego i, ilekroć do niej pójdzie, siedzi długo, jakby go tam przykuło. Opowiadanie chłopaka zmartwiło podstarościego nie mało. Zapytał Józka, czemu stary złotnik na to pozwala; przecie powinien wiedzieć, że syn polskiego wojewody córki jego, mieszczki, za żonę nie weźmie. Józiek tłumaczył, że Niemiec nie zna stosunków polskich, zresztą spodziewa się otrzymać za pieniądze szlachectwo od cesarza. Równie smutna była druga wiadomość, że Janusz porzucił wiarę ojców, a przyjął religię Lutra. Podstarości napomniał Józka, by o jego pobycie nie mówił wojewodzie. Chłopak począł się żalić, że mu smutno w niemieckim mieście; możeby i panicz wrócił, bo nieraz z tęsknotą wspomina o ojczyźnie, ale miłość ku pięknej Niemce nie daje mu myśleć o wyjeździe. Podstarości ze zmartwienia nie chciał nawet z ukrycia popatrzeć na Janusza. Po serdecznem pożegnaniu z odjeżdżającym podstarościem, chłopak pospieszył ku domkowi i usiadł na dawnym miejscu. Tymczasem na dworze nastąpiła noc ciemna ale pogodna. Po jakimś czasie usłyszał Józiek głos i wesoły śmiech wojewodzica, prowadzącego żywą rozmowę z kimś drugim. Wracał właśnie z gospody studenckiej »Pod złotym gołębiem« i zbliżał się ku domowi złotnika. Towarzyszył mu student teologii luterskiej Niemiec Gustaw, który wobec urody wojewodzica wyglądał niby szkaradna poczwara. Przed kamieniczką złotnika Janusz pożegnał towarzysza, sam zaś skierował się ku schodom, gdzie go oczekiwał Józiek.

W pięknym pokoju w domu złotnika Hansa Hennichena, tego samego wieczora przed weneckiem lustrem stało może 15-stoletnie dziewczę i wpatrywało się uważnie w swoją smutną chwilowo twarzyczkę. Była to panna Fryda, córka złotnika Hennichena, ukochana Janusza. Dziewczę stałoby może dłuższy czas przed zwierciadłem, gdyby nie przeszkodziło temu wejście już niemłodej, czarno ubranej kobiety. Była to krewna gospodarza domu, pani Gertruda. Weszła po cichu do pokoju jak szpieg i zdołała zauważyć smutek Frydy. Gdy dziewczę zobaczyło ciotkę, nie rozweseliło się

jej przybyciem, lecz poczęło się krzątać po pokoju. Gertruda zauważyła jej zmieszanie i poczęła się dopytywać o powód smutku. Fryda odpowiedziała, że smutna nie jest, lecz zmęczyła się przechadzką. Ciotka domyśliła się, że dziewczyna coś ukrywa. Poczęły rozmawiać szeptem, wtem do pokoju weszła druga ciotka imieniem Lena. Fryda poweselała na jej widok, bo ciotka Lena nie szpiegowiała jej, ani nie nudziła pytaniami. Niebawem ukazał się wojewodzie i uprzejmie pozdrowił obecne kobiety. Dziewczę zdawało się być zmieszane i ucieszone przybyciem Janusza. Gdy ten począł usprawiedliwiać się ze swego spóźnienia, Lena najpierw, później Gertruda wyszły z pokoju, dokąd wszedł za chwilę bogato ubrany, poważny pan domu. Młodzi powitali Hennichena z uszanowaniem. W chwilę później wniesiono do przyległej komnaty wieczerzę, do której wszyscy troje zasiedli. Przy jedzeniu gospodarz opowiedział Januszowi, że widział w mieście rano jakiegoś szlachcica polskiego na koniu z dwoma pachołkami. Wojewodzie zdziwił się bardzo i przywołał Józka, który zapytany o Polaków zmieszał się bardzo, ale oświadczył, że nikogo z Polski nie widział. Po wieczerzy udał się Janusz za Frydą do drugiego pokoju. Oboje się martwili tem, że Janusz musi wracać do Polski i przyrzekali sobie miłość i wierność. Weszły ciotki i ojciec, który prosił córkę, aby zagrała na cytrze, ale prośby jego nie pomogły, gdyż Fryda nie chciała dzisiaj ni śpiewać ni grać, niby z przemęczenia. Ponieważ zaś godzina była już późna, więc wojewodzie wyszedł, żegnając ukochaną i jej ojca.

Janusz miał dwa pokoiki w tym samym domu nad mieszkaniem Hennichena. Powrócił do siebie smutny i przygnębiony. Józkiek zdziwił się bardzo, bo zwyczajnie wojewodzie wracał ze śpiewaniem. Stosunek wojewodzica do chłopca, który był sierotą ale szlachcicem, był przyjacielski. Józkiek był sługą ale i bratem Janusza. Toż obydwaj przed sobą nie mieli tajemnic, dopiero od niejakiego czasu wiele się zmieniło. Chłopak, któremu tęskno było do swoich, często namawiał pana do powrotu, a wojewodzie nie mógł się wy-

rwać z Wittembergi i stąd nieporozumienia chwilowe. Wróciwszy do domu, chciał się Janusz znowu od Jóźka dowiedzieć czegoś o owych Polakach, o których złotnik wspominał, ale chłopak nie przyznał się i teraz, że widział podstarościego. Począł się nawet skarżyć na tęsknotę za krajem. Wojewodzie powinien uciekać od tych Niemców, którzy go tak zbałamucili, to nie może być, żeby ich nowa religia poczciwa była i lepsza od starej. Janusz słuchał go ze smutkiem, a potem zwierzył mu się ze swej miłości ku córce Hennichena, czego się Józiek dawno domyślał. Dla niej wyrzekły się wojewodzie nawet domu i rodziców.

Wtem zapukano do drzwi i weszli: ryży Gustaw z posłańcem, który przyniósł listy dla wojewodzica. Niebawem obaj przybysze oddalili się, a Janusz odczytał list od ojca, który nakazywał synowi wracać natychmiast do domu. Józiek uradował się wielce i zabrał się zaraz do pakowania a Janusz przygnębiony rzucił się na łóżko i leżał przez dłuższy czas w smutnej zadumie. Noc była już głęboka, gdy wojewodzie wstał i otworzył okno na ogród. Na dole Fryda otworzyła także okno swego pokoiku i spojrzała ku górze. Wtem ozwał się głos ciotki Gertrudy, widzenie znikło, a za chwilę okno zamknięto.

Na drugi dzień panował w mieszkaniu wojewodzica gorączkowy ruch. Koledzy przychodzili go żegnać, a ryży Gustaw Tilius, ów teolog, nie odstępował go ani na krok, dopiero ku południowi mógł się wojewodzie uwolnić od jego towarzystwa. Na dany znak przez służącą zbiegł na dół i znalazł się w pokoiku Frydy. Dzieweczka, ubrana na czarno, była smutna, w ręce trzymała zwiędłą gałązkę. Zaledwie zaczęli rozmowę, weszła ciotka Gertruda, a potem Hennichen, który podarował Januszowi prześliczny kubek srebrny, pozłacany. Następnie pokazał mu złotnik dokument, którym mu cesarz nadawał szlachectwo. Po obiedzie Fryda szepnęła tylko młodzieńcowi, aby czekał na nią za godzinę pod murami miasta. Wojewodzie oddalił się i zajął się przygotowaniem do podróży. Godzina minęła szybko; Janusz, narzuciwszy płaszcz, wyszedł na oznaczone miejsce. Po kwa-

dransie ukazała się Fryda z ciotką Leną. Ta ostatnia zdawała się nie uważać na Frydę i zbierała kwiatki. Panna pobięła ku Januszowi. Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy młodzi poczeli szeptem prowadzić rozmowę. Fryda, przybrawszy wyraz uroczysty, zdjęła z palca pierścień i, bawiąc się nim, upuściła go na ziemię. Gdy wojewodzie podjął pierścień, nie chciała go odebrać, lecz prosiła, by go zachował na pamiątkę. Janusz zdjął swój sygnet rodowy i dał go narzeczonej. Oboje przyrzekli nosić obrączki na piersiach jak jaką świętość. Dziewczyna ze wzruszenia omal że nie popadła w omdlenie. Ciocia Lena zauważyła to i poczęła prosić Frydę, by już wracały do domu. Janusz towarzyszył im chwilę, a potem wrócił do gospody pod »Złotego gołębia«, by kilku starszych towarzyszy uroczyście pożegnać. Gdy wszedł, przywitali go z wrzawą i wesołością. Kazał tedy gospodarzowi przynieść przedniego wina. Rudy Gustaw Tilius zachęcał wojewodzica, aby szerzył w swoim narodzie zrozumienie nowej nauki luterskiej. Po chwili milczenia odpowiedział Janusz, że będzie starał się to uczynić, choć przyjdzie mu to z wielką trudnością. Gustaw zaczął się wpraszać, aby go Janusz wziął z sobą do Polski, jako towarzysza w szerzeniu wiary Lutra. Januszowi nie wypadało odmówić, więc musiał się na to zgodzić. Wieczór spędził wojewodzie w domu złotnika, który mu pożyczył pieniędzy na drogę, chociaż Janusz z początku nie chciał ich przyjąć. Fryda była smutna ale spokojna. O świcie hrabia Hans — bo tak Niemcy nazywali Janusza — i Tilius wyjechali z Wittenbergi. W chwili odjazdu piękna Fryda stała w oknie.

Gdy wjechali w granice Polski, Józiek był ucieszony, Janusz sposepniał i był jakby trwożny, Tilius zaś ciągle narzekał na niewygody podróży. Wojewodzie, myśląc, że ojca zastanie w Krakowie, skierował się w tę stronę. Po kilku dniach podróży stanęli w gospodzie blisko miasta. Tu zastał Janusz swego wuja Jeremiego, kasztelana bełzkiego, który mu poradził wracać jak najprędzej do domu do Rochowa, bo go tam niecierpliwie oczekują. Janusz zostawił Tiliusa w Krakowie, a sam z Józkiem pospieszył do rodziców.

Wojewoda, choć prawdziwie kochał jedynaka, jednak nie pieścił go jak matka, lecz wychowywał surowo. Z pewnością nie byłby puścił Janusza na naukę do Niemiec, gdyby go nie nakłonił do tego brat, pisarz koronny. Bogaty ten pan nie miał rodziny; cały majątek przeznaczał dla wojewodzicą, ale żądał, aby bratanek kształcił się za granicą. Wojewoda zgodził się na to niechętnie. Od wyjazdu syna było pusto na zamku. Obecnie wojewoda i żona oczekiwali syna z niecierpliwością.

---

Na podwórzec zamkowy wjechał pełen niepokoju i trwogi Janusz z Józkiem. Z wieścią o tem pobiegł podstarości do wojewodzinej, która, usłyszawszy to, upadła na kolana i dziękowała Bogu za powrót syna. Domownicy aż odżyli, ujrzawszy kochanego panicza. Janusz zsiadł z konia i z nie-małą obawą zwrócił się wprost do pokoju ojca. Ojciec przyjął go jak surowy sędzia, nawet ręki nie dał mu ucałować, lecz rozkazał mu pójść przywitać się z matką. Gdy znalazł się u kochającej matki, ta z radości mówić nie mogła. Wsparta na ramieniu syna, weszła zapłakana z radości do sali, gdzie wisiał Chrystus ukrzyżowany. Ojciec i matka ukłękli do modlitwy; Janusz modliwy katolickie uważał za zabobon, ale musiał ukłęknać, bo nie chciał zaraz w pierwszej chwili zaczynać wojny z ojcem i rozdzierać serca matki. Po modlitwie przybył staruszek proboszcz przywitać się z Januszem, swoim dawnym uczniem. Po krótkiej rozmowie przeszli obecni do sali jadalnej. Do stołu zasiadło przeszło dwadzieścia osób. Wtem usłyszano turkot wozu. Przyjechał brat wojewody, pisarz. Wojewoda był człowiekiem uczciwym, ale surowym i nieugiętym, a do religii katolickiej gorliwie przywiązanym; pan pisarz miał dobre serce, ale był człowiekiem słabym i zmiennym, a księży katolickich nie lubił i pozwalał na szerzenie wiary luterskiej, czyli t. zw. nowinek w swoich dobrach. Dwaj bracia często się kłócili. Przy wieczery wojewoda zapowiedział, że Janusza wkrótce odeśle do wojska, pan pisarz zaś nalegał, aby bratanek wstąpił

do kancelaryi królewskiej. Ojciec nie ustąpił, czem obraził na siebie pana pisarza. Po wieczerzy udał się Janusz na spoczynek. Dziwili się wszyscy, że ojciec wyznaczył mu na mieszkanie dwa nędzne pokoiki nad bramą zamkową.

Rankiem następnego dnia przyszedł pan pisarz do smutnego i zmęczonego wojewodzica, który całą noc nie mógł zasnąć. Stryj począł utwierdzać bratanka w nowej wierze, radził mu stawić opór ojcu i przyrzekał mu swoją pomoc i opiekę. Stąd udał się pan pisarz do wojewody i po długiej kłótni z powodu Janusza wyjechał z żalem i gniewem. Za chwilę ozwał się dzwonek, wzywający domowników pana wojewody na nabożeństwo do kaplicy zamkowej. Ku przerażeniu matki Janusz nie zjawił się na nabożeństwie. Wojewodzina próbowała wytłómaczyć syna chorobą, ale mąż nie chciał słuchać i udał się do jego mieszkania. Ten wyznał przed ojcem całą prawdę, że inaczej nauczył się modlić. Gdy to wojewoda usłyszał, zatrząsł się cały, zbladł, a wreszcie kazał burgrabiemu zaprowadzić Janusza do więzienia. Ten zamknął wojewodzica w lochu, a sam bezprzytomny padł na progu, tak mu żal było panicza.

Wojewoda ciągle jeszcze gniewny kazał Józkowi porozwijać tłumoki Janusza. W nich znalazł listy miłosne od Frydy, księgi heretyckie i wszystko popalił. Proboszcz, uwiadomiony o wszystkim, przyszedł do wojewody, aby się wstawić za Januszem. Atoli wojewoda był niewzruszony, zezwolił tylko, by pleban pomówił z wojewodzicem. Janusz nie chciał się wyprzec nowej wiary, więc staruszek smutny wrócił na plebanię. Wojewoda zaś udał się do żony i przedstawił jej całą prawdę. Słaba niewiasta omdlała, rzucono się jej na ratunek; mąż, widząc, że wojewodzina wraca do przytomności, wyszedł. Był to dzień pamiętny w Rochowie. Trwoga ogarnęła wszystkich. Gdy nadszedł wieczór, wojewodzina zwlokła się z łóżka na modlitwę. Po niej wróciła do siebie i poczęła się namyślać, jakby bez wiedzy wojewody mogła się widzieć z synem. Pierwszy raz miała zamiar sprzeciwić się woli męża.

Nocą udała się wojewodzina z Dubrowiną, swoją to-

warzyszką do więzienia syna. Stary burgrabia na rozkaz pani odemknął drzwi więzienia. Janusz siedział na kamiennej ławie, która mu także miała służyć za poślanie. Gdy matka weszła do środka, podbiegł ku niej i objął ją za kolaną. Wojewodzina nie mogła się utrzymać na własnych nogach, więc siadła na ławie i poczęła zaklinać syna, aby wrócił do prawdziwej wiary. Janusz okazywał jej największe uszanowanie, bolał, że ją tak ciężko zasmuca, ale nie chciał się wyrzec błędów Lutra, bo naukę jego uważał za prawdziwą. Boleść wojewodziny zamieniła się w rozpacz, gdy jej syn wyznał, że miłuje Niemkę Frydę i chce ją pojąć za żonę. Chwiejnym krokiem wyszła biedna matka z więzienia nie oglądając się za siebie.

Nazajutrz wszystko szło po dawnemu. Tylko wojewodzina leżała w łóżku chora. Tak upłynęły dwa dni. Trzeciego zaś dnia o świcie doniósł burgrabia wojewodzie, że panicz zbiegł z więzienia. Ojciec, wybadawszy ludzi, szukał pociechy w modlitwie. Służbie zakazał donosić matce o ucieczce syna, mówiąc, że sam ją w stosownej chwili o wszystkim uwiadomi. Niebawem wszedł stary proboszcz. Przed nim wypowiedział się wojewoda ze swoich win i smutków i oznajmił stanowczo, że syna się wyrzeka, że dziecka nie ma.

Januszowi pomógł do wydostania się z więzienia Józiek, wierny jego towarzysz i sługa. We więzieniu ogarnął wojewodzica smutek, rozpacz niemal. Toteż, zawiąawszy nieco pieniędzy w podszewkę od sukni, wyrzucił je siedzącemu za oknem Józkowi z rozkazem szukania sposobów uwolnienia. Chłopiec pobiegł do miasteczkowego kowala, przekupił go, a po cichej naradzie wrócili obaj. Po półgodzinnej pracy około krat, Janusz mógł swobodnie z więzienia uciec. Hałas i stuk przywołały wprawdzie starego burgrabiego, ale ten, z obawy przed karą czy ohydą zdradzenia pańskiego dziecka, pozwolił mu zbiedz. Janusz i Józiek porwali ze stajni konie i pojechali do Zalesia.

Zalesie składało się z dwóch części: z dworu pana pisarza i z miasteczka, należącego pod jego władzę. W miasteczku szerzył religię Lutra niejaki Zaranek, którego pan



pisarz otaczał swoją opieką. Otóż do tego Zaranka przybył pewnego dnia znany nam Gustaw Tilius z Wittembergi i opowiedział mu, jak to Janusz zakochał się w pięknej Frydzie, córce złotnika i zamyśla się z nią żenić. Zaranek powtórzył to wszystko panu pisarzowi, którego to mocno oburzyło. Do tego on-by nigdy nie dopuścił, aby potomek wielkiego rodu Rochitów żenił się z Niemką, córką mieszczanina. Nic to nie znaczy, że cesarz nadał złotnikowi szlachectwo, ani jego bogactwa nie zastąpią niskiego pochodzenia. Gdy więc Janusz schronił się na dwór pana pisarza, ten przyjął go niechętnie, ale przytułku nie mógł mu odmówić. Usiłował mu wybić z głowy mieszczzańską córkę, ale Janusz nie chciał nawet słuchać i zapowiedział, że pójdzie precz, a nie wyrzeknie się Frydy. Pan pisarz odłożył tę sprawę na później, a tymczasem pojechał do Rochowa, aby się rozmówić z wojewodą. Wojewoda na wszystkie pytania miał jedną odpowiedź: »nie mam syna«. Trudno było wymóżyć na tym żelaznym człeku inne słowo. Od wyrzutów przyszło do sprzeczki i obaj bracia rozeszli się w gniewie. Od plebana dowiedział się pisarz, że wojewodzina z łóżka nie wstaje, ale nie wie jeszcze o ucieczce syna. Wczesnym rankiem wyjechał magnat do Zalesia. Z synowcem spotkali się u wieczerzy. Janusz nic nie pytał, bo z twarzy stryja wyczytał wszystko.

Tymczasem w Rochowie tryb życia gospodarzy zmienił się wielce. Wojewoda nie pilnował z dawną ścisłością służby, a wojewodzina coraz bardziej zapadała na zdrowiu. Nie pomógł jej sam lekarz królewski Carponi, gasła w oczach. W przeczuciu rychłej śmierci wyspowiadała się, a nazajutrz rano posłała po męża. Ostatnia jej prośba brzmiała: »mężu, odpuść Januszowi jego winy«. Z temi słowy na ustach zasnęła pani domu na wieki. Wieść o jej zgonie rozeszła się po miasteczku, a stąd doszła do Zalesia. Wielkie było przygnębienie pana pisarza i straszny ból wojewodzica. Janusz nawet nie myślał, że ojciec może go znowu zamknąć do więzienia. Natychmiast wyjechał ze stryjem z domu, by nie spóźnić się na obrzęd pogrzebowy. Przybyli na czas. Weszli

do kaplicy zamkowej św. Wawrzyńca. Janusz padł na kolana przy trumnie matki, a obok leżał bez ruchu na pół martwy wojewoda krzyżem. Podniósł się, gdy kondukt pogrzebowy ruszył do kościoła parafialnego. Po skończonem nabożeństwie starzec miał przejść obok syna. Groźnie spojrzął na Janusza, który przed nim upadł na kolana i wyszedł, nie wymówiwszy słowa. Po złożeniu ciała wojewodziny do grobowca, pan pisarz i Janusz wyszli z kościoła, by czemprędzej wyjechać z Rochowa.

W Zalesiu postępował Zaranek coraz śmieiej. Starego zacnego proboszcza wypędził z plebanii, a kościół katolicki przeznaczył na nabożeństwa luterskie. On miał być pastorem w tym kościele. Mało jednak zajmował się nabożeństwami, lecz oddawał się zabawom i pijatykom. Wyszukał sobie szesnastoletnią dziewczynę i z nią się postanowił ożenić, chociaż sam miał lat czterdzieści. W dzień pogrzebu wojewodziny urządził właśnie ucztę, na którą zaprosił swoją narzeczoną, owego Gustawa Tiliusa, jakiegoś zakonnika i zakonnicę, którzy pouciekali z klasztoru i chcieli się pobrać. Naczyń kościelnych używali do picia trunków. Wtem zjawił się mężczyzna podstarzały, zbiedzony, nazwiskiem Szałaj. Był to także wyznawca nowej wiary, ale prowadził życie surowe i szukał prawdy. Oburzył się, że Zaranek zamiast ludzi nawracać do religii Lutra, daje zgorszenie i odstrasza ich od nowej nauki. Znał on także jakieś dawne grzechy Zaranka, więc w bardzo ostrych słowach zganił jego łądackie życie i nazwał go niegodziwcem, kłamcą i oszustem. Usłyszał to pan pisarz, który, wracając z pogrzebu, wstąpił do mieszkania Zaranka, bo widział światło w oknach. Wielkiemu panu tak się spodobała śmiała mowa Szałaja, że zaprosił go na swój dwór. Zaranek uciekł ze Zalesia do Krakowa.

---

Od czasu wyjazdu wojewodzica z Wittembergi, u Henrichenów było smutno. Razu pewnego dostał się w ręce ojca Frydy list Tiliusa, w którym donosił o Januszu, jego

więzieniu i ucieczce z Rochowa. Wiadomość o tem sprawiła na złotniku przykre wrażenie. Postanowił przeto wyjechać do Krakowa, niby celem sprzedaży królowi polskiemu Zygmunтови Augustowi drogich kamieni, a w rzeczywistości celem dokładnego zbadania losów Janusza. Otoczony wspa-  
niałym orszakiem sług, wjechał pan Hennichen po kilku dniach podróży do Krakowa i stanął w gościnie u byłego swojego ucznia Geoga Wilmsa. Przez niego i zbiegłego Zaranka dowiedział się stary Hennichen wiele o rodzie Rochitów. Smutna wieść nie zraziła go. Owszem wysłał do wojewodzica list przez szlachcica Szeligę. Lecz pismo przejął pan pisarz, odwrotnie odesłał Niemcowi pieniądze i dołączył niegrzeczny list; na liście podpisał Janusza, żeby się wydawało, że to Janusz już więcej znać nie chce Niemca i jego córki.

W pierwszych zaraz dniach po śmierci wojewodziny wróciło wszystko do dawnego porządku w Rochowie. Tylko wojewoda coraz częściej oddawał się modlitwie. W kilka tygodni po pogrzebie udał się na plebanję po poradę, co ma zrobić z majątkiem, nie mając syna. Lecz proboszcz nie udzielił mu żadnej rady. I odtąd przez dłuższy czas o tej sprawie nie wspomniano. Gdy odwiedził wojewodę kasztelan Jeremi, ten oświadczył przybyłemu, że założy klasztor i sprowadzi do niego OO. Franciszkanów, którym też odda swój majątek. Nazajutrz po wyjeździe kasztelana wieść o tem rozeszła się po okolicy i doszła do Zalesia. Pan pisarz wyjechał do Rochowa i spotkał się z bratem u proboszcza. Jak zwykle gwałtowny począł wojewodzie wyrzucać jego niesprawiedliwe postępowanie wobec syna. Kłótnia, jaka stąd powstała, o mało nie zakończyła się braterską bójką. Lecz wojewoda opamiętał się i bez pożegnania wybiegł do kościoła. Pisarz wyjechał do Zalesia, postanawiając wezwać pomocy samego króla w tej sprawie. W jakiś czas potem zabrał ze sobą Janusza do Krakowa.

---

Stary Hennichen, otrzymawszy list z Zalesia, nie bardzo wierzył, żeby go Janusz mógł napisać. Wkrótce zaczął gotować się do podróży do domu, przyrzekając, że wróci do Krakowa, ale z córką i na stałe. I rzeczywiście pojechał do Wittembergii i, niedługo zabawiwszy, powrócił z Frydą i ciocią Gertrudą do Krakowa. Wiedział o tem Zaranek, mieszkający teraz w stolicy. Gdy zobaczył Janusza, opowiedział mu o obecności Hennichena z Frydą w Krakowie i wskazał ich mieszkanie. Janusz z daleka spostrzegł Frydę, siedzącą w oknie. Miłe było ich przywitanie, ale rozmowę kochanków przerwał stary złotnik, który chciał się dowiedzieć, czy to Janusz pisał ów niegrzeczny list. Janusz zdziwił się bardzo i oświadczył, że żadnego listu do Hennichena nie pisał. Gdy młodzi zostali na chwilę sam na sam, okazaniem pierścionków przypomnieli sobie wzajemne przysięgi. Na rozmowie i śpiewach przepędzili cały wieczór.

Wreszcie Janusz opuścił dom złotnika i pospieszył do gospody stryja. Na wstępie dowiedział się od niego, że do Krakowa przyjechał ojciec, który chce ich uprzedzić u króla. Nazajutrz spieszył pan pisarz na zamek, by zapytać o zdrowie królewskie. Po drodze dowiedział się od podstarościego, że wojewoda ciężko zachorował. Pisarz przestraszył się bardzo, gniew opadł, dawne przywiązanie wróciło. Spytał, gdzie stał gospodą i bez namysłu poszedł do brata, który go przyjmował z wielką niechęcią. Dopiero nazajutrz dał się wojewoda przebłagać, tylko Janusza widzieć nie chciał. Gdy się nawróci, wtedy dopiero pan pisarz w imieniu ojca udzieli mu błogosławieństwa. Taka była ostatnia wola chorego. W trzy dni potem ulicami miasta Krakowa ciągnął wspaniały orszak pogrzebowy. Za trumną szedł pisarz z synowcem i wszyscy panowie polscy, ilu ich było w stolicy. Żal był powszechny, bo wojewoda pozostawił po sobie wiele dobrych wspomnień, a nikt mimo jego surowości nie mógł mu zarzucić niesprawiedliwości.

Janusz dowiedział się od stryja o ostatniej woli zmarłego ojca. Stryj, wzruszony śmiercią brata, zmienił się zu-

pełnie: oświadczył Januszowi, że i on się go wyprze, jeśli nie wyrzeknie się Niemki i nowej wiary. Tego młodzieniec nie chciał uczynić, bo miał żelazną wolę ojca. Udał się do Hennichena i opowiedział mu wszystko. Niemiec dał mu do poznania, że nie dałby córki za żonę człowiekowi, którego się rodzina wyparła i który niema żadnego majątku. Janusz wyszedł zgnębiony, wiedział, że nie może rachować ani na stryja ani na Hennichena, tylko na siebie i Frydę, której serca był pewien.

Złotnik opowiedział swojemu dawnemu uczniowi Wilmsowi, w którego domu mieszkał, całą historię miłości Frydy i Janusza i prosił go o radę. Wilms, który oddawna w Polsce mieszkał i znał ją dobrze, kręcił głową, bo nie przypuszczał, żeby krewni Janusza zgodzili się kiedykolwiek dobrowolnie na to małżeństwo.

Jedyną pociechą w życiu Hennichena była córka. Zapewnić jej szczęście było dla niego jedynem marzeniem. Drogo okupiwszy szlachectwo, sądził, że stanął na równi z rodziną Janusza. Dopiero teraz poznał Hennichen, jak srodcze się omylił. Chodził więc jak struty. Choć w sekrecie poczynił przygotowania do drogi, wstrzymał się jeszcze. Miał bowiem nadzieję uzyskania zgody pana pisarza. W tym celu poszedł Wilms do magnata z Zalesia i zaprosił go niby do siebie, by oglądnął srebro. Pisarza wzięła chęć zobaczyć. Wyszli tedy razem. Wilms, zamiast poprowadzić pisarza na drugie piętro do swego mieszkania, zaprosił go do izby Hennichena, w której na stole leżały wyroby ze srebra i złota ogromnej wartości. Obok stał stary złotnik, w łańcuchu na szyi, z wizerunkiem cesarza na piersi. Drzwi do sąsiedniej komnaty stały jakby umyślnie otworem. Wnet ukazała się w nich Fryda, niby zaczarowana królewna. Gdy pisarz zobaczył ją w tym majestacie młodości, wdzięku, piękną jak obrazy aniołów, osłupiał. Stał długo, patrząc za odalającą się zwolna i nie mógł przemówić słowa. Z krótkiej rozmowy z Wilmsem dowiedział się pan pisarz, że ta panna to Fryda, narzeczona Janusza, a ten stary nieznajomy to jej ojciec. Usłyszawszy to magnat, wpadł w gniew i zaczął

z Niemców szydzić: »Nie złowicie syna polskiego senatora dla mieszczańskiej córki, na nic dyplomy cesarskie, szlachectwo niemieckie i złoto«. To powiedziawszy, włożył na głowę kołpak i wyszedł. Hennichen czuł się obrażony i upokorzony, pragnął zemsty. Nie pozostawało mu nic tylko ratować dziecię. Jego życzeniem i wolą teraz było: wracać do ojczyzny do Niemiec. Fryda nie odpowiadała, zażawione jej oczy szukały po rynku Janusza, myśl jej błąkała się także, szukając jakiego ratunku. Na oczekiwaniu zeszedł jej dzień cały. Wieczorem stanął we drzwiach znękany Janusz. Oboje byli biedni. Ani jej ani jemu nie pozwalały rodziny połączyć się węzłem małżeńskim. Od ryżego Tiliusa, który błąkał się po Krakowie i gotów był dla kawałka chleba przyjąć wiarę katolicką, dowiedział się wojewodzie, że złotnik gotuje się do wyjazdu. Zgnębiony młodzieniec polecił więc ukochanej wstrzymać ojca od wyjazdu, a sam wyszedł, by obmyślić sposób ucieczki z Frydą. Józiek miał trzymać na pogotowiu za miastem trzy konie. Na przygotowaniach do ucieczki upłynęła cała noc.

Nazajutrz wieczorem na ulicach Krakowa było wielkie zamieszanie. Ludziska stawali gromadnie i dopytywali się, co się stało. Nikt nie wiedział pewnie, o co szło. W tem nadjechały z przeciwnych stron dwa zbrojne oddziały i popędziły szybko ku bramie Floryańskiej. Łatwo można się domyśleć, że to była pogoń za zbiegłą parą kochanków: Januszem i Frydą. Uciekli oni w biały dzień, gdy nikt ich posadzić nie mógł o zamiar ucieczki, a Hennichen był najpewniejszy, że córka jego odpoczywa. Po godzinie zajrzała ciotka do pokoju Frydy, a nie znalazłszy jej, narobiła krzyku. Nadbiegł stary ojciec i kazał natychmiast sposobić konie, ażeby się puścić w pogoń za uciekającymi. Wieść o ucieczce Janusza dobiegła i uszu pisarza. I on siadł na koń i ruszył z ludźmi w pościg za synowcem. Nie długo jednak zmęczony się, sam został w gospodzie przy drodze, a podstarościego ze służbą wysłał w dalszą pogoń. Na trzeci dzień wrócił podstarości z niczem. Straciwszy nadzieję znalezienia

Janusza, udał się pan pisarz do Zalesia. Po jego powrocie dwór zmienił się zupełnie. Pastorów luterskich usunął, a sprowadzał duchowieństwo katolickie. Na budowaniu kościoła i klasztorów według testamentu wojewody upłynęło długich ośm miesięcy. Jednego ranka dano pisarzowi znać, że Józiek, który uciekł z Januszem, teraz piechotą, wielce zbiedzony, wrócił do Zalesia. Przywołano chłopca przed pana. Józiek rzucił mu się do nóg, prosił o przebaczenie i opowiadał, co następuje: Hennichen córki nie odszukał i wkrótce umarł ze zgryzoty. Janusz ożenił się z Frydą, wynieśli się do Holandyi i tam zamieszkali, nie wiele dostawszy po zmarłym Hennichenie. Jednakże miejsca pobytu pana Józiek podać nie chciał, bo przysiągł Januszowi, że tego nie wyjawia. Pisarz, litując się nad nędznym Józkiem, wziął go do siebie. Lecz po roku chłopiec wstąpił do zakonu i przybrał imię Franciszka. Pan pisarz, straciwszy wszelką nadzieję odzyskania synowca, przekazał część swego majątku na kościoły, a resztę z częścią wojewody oddał krewnemu, synowi kasztelana Jeremiego. O wojewodzicu zapomniano zupełnie. Pan pisarz, który żył jeszcze lat kilkanaście, zakazał wspominać przy sobie imienia Janusza, bo mu przypisywał zgubę rodu.

W dwadzieścia lat po owych wypadkach, za czasów panowania Zygmunta III, dawny nasz Józiek, obecnie przeor klasztoru Franciszkanów w Krakowie, potrzebował złotnika w celu naprawy monstrancyi. Zasłyszawszy więc o jakimś czeladniku złotniczym z Holandyi, kazał go do siebie przywołać. Jakże się też O. Franciszek zdziwił i ucieszył, gdy go zobaczył. Chłopak bowiem był podobniuteńki do wojewodzica. Uradowany posłał po pana starostę, syna kasztelana Jeremiego, bawiącego przypadkiem w Krakowie. Ten zdziwił się niemało, gdy jednak chłopak przedłożył dokumenty, uznał w nim swego krewnego. Chciał mu oddać należną część majątku, lecz młody czeladnik przyjąć tego nie chciał, dziwiąc się ciągle, że ojciec pochodził z tak wysokiego rodu, bo mu o tem wcale nie wspominał. Na nalegania O. Franciszka zgodził się przyjąć od starosty pienią-

dze na założenie warsztatu złotniczego i wyjechał do rodzinnego miasta Harlemu w Holandyi.

---

Kraszewski przedstawia w tej powieści, jacy to ludzie szerzyli nową wiarę w Polsce: tacy jak Zaranek samoluby i rozpustnicy, którzy chwyтали się religii Lutera, aby w ten sposób zapewnić sobie utrzymanie i dochody bez pracy. Sprawiedliwość jednak każe wyznać, że wśród zwolenników tak zwanych nowinek byli także ludzie zacni i wykształceni, którzy wierzyli szczerze, że nawracają ludzi do prawdziwej wiary Chrystusa, że naprawiają czyli reformują kościół cały. Stąd ta nowa nauka nazywała się reformacją. Takim człowiekiem, wierzącym szczerze choć błędnie, był młody Janusz. Wielu przyłączało się do nowej religii z ciekawości albo z niestałości np. pisarz, stryj Janusza.

W innych krajach kłótnie religijne doprowadziły do długich i zaciekłych wojen, podczas których krew ludzka się lała, miasta i wsi pustoszały, głód i zaraza się szerzyły. W Polsce nie prześladowano zwolenników nowej religii i dobrze robiono, bo w ten sposób pokoju nie zakłócono, do rozlewu krwi nie przyszło, a po pewnym czasie wyznawcy nowinek zaczęli się sami dobrowolnie nawracać do kościoła katolickiego.

---

Po Jagiellonach panowali w Polsce królowie obieralni np. potężny Stefan Batory i waleczny Jan III. Sobieski, zwycięzca Turków pod Wiedniem. Po Sobieskim obrali Polacy królem Augusta II. Mocnego, który panował równocześnie w Saksonii i w Polsce. W powieści pod tytułem: *Hrabina Cosel*, napisanej w roku 1873. w Dreźnie, przedstawia nam Kraszewski rząd Augusty II. w Saksonii.

---

---



## Hrabina Cosel.

August II., zwany Mocnym, był dziedzicznym królem saskim, nadto przekupstwem i zręcznością uzyskał koronę polską. Był on prawdziwie mocny i to we wszystkim: łamał podkowy i ludzi, smutek i zły los, a jego nic złamać nie mogło. W rozpoczętej jednak wojnie ze Szwedami doznał klęski i musiał uchodzić z Polski przed Karolem XII., królem szwedzkim, do swego dziedzicznego kraju, t. j. do Saksonii. W Dreźnie, stolicy Saksonii, rozpoczęły się huczne zabawy, bo August chciał się pocieszyć po klęskach. Często odbywały się tak zwane uczyty wieczorne, w których tylko brał udział król z kilku zaufanymi towarzyszami i przyjaciółmi. Uczyty takie trwały aż do chwili, gdy wszyscy pijani z krzesła pospadali, a króla również pijanego odprowadzono do łóżka. Pewnego wieczora król, czując się znudzonym, postanowił spoić wszystkich ministrów, ulubieńców i dworzan, aby po pijanemu wygadali się z niejedną sprawą, dla niego ważną. Król próbował nieraz tego sposobu i dowiadywał się, co jego dworacy myśleli i jak postępowali. Podczas uczyty byli obecni: hrabia Hoym, minister skarbu, Fürstemberg, namiestnik królewski, dowcipny baron Kyan, Witzthum, Watzdorf i inni.

Król wezwał obecnych, aby każdy opisał swą kochankę. Gdy przyszła kolej na Hoyma, ten, będąc zupełnie pijany, wyrwał się nieostrożnie, że kochanki nie opisuje, bo ma kobietę jak boginię za żonę. Opis nadzwyczajnej piękności pani Hoymowej zaciekał Augusta. Zapragnął ją zobaczyć na swym dworze. Fürstemberg z polecenia króla postanowił podstępem nakłonić Hoyma do sprowadzenia żony do Drezna. Chciał się założyć z ministrem, że na dworze królewskim jest wiele kobiet piękniejszych nad jego żonę. Hoym przyjął zakład. Król miał być sędzią. Hoym nieprzytomny napisał natychmiast do żony, aby bezzwłocznie przyjeżdżała do Drezna. Tak mu podyktowali obecni. Fürstemberg pragnął, żeby król zajął się Hoymową, chciał bowiem usunąć

dotychczasową kochankę króla Lubomirską, która zanadto mieszała się do polityki. Za chwilę wyprawiono list i powóz dworski po Hoymową.

Pałacyk Hoyma wznosił się w Laubegast nad samym brzegiem Elby. Mieszkała w nim żona Hoyma, hr. Anna, pochodząca z Brokdorf z Holsztynu. Nadzwyczajnie piękna hrabina przebywała tu od kilku lat zamknięta, nie widując prawie nikogo. Całą jej zabawą były książki pobożne autorów protestanckich, które czytała skwapliwie. Hoym zrazu bardzo czuły, z natury bałamut, znużył się żoną. Kochał ją jednak po swojemu zazdrośnie i chciał ten skarb ukryć przed oczyma ludzkiemi. Pani Hoymowa wiedziała, że mąż jej nie był wiernym, to też pogardzała nim. Mimo sąsiedztwa Drezna, w którym trudno było ukryć przed oczyma ludzi taką gwiazdę pierwszej piękności, Anna tak się umiała przysłonić w swem ustroniu, że jej żadne niemal nie spostrzegło oko. Zobaczył ją jednak młody Polak Rajmund Zaklika. Miał on siłę tak wielką, że przewyższał nią samego króla. Król, choć zazdrosny o to, że napotkał człowieka tak strasznej siły, zatrzymał go na swym dworze. Tu pędził Zaklika życie swobodne. W jednej ze swych wycieczek trafił do Laubegastu. Tam zobaczył przypadkiem Hoymową, idącą na przechadzkę i zakochał się w niej. Odtąd zrodziła się w jego duszy tęsknota za piękną panią i zaczął coraz częściej biegać do Laubegastu, aby ją choć zdala zobaczyć. Hoymowa zagroziła mu pewnego razu, że go oskarży przed mężem, ale to go nie odstraszyło. Od tego czasu hrabina Anna udawała, że go nie widzi.

Otrzymawszy od męża rozkaz natychmiastowego przybycia do Drezna, kazała hrabina sługom czynić przygotowania do podróży. Nie upłynęła godzina, gdy już siedziała w powozie i wrota cichego dworu w Laubegast na zawsze się za nią zamknęły. Przyjechawszy jeszcze w nocy do pałacu Hoyma, nie zastała w nim męża, bo zabawa u króla trwała do białego dnia.

Gdy Hoym wrócił rankiem do domu, wytrzeźwiał i pojął jasno, że król zechce odebrać mu żonę i uczynić z niej

swoją kochankę. Woli króla nikt nie śmiał się sprzeciwić, bo August stawał się straszny, gdy mu się kto odważył opierać. Przecież niedawno kanclerza państwa Beichlinga zamknął do więzienia na Königsteinie, zabrał cały jego majątek, a jego wspaniały pałac podarował swej kochance księżnej Urszuli Lubomirskiej, obdarzonej tytułem księżnej Teschen. Hoyma także mógł łatwo spotkać taki los, jak kanclerza Beichlinga. Nieszczęśliwy mąż chciał ratować żonę, a nie miał sposobu. Ostrzegł ją tylko, co ją czeka na dworze królewskim. Hrabina zaręczyła mężowi, że honoru swego za żadne skarby nie sprzeda i na bal, na który ją król zaprosił, nie pójdzie. Hrabina Reuss i pani Witzthum, siostra Hoyma, przybyły do Anny z odwiedzinami i po długich naleganiach namówiły ją, aby się zjawiła na balu w zamku królewskim. Przebiegłe damy dworskie starały się hrabinę jak najlepiej usposobić dla króla. Spodziewały się, że teraz po upadku Lubomirskiej, dotychczasowej kochanki Augusta, rozpocznie się na dworze panowanie Hoymowej. Obie szukały zbliżenia się do Anny, starały się pozyskać jej przyjaźń, aby w ten sposób uzyskać wpływ na króla i jego dwór.

Wkrótce odbył się zapowiadany bal. Wśród pań królowała hrabina Hoym. Spokojna, nieulekniona, poważna a przytem piękna, wywarła na królu ogromne wrażenie. August zdawał się napawać widokiem ślicznej niewiasty. Jej powaga jednak napełniała go jakąś trwogą. Czuł, że przy Hoymowej część swej potęgi jej musiałby oddać. Na balu była obecna także księżna Teschen, ubrana w żałobę po utracie serca Augustowego, była bowiem pewna, że August zakocha się w pięknej hrabinie Annie, a ją opuści. Hrabina Reuss, przeczuwając w Hoymowej nową ulubienicę, zabiegała już naprzód, by jej względy i zaufanie pozyskać. Ją też wysłał Fürstemberg do Hoymowej, którą przebiegła dama dworu miała uczynić powolną zamiarom króla. Hoymowa oświadczyła hrabinie Reuss, że król pozyskać ją może tylko miłością. Nie będzie się królowi opie-

rała, gdy ją pokocha, ale August musiałby jej przyrzec, że się z nią ożeni.

Nazajutrz po balu Hoym był u króla, aby mu przedłożyć rachunki. Aby zwiększyć dochody królewskie, kazał Hoym mieszkańcom Saksonii płacić akcyzę, od której szlachta chciała się uwolnić, szczególnie na Łużycach. Wysłał więc król męża Anny do Łużyc, rzekomo dla zrobienia tam porządku, ale głównie dlatego, by nie mieć przeszkody w zbliżeniu się do jego żony. Lodowaty chłód tej kobiety zaczął gniewać króla, ale zarazem rozpalać jego miłość. Pierwszy to raz w życiu trafiło się Augustowi spotkać z kobietą, która jego miłości nie uległa zaraz w pierwszej chwili jak inne i wcale nie chciała króla bałamucić. Znudzony długimi zalotami, kazał król przynieść ze skarbu 100.000 talarów w złocie i, zabrawszy je ze sobą, pojechał do Hoymowej. Postawił jej do wyboru: złoto lub żelazo, pokój i miłość lub wojnę. Anna podyktowała królowi warunki, po wypełnieniu których przyrzekła mu swoją miłość. Król musiał jej przyrzec na piśmie, że kiedyś po śmierci swojej żony z nią się ożeni. Król też miał się zająć wyrobieniem rozvodu z Hoymem.

Tejże nocy Hoym powrócił. W Łużycach hrabia coraz mocniej niecierpliwił się i niepokoił o żonę. Przewidywania jego były słuszne. Pani Anna zażądała rozvodu, podając jako przyczynę tego kroku to, że pokochała króla. Hoym musiał się zgodzić na rozwód tem bardziej, że król się tego domagał. Po otrzymaniu rozvodu wyniosła się hrabina z pałacu męża do przygotowanego dla niej domu w bliskości zamku królewskiego. Pani Hoymowa porzuciła nazwisko męża i od majątności swej rodziny w Holsztynie kazała się zwać panią Cosel<sup>1)</sup>. Nigdy oddawna żadna z ulubienic króla tak jego umysłu, serca i namiętności nie opadowała. Rozmiłowany w pięknej hrabinie, August nie wyrzekł się jednak nocnych ucz. One były dla niego potrzebą. Hoym należał do tych hulaneek, został nadal ministrem skarbu

---

<sup>1)</sup> Czyta się: Kozel.

i otrzymał od króla 50.000, któremi August otarł łzy jego po stracie żony. Hoym był potrzebny, gdyż na wszystko niezbędne były pieniądze, a on jeden dostarczać ich umiał, wyciskając z mieszkańców choćby gwałtem coraz nowe opłaty i podatki. Trzymał też August na swoim dworze niejakiemu Böttigera, który obiecywał wynaleść złoto, aby król miał jeszcze więcej pieniędzy do rozrzucania. Böttiger był dawniej aptekarczykiem w Berlinie i zajmował się alchemią, t. j. tajemniczą nauką, która miała podawać także przepisy, jak się robi złoto. Mijały jednak lata, a złota aptekarczyk nie dostarczał; zato odkrył wyborną porcelanę, zwaną saską.

Stan ówczesny Saksonii był rozpaczliwy. Karol XII. odnosił w tym czasie ciągłe zwycięstwa nad wojskami saskimi. Walił się gmach obu państw: Polski i Saksonii, ale król bawił się, szalał, szukał zapomnienia niepowodzeń i upokorzeń w uctach i pijatykach. Pani Cosel, otrzymawszy od króla obietnicę ożenienia na piśmie, uważała się za prawdziwą jego żonę. Wkrótce potrafiła poznać charakter Augusta, doradzała mu, bawiła go, rządziła nim i z każdym dniem większą nad nim zyskiwała władzę. W następnym roku król obok zamku kazał wznieść pałac dla hrabiny Cosel; zwano go pałacem czterech pór roku. W dzień wprowadzenia się pani Anny do nowego mieszkania urządzono tutaj świetny bal. Hrabina Reuss, pani Witzthum i inne, które chciały przez nią rządzić Augustem i państwem, bardzo się na niej zawiodły. Ona nie chciała nikogo słuchać ani pytać o radę, bo czuła się silniejsza od wszystkich. Król oddał na jej usługi Zaklikę, który tego gorąco pragnął.

Tymczasem August pobity na głowę przez Karola XII. zrzekł się korony polskiej na rzecz Stanisława Leszczyńskiego traktatem w Altranstadt. Szwedzi przez rok cały pozostali w kraju. Karol XII. przyjmował tu posłów państw niemieckich i Anglii, jakby we własnym kraju. August starał się kilkakrotnie usunąć Szwedów ze Saksonii ale nadaremnie.

W czasie częstych wyjazdów króla dla załatwienia spraw państwa wrogowie Anny postanowili jej szkodzić na

każdym kroku. Nawet ci, którzy się przyczynili do zbliżenia króla do pani Cosel, stali się teraz jej wrogami. Szpiegowano każdy krok Anny, pamiętano każde jej słowo, aby ją później oskarżyć przed królem. Fürstemberg zaczął rozsiewać o niej plotki: upewniał króla, że Cosel utrzymuje stosunek miłosny z młodym hrabią Lecherenne. Tego oskarżenia podsłuchał Zaklika i natychmiast dał znać o tem hrabinie. Cosel, uwiadomiona o wszystkim, potrafiła uspokoić króla, ale Lecherenne musiał opuścić granice Saksonii. Cosel nie mogła nawet pożegnać się z młodym hrabią, dała tylko Zaklice pierścień, otrzymany od króla na pamiątkę, z poleceniem, by wręczył go wydalonemu. Zaklika zatrzymał pierścień hrabiny przy sobie, a panu Lecherenne oddał własny podobny i równie kosztowny, otrzymany przed kilku laty za okazanie nadzwyczajnej siły od jednego czeskiego hrabiego. W kilka dni później król, będąc u hrabiny, zauważył brak owego pierścienia na jej palcu. Domyślając się, że Cosel darowała pierścień hrabiemu Lecherenne, wybuchnął gniewem i zaczął jej głośno robić wyrzuty. Ocalił ją Zaklika, przynosząc pierścień królewski i tłumacząc, że go znalazł przed chwilą. August przeprosił Annę jak najgrzeczniej i od tego wypadku okazywał jej jeszcze większą miłość.

Szwedzi zaś nie opuszczali Saksonii; pokój był podpisany, a Karol XII. przebywał na saskiej ziemi. Zuchwalstwo króla szwedzkiego, który w orszaku 20 ludzi jeździł po zwojowanym kraju, obudziło chęć pochwycenia Karola XII. i osadzenia go w więzieniu w Königsteinie. Doradzał to hrabia Schulenburg, stary wojak i zaufany doradca Augusta. Tego chciał generał Flemming, Fürstemberg, tego pragnęła Cosel. Nadarzyła się bowiem dobra sposobność ku temu. Karol XII. odwiedził Augusta w Dreźnie, w towarzystwie zaledwie kilku jezdnych. Wszystko, co otaczało Augusta II., wzburzone było zuchwalstwem bohatera. Cosel chciała nawet Karola zastrzelić. August jednak, idąc za głosem honoru, przeprowadził osobiście Szweda tam, gdzie już niebezpieczeństwo żadne grozić mu nie mogło.

Jeszcze król szwedzki nie opuścił ziemi saskiej, gdy

August z największą wspaniałością rozpoczął zabawy. Hrabina Cosel była wówczas na szczycie swej wziętości i rządziła według swej woli królem i królestwem. Wkrótce po odjeździe Karola XII. August wyprawił wspaniałą uroczystość strzelania do ptaków. Obok Augusta w złotej zbroi na białym koniu ukazywała się wszędzie hrabina Anna, uzbrojona prześlicznie, zdumiewająca zręcznością w kierowaniu rumakiem, w obejściu się z bronią, w bieganiu do pierścieni. Ona była teraz królową zabaw, ona kierowała niemi. Pewnego razu król urządził wycieczkę do zamku w Stolpen. Stary zamek stolpeński wznosił się na czarnych, bazaltowych skałach. W drodze do zamku spotkała Cosel w przejeździe przez jakąś wioskę starą Wendkę Mławę. Staruszka wyróżyła Annie, że po długim szczęściu czeka ją dłuższa jeszcze niewola.

Król siłacz, co chciał zyskać sławę bohatera, nie mógł zapomnieć, że go zwyciężył młodzik niepozorny i we własnym kraju mu się rządził. Pragnął się popisać przed światem jakimś czynem, dlatego wybrał się jako ochotnik z małą garstką ludzi do wojska, walczącego przeciw Francuzom we Flandryi. Niedługo jednak wytrzymał na wojnie, zatęsknił za Saksonią i panią Cosel. W czasie nieobecności króla namiestnik Fürstemberg i hrabia Flemming zmówili się i podali sobie ręce, aby usunąć hrabinę Annę. Przewaga, jaką miała nad królem, przerażała wszystkich, więc obóz jej nieprzyjaciół z każdym dniem się powiększał. Żadna z ulubienic królewskich nie miała takiej potęgi, takiej wiary w siebie i nie umiała tak długo niestałego Augusta II. utrzymać przy sobie. Gorączkowo więc pragnął dwór cały kimkolwiek zastąpić panią Annę, a obalić ją koniecznie.

Zaczęto królowi przedstawiać, że Cosel wydaje ogromną ilość pieniędzy, że rujnuje skarb państwa; August zgodził się na to, żeby nieco ograniczyć jej wydatki. Potem dworacy chwycili się innego sposobu. Król od poznania Anny nie zaprzestał innych pokątnych miłostek z różnemi kobietami, które często miały zepsutą sławę. Miłostki te jednak trwały krótko, bo hrabina Cosel umiała się najbardziej Au-

gustowi podobać. Otóż nieprzyjaciele hrabiny zaczęli jej donosić o różnych chwilowych kochankach króla. Spodziewali się, że ona oburzy się na Augusta, zacznie mu czynić wyrzuty, rozgniewa go na siebie i straci jego łaskę. August jednak zazdrość jej uważał za dowód wielkiej miłości i nie przestawał jej kochać. Gdy król duński Fryderyk IV. odwiedził Augusta, urządzano na jego cześć wspaniałe ucztę i zabawy. Pewnego razu król saski, królowa, król duński, dworzanie i damy dworskie poprzzebierali się za greckich bogów i boginie. Najbardziej zachwycająco wyglądała hrabina Cosel, otoczona orszakiem najpiękniejszych dziewczyc. Dzień ten był szczytem jej chwały i jej powodzenia.

Odtąd zaczyna się już jej upadek. Do przyspieszenia tego upadku przyczynił się w znacznej mierze generał Flemming. Hr. Jan Flemming był jednym z tych ludzi, co się najdłużej umieli utrzymać w łaskach u króla. Jemu miał August do zawdzięczenia polską koronę. Flemming był człowiekiem chytrym i przebiegłym. Zarozumiałość i zuchwałość były jego cechami. On był najgroźniejszym wrogiem pani Cosel. Ale prócz niego miała mnóstwo nieprzyjaciół. Ci wszyscy postanowili znaleźć dla Augusta piękną twarzyczkę, któraby chciała zająć miejsce kochanki u boku Augusta II. Znano króla, że zalotności ulegnie. Wiedzano, że król nowe miłostki lubi, trzeba było tylko wyszukać pięknej pani, któraby pierwsza wyzwalała go do zalotów. Rozesłano więc na wszystkie strony na zwiady.

W tym czasie Karol XII. został pobity na głowę przez cara rosyjskiego pod Połtawą. Wskutek tej klęski August odwołał dawniejsze układy, zawarte z królem szwedzkim i, aby odebrać koronę polską Leszczyńskiemu, przedsięwziął wyprawę do Polski. Hrabina dla słabości nie mogła udać się do Polski, chociaż wiedziała, jakie jej z powodu oddalenia grozi niebezpieczeństwo. Trwożyła się o to, że nieprzyjaciele będą królowi stręczyć inne kobiety, aby go od niej odciągnąć. Król brał z sobą do Warszawy Flemminga, który mógł na każdym kroku szkodzić hrabinie.

Nigdy miłszym i czulszym nie był August, jak przy



pożegnaniu z Anną. Cały dzień spędzili razem. Hrabina, obawiając się utraty serca Augustowego, starała się wspomnieniami i płaczem pobudzić go do litości. Był to zły sposób. Zamiast litować się nad jej smutkiem, rad był uciec od niego; łyzy go niecierpliwiły, nudziła boleść, wymówki męczyły.

Po wyjeździe króla Cosel nie miała nikogo z przyjaciół. Z całej ciżby został jeden może najwierniejszy, a ten był jej sługą. Był nim Rajmund Zaklika, który ze swą miłością przeżył i przebolewał miesiące i lata. Smutno i milcząco było w Dreźnie, podczas gdy król, pełen najlepszych nadziei, pędził do Warszawy. Był z nim Flemming, na którego czekała we Warszawie jego krewna, pani podskarbina Przebendowska. Nie tajono się z tem wcale, iż w Warszawie miano wyszukać dla króla nową kochankę. Przebendowska miała w Polsce przyjaciółkę marszałkową Bielińską, której córkę, wielką podkomorzynę litewską, Maryę Denhoffową, osobę dosyć ładną a zepsutą, namówiono, aby starała się pozyskać serce króla. Augusta wprowadzono wkrótce do pałacu Denhoffowej. Zaczawszy bywać coraz częściej u pani podkomorzyny, August nawykł do jej oczu, które go wabiły do siebie i zakochał się tyle, o ile taki człowiek mógł się kochać. Król odbierał ciągle listy od Cosel, której umyślnie donoszono o wszystkim. Listy te były pełne gorczy i wymówek. August odpowiadał na nie zrazu pilnie grzecznościami i zapewnieniami miłości, później coraz rzadziej. W rozmowach z Witzthumem król okazywał zniecierpliwienie i chęć usunięcia hrabiny Cosel. Chciano koniecznie, aby Anna zdradziła króla z jakimś kochankiem; August bardzoby się tem ucieszył, boby miał powód do zerwania z nią. Anna, przeczuwając podstęp, była wierna królowi.

Flemming zaczął od tej chwili działać otwarcie. Przybywszy do Drezna z polecenia króla, zażądał od Anny, by ustąpiła z pałacu »czterech pór roku«. Był to znak wyraźny zerwania. Cosel przeniosła się do najętego domu w Dreźnie. Ponieważ jednak król miał przyjechać z Denhoffową do Drezna, więc hrabina przenieść się musiała do pięknej wio-

ski Pillnitz. Nieprzyjaciele pani Cosel straszili Denhoffową, że hrabina może jej odebrać serce króla, ta więc pobudzała Augusta do prześladowania dawnej kochanki. Chciano się Anny pozbyć w ten sposób, aby nie mogła powrócić do dawnego stanowiska.

Flemming doradzał królowi, aby odebrał Annie owo pisemne przyrzeczenie, że się z nią ożeni, bo ona się tem przechwała i wstyd mu przynosi. I w Pillnitz więc nie dano hrabinie spokoju, lecz domagano się zwrotu owego pisma. Ale Cosel za żadne skarby tego papieru wydać nie chciała. Wiedząc zaś, że jej mogą przemocą odebrać ów dokument, dała go Zaklice do przechowania. Klejnoty i skarby pani Cosel przeniósł Zaklika do Lehmana, uczciwego bankiera, który już po upadku dał jej dowody uszanowania i życzliwości.

Na dworze królewskim urządzono wspaniały bal maskowy na cześć nowej kochanki królewskiej, pani Denhoffowej. Zaklika postanowił skorzystać z tego, że wszyscy wrogowie hrabiny zajęci byli przygotowaniem zabawy i ułatwić ucieczkę swej pani. Konie przez niego zgodzone miały czekać na Annę w lesie u brzegu Elby o zmroku. Zaklika pewny był, że ucieczka się powiedzie. Jakże się zmartwił, gdy mu pani Cosel oświadczyła, że, przejeżdżając przez Drezno, wstąpi na bal maskowy, który odbywał się na rynku, bo chce widzieć Augusta i Denhoffową. I rzeczywiście wieczorem, otulona ciemnym płaszczem, z maską na twarzy jak inni, wyszukała Augusta na placu zabawy. Zbliżywszy się do niego, nazwała go prześladowcą i katem i, nim król się opamiętał, znikła w tłumie. Po chwili znowu w płaszczu czerwonym zbliżyła się do Denhoffowej, w kilku słowach napiętnowała jej podłe postępowanie, ostrzegła ją przed gorszym jeszcze losem, a gdy Denhoffowa poczęła mdleć, Cosel wysliznęła się zręcznie i wraz z Zakliką znikła w małej bocznej ulicy. Nim mogli dojść do bram miasta, przyszedł rozkaz z zamku, aby wrota pozamykać i żadnej kobiety nie wypuszczać. Mimo to jednak udało się hrabinie, przebranej w męski płaszcz i kapelusz, przedostać się poza bramy

miasta. W godzinę potem ciemną nocą toczył się szybko jej powóz gościńcem ku Prusom, a Zaklika z pistoletami w rękach przysłuchiwał się niespokojnie, czy pogoni za sobą nie usłyszy. Cosel szukano jeszcze w Dreźnie i Pillnitz, tymczasem ona była już w Berlinie.

Po ucieczce hrabiny z Pillnitz nieprzyjaciele jej szkodzili jej dalej u króla. Przedstawiano Augustowi, że Cosel, mając w ręku środki potężne, mogła się stać groźną. Fleming i inni, nie pytając króla nawet, ślali szpiegów do Berlina i namyślali się, jakby panią Cosel pochwytać, a jej skarby jak po Beichlingu rozszarpać. Jednymi zemsta, drugimi chciwość kierowała.

Jakkolwiek Cosel pragnęła prowadzić ustronne życie w Berlinie, zbyt była głośna jej piękność, jej sława, żeby wkrótce nie zaczęto ubiegać się o jej znajomość.

Gdy ją odwiedzali dworzanie króla pruskiego, ona otwarcie i głośno skarżyła się na podłość Augusta i jego dworu. Nieprzyjaciele hrabiny donieśli o tem Augustowi. Wskutek więc żądania króla saskiego rząd pruski polecił pani Cosel opuścić Berlin, wyznaczając jej na miejsce zamieszkania ciche miasto Halle. Z Berlina jeszcze mogła ratować się ucieczką; w Halli Cosel była już strzeżona. Zaklika, który jej aż tu towarzyszył, doniósł nazajutrz po przybyciu, iż wszystkie wyjścia z domu były pilnowane.

Ponieważ Cosel mimo ciągłych zabiegów owego przyrzeczenia królewskiego wydać nie chciała, August skłonił rząd pruski do wydania jej w swe ręce. Wywieziono hrabinę z Prus do Saksonii, a tutaj uwięziono ją w zamku Nossen. Uwięzionej pilnował oficer z żołnierzami i stary burgrabia Herzog, który miał kilkoro dzieci. Zaklika przepił starego Herzoga, przyrzekając mu znaczną sumę pieniędzy w razie oswobodzenia hrabiny z więzienia. Słudze jednak hrabiny Magdalenie wydało się podejrzane zachowanie pani Cosel, więc udała się na kilka dni do Drezna niby do rodziny. Od niej dowiedziała się matka Denhoffowej, że hrabina może uciec z więzienia. Wrogowie pani Anny uwiłnęli się tak prędko, że jeszcze tego samego dnia nowy od-

dział żołnierzy wyruszył do Nossen; podwojono strażę, uwięziono starego burgrabiego i okutego zawieziono do Drezna. Życie Cosel w Nossen od tego dnia stało się stokroć nieznośniejsze. Prysłano sługi nowe, ordynarne i obchodzące się z hrabiną z surowością nietościwą.

Król August, sam teraz obawiając się hrabiny, pilno czuwał z dala nad jej losem. Znał ją nadto, by mu groźną nie była. Dla pewności kazał daleko warowniejszy zamek Stolpen przygotować na więzienie dla Cosel. Była to ta sama twierdza na bazaltowych słupach, którą przed laty szczęśliwa Cosel zwiedzała z królem. Wtedy na drodze spotkała starą Mławę, która jej wywróżyła niewolę. Płaczącą i rozpaczającą hrabinę Annę przywieziono dnia 25. grudnia 1716. roku do zamku Stolpen, przeznaczonego na jej więzienie. Dowódcą zamku był Wehlen, surowy i nieubłagany człowiek. Żał mu jednak było hrabiny i jej smutnego życia. Chcąc jej ulżyć w niedoli, zrobił ładny ogródek, który był dla Cosel jedyną zabawą.

Od przybycia swego do Stolpen hrabina oczekiwała Zakliki, ale upływały miesiące, a słyhu o nim nie było. Aż raz żyd, który przyniósł jej towary na sprzedaż, w tajemnicy oznajmił jej, że Zaklika żyje i kiedyś się pokaże. Zaklika tymczasem ani chwili nie spoczywał. Zebrawszy nieco grosza, kupił sobie stopień kapitański w wojsku saskim i, uważany za wiernego sługę króla, wysłany został do zamku stolpeńskiego dla strzeżenia pani Cosel. Wśród tego przyjechał do Stolpen młody kapitan, synowiec Wehlenu. Ten zakochał się wkrótce w hrabinie, oczarowany nadzwyczajną jej pięknnością. Młody Wehlen ułożył plan uwolnienia hrabiny z więzienia. Nad wykonaniem jego pracował długo, lecz plan się nie udał, bo wachmistrz Wurm aresztował uciekających i uwiadomił na czas jeszcze starego Wehlenu. Z rozkazu króla kapitan Henryk von Wehlen oddany został pod sąd wojenny i skazany na śmierć. Prózne były prośby i łkania starego komendanta, odwoływania się do łaski i żądania chociażby zwłoki. Cosel usłyszała strzały i zadrzała; przecucie powiedziało jej, że rozstrzelano młodzieńca, który ją

kochał. Zaklika stał blady jak trup. Tegoż dnia stary Wehlen porzucił służbę.

Po tym wypadku zmieniło się niemal wszystko w Stolpen. Po Wehlenie komendę nad strażą objął człowiek surowszy od niego, ale mniej zdolny, namiętny, samowolny, gwałtowny i dumny. Hrabinie z wieży krokiem ruszać się nie pozwolono, zmieniono dawną straż i Zaklice kazano powrócić do swego pułku.

Od tego czasu minęło znowu kilka lat. Druga próba ucieczki równie się nie powiodła jak pierwsza. Na dworze królewskim wiele się zmieniło. Nieprzyjaciele pani Cosel szybko schodzili ze świata. Piękna Marynia Denhoffowa, rozwiedziona z podkomorzym, opuszczona przez króla, wyszła powtórnie za mąż. Król miał coraz inne kochanki. Fürstemberg, zaciekły wróg hrabiny, umarł w niełasce i zapomnieniu. Nie żył też i Witzthum, bo umarł wskutek rany, o.rzymanej w pojedynku. Flemming trzymał się jeszcze; on jeden umiał się obronić przed losem, który spotkał jego towarzyszy. Budował naówczas pałace, handlował dobrami i złoto na beczki mierzył.

Pewnego razu kazał August dla zabawki strzelać z armat do słupów bazaltowych, na których był zbudowany zamek Stolpen. Okrucieństwo to przeraziło i oburzyło hrabinę, na szczęście kule armatnie odbiły się od potężnych słupów, nie uszkodziwszy wcale zamku.

Cosel jeszcze w roku 1727. nie wyrzekła się nadziei oswobodzenia. Ostatnią próbę przedsięwziął sam Zaklika. Znał on oficera, dowodzącego strażą zamkową i często go odwiedzał. Miał też nieraz sposobność widzieć się i rozmawiać z hrabiną. Dostarczył jej płaszcz żołnierskiego i czapki. Jednego więc wieczora dżdżystego Cosel, okryta płaszczem, z czapką, nasuniętą na głowę, przeszła przez obie bramy obok żołnierzy, nie zwracających jednak na nią uwagi, bo myśleli, że to Zaklika. W kilka minut potem wyszedł prawie podobnie okryty Zaklika. W drugiej bramie żołniierz zatrzymał go, dopiero za przybyciem wachmistrza Zaklikę puszczono. Wachmistrz niespokojny udał się do komnaty

hrabiny i tam jej nie znalazł. Nie ulegało wątpliwości, że Cosel uciekła. Komendant z ludźmi wybiegł w pogoń zrozpaczony. Cosel tymczasem biegła do koni, które w znanem jej miejscu stać miały; omyliła się w pośpiechu i zbłądziła. Zaklika znalazł ją po dłuższem szukaniu. Już siadali na konie, gdy ludzie z załogi nadbiegli i otoczyli ich. Kilka strażów świsnęło i pocziwy Zaklika, rażony kulą w samo czoło, powalił się na ziemię. Cosel złożyła pocałunek na krwawem czole zabitego i zdjęła z niego schowany na piersiach akt królewski z przyrzeczeniem małżeństwa. Zakłjce kazała hrabina sprawić pogrzeb, na który posłała pieniądze.

Od tej pory przestała wychodzić do swego ogródka, otoczyła się książkami, czytała biblię, studyowała kabałę żydowską, kazała sobie księgi hebrajskie tłumaczyć. Stała się dziwaczką.

Po śmierci Augusta w roku 1733. syn jego młody August III. natychmiast obdarzył panią Cosel wolnością. Lecz ona zamku opuścić już nie chciała. Tu przeżyła hrabina całe panowanie Augusta III. i wszechwładnego jego ministra Brühla. Umarła 2. kwietnia 1765. roku na zamku w Stolpen w osmdziesiątym piątym roku życia. Do ostatniej chwili była przekonana, że była żoną a nie kochanką Augusta II. i przyjmowała gości odwiedzających ją jak królowa.

---

Widzieliśmy, że August II. był dla swoich poddanych nie ojcem lecz tyranem; na wspaniałe budowle, na nieustanne zabawy i coraz nowe kochanki wyrzucał ogromne sumy pieniędzy, a kraj cały jęczał pod ciężarem podatków. Król ten nie dbał ani o Saksonię ani o Polskę. Polacy nauczyli się tylko pod jego panowaniem obżarstwa, pijaństwa i rozpusty. Za rządów Augusta II. i syna jego Augusta III. Polska upadła ostatecznie tak, że ostatni król Stanisław August Poniatowski nie mógł się obronić Rosyi, Prusom i Austrii. Gdy Tadeusz Kościuszko, który z początku przy pomocy chłopów krakowskich odniósł nad Moskalami świetne zwycięstwo pod Raławicami, w bitwie pod Maciejowicami zo-

stał pokonany, wówczas trzy wymienione państwa podzieliły ziemie polskie między siebie w r. 1795. W zeszłym wieku zrywali się Polacy kilkakrotnie do powstania czyli do walki przeciw rządóm zaborczym, np. w r. 1831. przeciw Rosyi, ale daremnie krew wylewali, nie podołali tyłu wrogom i nie wyswobodzili ukochanej ojczyzny. Ostatnie powstanie przeciw Rosyi z roku 1863. opisał Kraszewski w kilku powieściach, z których najwięcej znana jest: *Dziecię starego miasta*. Nadto autor w powieści: *Rzym za Nerona* w tym celu przedstawił męczeństwo pierwszych chrześcijan, aby Polakom dać przykład, jak się należy zachować wobec prześladowań wrogów.

---

---

### Rzym za Nerona.

Rzym za Nerona napisał Kraszewski w r. 1864. Treść ujął w formę listów, pisanych przeważnie przez Juliusza Flawiusza, Rzymianina i Sabinę Marcję do przyjaciół. Kilka listów innych osób służy bądź do wyjaśnienia, bądź do uzupełnienia zdarzeń.

Juliusz Flawiusz, wczesnie osierocony, wychowywał się u swego stryja, bogatego Rzymianina. Chłopak dość nacerpiał się głodu i niedostatku, bo opiekun zdawał się nie dbać o niego. O spadku nie marzył, bo było więcej krewnych, pochlebców i ulubieńców bogacza. Tymczasem najniespodziewaniej umierający stryj całą majątność oddał Juliuszowi Flawiuszowi. W jednym dniu stał się najzamożniejszym z rodziny, odrazu też otoczyli go pochlebcy i klienci<sup>1)</sup>, których jednak trzymał z daleka. Że go szczęście i niespodziane bogactwo nie upoiło, zawdzięczał to staremu Chryzypowi, niewolnikowi zmarłego stryja, który był nauczycielem Juliusza. Mimo bogactw czuł w sobie brak czegoś, jakiś żal po postradanem ubóstwie. Musiał stać się teraz próżniakiem, jak inni, bo niebezpiecznie było starać się o publiczne urzędy, a talent, zasługa, lub wyniosła postawa mogłyby go narazić

<sup>1)</sup> Tak nazywano w Rzymie ludzi, którzy szukali poparcia możniejszych.

wszechwładnemu Cezarowi. Smutne to były czasy! Cezar Neron stał się błaznem cyrkowym, kiepskim poetą i lichym aktorem. Lekceważył żonę Oktawię, a przyjął kochankę, piękną, zręczną, fałszywą, dumną Poppeę, odebraną mężowi Ottonowi. Za przykładem pana poszła młodzież, starcy, niewiasty. Dawna cnota rzymska śmieszna się wydawała rozpustnikom. Senat nie śmiał myśleć o losie ogromnego państwa rzymskiego. Świątynie zmieniły się w domy rozpusty. W ogólnem zepsuciu nie dały się wyprzedzić kobiety. Wobec tego stanu szlachetny Juliusz czuje w sobie wielką czczość życia: »Kładę się tęskny i znużony — mówi o sobie — wstaję niepokrzepiony snem... Co robić z rankiem, jeśli się do łaźni nie pójdzie? co robić ze dniem, jeśli się człowiek nie wałęsa po ulicach? Klienci i ubodzy czatują na mnie pod portykami i ścigają mnie aż do drzwi mego domu; im muszę rozdać jałmużnę, aby się ich pozbyć nareszcie, jeżeli się ich kiedy pozbyć można, bo często nocami wartują w progu, aby ich kto z rana nie uprzedził. Przykro jest widzieć takie upodlenie człowieka«. Wśród ogólnego upodlenia kilku tylko było szlachetniejszych jak: Trazeasz, Kornutus, Pizon, poeta Persyusz. Ale musieli się ukrywać ze swoją cnotą. W pośród naprzykrzonego tłumu i próżniaczej gawiedzi nie wytrzymałby Juliusz, gdyby nie ów Grek Chryzyp i nie młoda Sabina...

Sabina Marcya była kobietą wielkiej piękności i prawdziwej cnoty. Wyszędłszy w 15. roku życia z rozkazu matki za rozpustnego i marnotrawnego Treboniusza, była otoczona zbytkiem i zepsuciem. Własna tylko cnota zachowała ją tu od zepsucia, a po części też miłość mądrości i nauki. Wcześniej owdowiawszy, postanowiła nie wychodzić za mąż po raz drugi i oddać się wychowaniu synka. Mimo piękności i skromności dbała, jak kobiecie przystało, o piękność swoją, ale ani zanadto, ani za wiele. Chociaż była młodzianka, umysł, bystrość rozumu były w niej większe niż u osiwiałych starców.

Z tą to Sabiną, krewną po matce, zawarł Juliusz serdeczną przyjaźń, wcale jednak nie podobną do miłości za-



palczywej. Od niejakiego czasu spędzać poczeli razem wieczory i poranki, zwłaszcza że ich wille na Palatynie do siebie przypierały. W jej domu schodzili się niekiedy znakomici Rzymianie jak Trazeasz, Pizon i inni. Czas prędkiej mijał na poważnej rozmowie i zapominało się o upadku narodu rzymskiego, o zepsuciu i lekceważeniu cnoty. Opowiadano sobie o nowej i tajemnie szerzonej religii, która się pojawiła w Rzymie. Wyznawców jej zwano chrześcijanami.

Juliusz i Sabina czuli potrzebę nowej prawdy, któraby świat poprawiła i oczyściła. Podobnie wiele osób szukało prawdy. Pomimo pozornej wesołości Rzymian i ciągłego uctowania, głęboki smutek pożerał ten naród. Samo pragnienie nadzwyczajnych rozrywek już zwiastowało w sercach i umysłach pustkę, niczem nie dającą się zapełnić. Tak zwani gladyatorzy walczyli ze sobą lub z dzikimi zwierzętami w cyrku, żeby zepsuty lud rzymski miał na co patrzeć i miał się czem weselić. W cyrku padały tysiące zwierząt i setki ludzi, jeszcze krew nie wsiąkła w arenę, a oto już nowych zabaw, szaleństw i widowisk domagali się mieszkańcy Rzymu. Potrzeba im było tej posoki, tych trupów, trzeba mu było darmo rozdawanego chleba, bezpłatnej łaźni i balwierz, podarków od możnych, upokarzającej jałmużny, aby był syt i siedział spokojnie, bo inaczej począłby się burzyć. Pracować ani walczyć nie umiał i nie chciał lud rzymski; potomkom rycerzy ciążył nawet pierścień na palcu, cóż dopiero zbroja?

Raz z ciekawości udali się Juliusz i Sabina do amfiteatru, gdzie oprócz okrutnego Nerona, oprócz walki gladyatorów i innych widowisk okropnych miano oglądać walkę chrześcijan z dzikimi zwierzętami. Przyszła kolej na wyznawców Chrystusa. Na arenę wybiegły lew, pantera i tygrys; po chwili ukazało się troje ludzi z jakimś smętnym śpiewem na ustach. Był to starzec wychudły młode dziewczę wielkiej piękności i młody mężczyzna. Ofary uklęknęły, a dzikie bestye patrzyły przez chwilę na owych ludzi bezbronnych. Nagle wygłodzony tygrys skoczył z tyłu na młodzieńca, obejmując go łapami, gniotąc i szarpiąc brzuch

i piersi, a paszczęką gruchocząc czaszkę... Gdy młode dziewczę pochyliło się nad zwłokami brata, pantera drasnęła je ledwie z boku i piękna główka niewinnej dziewczicy jak kwiat zwiędły pochyliła się blada, a śpiew przerwany zamarł na ustach — skończyła. A starca, zapewne ojca rodziny, przebito mieczem, bo go zwierzęta nie chciały tknąć.

Wrażenie tej okropnej chwili było silne; szczególnie Sabinę to widowisko tak wzruszyło, że, powróciwszy do domu, o tem tylko mówiła prawie ze łzami. O chrześcijanach krążyły wieści dziwaczne, że czczą osła, że oddają się rozpuście i zbrodniom. Sabina nie mogła temu uwierzyć i po powrocie do domu tak rzekła do Juliusza: »Nie może to być prawdą, co rozpowiadają o ich (chrześcijan) rozpuście, o szkaradnych praktykach i zabobonach. Rozpusta odbiera siły, czyni bojaźliwym wobec śmierci. Ludzie ci umierali jak święci — nawet bez oburzenia i gniewu, gardząc obroną daremną, ufni w jakąś siłę, w coś nam nieznanego, tajemnego ale potężnego«. Mowę tę podsłuchiwała jej najwierniejsza niewolnica Ruta, a wyznawszy Sabinie po odejściu Juliusza, że jest chrześcijanką, zaczęła jej z zapalem opowiadać o nowej religii.

Sabina zmieniła dotychczasowy sposób życia: stała się smutniejsza i poważniejsza. Dziwne zachowanie się pięknej krewnej zwróciło uwagę Juliusza, który teraz coraz silniej przekonywał się, że kocha bardzo Sabinę. Tymczasem do niej począł się umizgać Leliusz, daleki krewny obojga, ulubieniec Nerona. Przyjęty w domu przez Sabinę nie tak chłodno, jak sobie życzył Juliusz, wdał się z nią w długą rozmowę. Ona go słuchała obojętnie wprawdzie, lecz ze zbytnią uwagą. Mówił jej o Neronie i wielkich jego a mnogich talentach, o Poppei, kochance Nerona, a wreszcie zaczął dowodzić, że zręczna a piękna niewiasta łatwoby Cezarem rządzić mogła, przez Cezara Rzymem, a przez Rzym światem całym! Przez te słowa zachęcał niejako Sabinę, aby została kochanką Nerona. Twarz młodej kobiety okryła się rumieńcem, a Leliusz cieszył się już, że zgadza się na jego namowę. Tymczasem Juliusz piekło miał w sobie, myślał

bowiem, że Sabina da się Leliuszowi nakłonić do występku. Tajemne, długie szepty z Rutą po odejściu zepsutego młodzieńca utwierdziły go w tem mniemaniu. Od Leliusza dowiedział się też Juliusz, że go posądzają o tajemną miłość z Sabiną i o schadzki, które ułatwiałoby sąsiedztwo domów obojga. Wobec tego zaproponował Sabinie, by opuściła Rzym i zamieszkała w swych posiadłościach bądź w Tuskulum bądź w okolicach Partenopy, albo w razie jej odmowy on musi opuścić jej sąsiedztwo dla uniknięcia plotek i podejrzeń. Juliuszowi szło także o to, żeby Sabina nie spotkała się z Neronem, bo dom jej przytykał z drugiej strony do ogrodów Cezara. Krewna oświadczyła, że zostanie w domu na Palatynie, więc Juliusz przeniósł się ze swego domu w inną okolicę. Doniesienia niewolnika jego Afra o przyjaźni młodej kobiety z Rutą, o ich tajemniczych wycieczkach w późną noc, o czytaniu jakichś pism, wszystko to młodzieńca w rozpacz wtrącało. Już gotował się opuścić Rzym i wstąpić do wojska w Gallii; ale miłość ku ukochanej nie pozwoliła mu tego wykonać.

Zrozpaczony, za radą Chryzypa szukał ukojenia w towarzystwie innych kobiet. Lecz darmo: »Zwierzęta to są, nie kobiety — mówił ze wstrętem, patrząc na ich zepsucie — potwory o pięknych twarzach, nie zaś duchy łagodne i ciche«. Mniej spędzał czas tylko u niejakej Epicharydy, która była córką Rzymianina i Greczynki; w całym Rzymie słynęła z energii, silnego charakteru i nadzwyczajnego męstwa. Mogła śmiać się w największym niedostatku, a smuciła się wśród przepychu. Bogowie obdarzyli ją nadzwyczajną pięknnością. Całą swoją istotą nienawidziła Nerona, a do domu swego zapraszała Pizona, Lukana i wielu innych wrogów Cezara, którzy knuli przeciw niemu spisek. Ale nawet u niej nie mógł Juliusz zagłuszyć, stłumić gwałtownego uczucia miłości; ciągle przytem podejrywał ukochaną o jakąś występłą miłość.

Tymczasem Sabina szukała prawdy. Coraz głębiej wnikając w nową religię, odkryła z początku podobieństwo jej prawd do nauk Sokratesa i Platona, filozofów greckich.

W gruncie rzeczy jednak te podobieństwa były tylko powierzchowne. Coraz więcej zdumiewała się nad głębokością nauki chrześcijańskiej, tak przecież rozumiała dla wszystkich. Widziała, że jest to przede wszystkim religia słabych, uciśnionych, nieszczęśliwych. Pierwsze zasady nowej wiary zaczerpnęła od niewolnicy swej Ruty. Następnie poczęła tajemnie uczęszczać w przebraniu, wśród ciemności nocy z Rutą do pewnego domu chrześcijańskiego. Tu pod wpływem gorącej mowy jakiegoś kapłana spostrzegła niezgłębioną nędzę pogaństwa wobec prawdziwej wiary; tu poznała dokładnie naturę religii, dla której już gotowa była iść na męczeństwo; została chrześcijanką, chociaż wiedziała, że dla chrześcijan nadchodzą smutne i niebezpieczne czasy. Ze swego domu wyrzuciła posążki bożków, zatarła ślady pogaństwa; rozdała między ubogich najkosztowniejsze klejnoty, szaty i pieniądze. Zauważył to znękany Juliusz i podejrzewał Sabinę, że za owe kosztowności utrzymuje jakiegoś kochanka, który jest rozrzutnikiem. Czuł chłód, z jakim go witała, jej milczenie, jakby zawstydzenie potwierdzały jego domysły. Na jego natarczywe pytania odrzekła raz: »jeśli chcesz wyznania, powiem ci, wyznam: tak jest innego kocham. Kocham tego, z którym żaden się człowiek równać nie może«. Juliusz stanął jak piorunem rażony; był przekonany, że jego krewna kocha Nerona, tego wstrętnego okrutnika.

Widząc, jak nieszczęśliwy młodzieniec cierpi, zdawała się litować nad nim i dodała: »Juliuszu kochany, gdybyś ty poznał Tego, którego umiłowałam, kochałbyś Go jak ja! jak ja wszystkimobyś Mu poświęcił«.

Zerwał się Juliusz oburzony i zawołał: »Nie mów więcej, słuchać nie chcę, aby się nie rumienić za ciebie«. Jakżeż bolała zacna Rzymianka, że mu nie mogła wszystkiego powiedzieć i wyznać; ale godzina nie wybiła, tajemnica pozostać musiała pomiędzy nią a Juliuszem; on dowie się kiedyś wszystkiego, zrozumie ją i uniewinni. W ciągu dalszej rozmowy patrzył na nią i podziwiał: schudła, zbladła, ale zdała mu się piękniejszą niż kiedykolwiek, a twarz jej promieniała jak oblicze Apollina, którego w słońcu malują.

W tym samym dniu, w którym usłyszał straszne wyznanie, własnymi oczyma widział Sabinę przebraną, zakapturzoną, jak z Rutą szła o zmroku ku odległej bramie miasta. Dokąd?... mógłże nieszczęśliwy odgadnąć.

Dreńczącą zagadkę rozwiązał w straszny dzień pożaru Rzymu. Wieczerzał u swego szkolnego kolegi i przyjaciela, gdy nagle wpadł niewolnik, oznajmiając, że główna część miasta stoi w płomieniach. Przerażony tą wieścią, wybiegł szybko z myślą ratowania Sabiny, która mieszkała w płonącej dzielnicy miasta na Palatynie. Trudno się było precyzyjnie... ciągle natrafiał na powywracane lektyki, t. j. budki, w których niewolnicy nosili swoich panów lub swoje panie; pogruchotane wozy, omdlałe kobiety. O jego uszy obijały się przeraźliwe krzyki, płacze i jęki. Wreszcie dobiegł do Palatynu: dom jego i Sabiny stał w płomieniach. Wtem spostrzegł Sabinę, która jak obłąkana z dzieckiem na ręku biegła ku bramie Kapena. Juliusz puścił się za nią, wołał, chciał ratować... darmo... zdyszany nie mógł jej dopędzić, bo tłum co chwila zastępował mu drogę. Nagle za bramą przy drodze Sabina gdzieś zniknęła, jakby zapadła się w ziemię.

Po długim szukaniu znalazł tajemny otwór, jakąś studnię; wszedł do głębi, nie dbając o niebezpieczeństwo, owładnięty jedną myślą uratowania Sabiny. Znalazł ją w podziemnych grobowcach rzymskich, czyli katakombach. Jakiż widok przedstawił się jego oczom! Przed sobą — ujrzał spokojne twarze gromady ludzi, ręce podniesione do góry jak do modlitwy i szaty ich ciemne... między tymi ludźmi siedziała Sabina z dziećciem na ręku i zdawała się płakać. Kto byli ci ludzie, tacy spokojni, gdy Rzym się palił. Przypomnił sobie, co rozpowiadano o schadzkiach chrześcijan w podziemiach. Lecz cóż tu robiła Sabina i kilka znakomych matron rzymskich? Miałyżby i one do nowej sekty należeć? Niebawem usłyszał płomienną mowę jakiegoś kapłana, która wstrząsnęła go do głębi. Świat odstaniał mu się nowy. Spokojniejszy już o Sabinę, niespostrzeżony przez nikogo, wy dostał się z grobowców i powlókł się ku domowi Celsusa.

Tymczasem pożar srożył się w mieście, ogarniając coraz to nowe dzielnice. A Cezar Nero wszedł na wieżę z lirą i wieńcem na głowie... Spoglądając z zachwytem na bezbrzeżne prawie morze płomieni, zawołał, klaszcząc w dłonie; »Cudownie piękny pożar!... Co za obraz! jaka wspaniałość!« I zaczął opiewać pożar starożytnego miasta Troi. Chwilami przestawał... jakby przysłuchując się wtórującym mu jękom i krzykom... Wyobrażał sobie, że to Troja się pali. Złudzenie go radowało, unosiło, patrzył jakby na zagładę obcego miasta... poklaskiwał w dłonie, trząsł się ze wzruszenia. Okrutny tyran sam kazał podpalić Rzym, a gdy lud zaczął się burzyć, Neron zwałił całą winę nieszczęścia na chrześcijan, oskarżył ich, że wzniecali pożar i zapowiedział, że wyda rozkaz zupełnego ich wytępienia. Juliusz odszukał Sabinę, wyznał, jak się dowiedział, że jest chrześcijanką i doniósł jej o niebezpieczeństwie, grożąc jej i innym chrześcijanom. Wiadomość o nadchodzącym prześladowaniu przyjęła z uśmiechem, bo pragnęła cierpieć za Chrystusa. Wyznanie jego, że ją kocha, przyjęła chłodno, bo według jej religii wszystkich kochać należało. Z początku oburzył się na to, ale, porwany jej mową o prawdzie wiary chrześcijańskiej, okazał gotowość nawrócenia się. Od tego czasu często odwiedzał ją i słuchał jej nauk o nowej religii. Ciągłe jednak drżał o nią, bo wybuchło prześladowanie chrześcijan i lada niewolnik mógł donieść, że Sabina wyznaje nową wiarę. Ulubieniec Nerona, ów Leliusz, drugi krewny Sabiny, odkrył jej siedzibę przy pomocy swojego zręcznego niewolnika. Przyszedł do niej z zamiarem wzięcia jej na swoją kochankę. Bohaterskie i spokojne zachowanie się Sabiny, dumne i silne spojrzenie uczyniło nieśmiałym tego dworaka. Na jego gniewne pogroźki po pewnej walce wewnętrznej wyznała śmiało, że jest chrześcijanką i zapytała go: »kim ty jesteś? ty, co dla nasycenia namiętności nikczemnej, dla zemsty poświęcasz sumienie, szlachetność, poczciwość?« I stała się rzecz dziwna: Ów przed chwilą dumny, złośliwy ulubieniec Nerona padł przed nią na kolana, składając ręce, zmieszany, przelękły, jak piorunem rażony. »Przebac mi —

rzekł stłumionym głosem — byłem szalony, byłem zbrodniarzem... tyś wielka, tyś niezłomna, tyś jest uwielbienia godna, jam nikczemny! Bóg twój dał ci siłę zwyciężką!» Przyszedł poganinem do niej, wyszedł chrześcijaninem w duchu. Wprawdzie wrócił na krótko na dwór Cezara, lecz odtąd nastąpiła zmiana stanowcza w jego życiu. Nero zaś upajał się krwią chrześcijan. Odkryto spisek, uknuty na niego i połała się krew setek i tysięcy. Obawiał się człowiek człowieka, brat brata, żeby go nie oskarżył. Dom, w którym jednego posądzono człowieka, już cały dotykała zemsta, mordowano winnych i niewinnych. Potracono prawie wszystkich najznakomitszych Rzymian: Lukan poeta zginął z wierszem na ustach; owa piękna Epicharys umarła z zaciśniętymi usty, gdy delikatne jej ciało rozszarpano na poły, złamano kości, pogruchotano członki. Przyjaciel Juliusza Celsus na rozkaz Nerona odebrał sobie życie. Seneka, sławny filozof, dawny nauczyciel Nerona, czekał śmierci, nikt nie był pewny jutra. Chrześcijanie umierali ciągle w strasznych mękach. Zwłoki męczenników grzebali potajemnie Sabina, Pomponia Grecyna, druga znakomita Rzymianka, Leliusz i inni w katakombach. Juliusz wzywał Sabinę do wyjazdu do Tuskulum, ale dzielna chrześcijanka nie chciała ani uciekać przed śmiercią męczeńską, ani też wyzywać katów. Raz wracali z krypt po modlitwie i ze zdziwieniem spostrzegli dom Sabiny, otoczony zbrojną strażą, która kogoś pilnie szukała. Sabina zmusiła prośbą gorącą Juliusza, by został opiekunem jej dziecka i wychowawcą. Ona chciała się oddać w ręce katów. Odchodząc, rzekła do Juliusza: »Bracie mój... Duszę moją oddaję Bogu, ale braterskim pocałunkiem ciebie żegnam... którego jednego kochałam na ziemi...« Wyrazy te słabszym wymówiła głosem, ale wnet męstwo jej wróciło, położyła młodzieńcowi ręce na ramionach, ustami dotknęła warg jego i śmiałym, żywym krokiem puściła się ku domowi. Juliusz chciał z nią iść choćby na śmierć, lecz ona dała mu znak ręką, aby pozostał i zajął się jej ukochanym synkiem.

Wysłańcy Cezara osadzili Sabinę w więzieniu w domu dzikiego i okrutnego Rupasa. W kilka dni w nieobecności



Pochodnie Nerona (męczenie chrześcijan).  
Z obrazu Henryka Siemiradzkiego.



Rupasa Juliusz odwiedził Sabinę. Stała w lochu, oparta o mur, gdyż w nim ani położyć się, ani nawet usiąść nie było podobna. Powietrze było zgniłe i zatechłe; nie rozróżniłbyś dnia od nocy, bo okna tam nie było. Uwięziona poprosiła Juliusza jeszcze raz o opiekę nad Paulusem i dodała: »Juliuszu, jeżeli będziesz mógł, przyjdź tam, gdzie mi zginąć przeznaczono, bądź tryumfowi przytomny... Nie chcę, abys brał z sobą Paulusa; na jego serce dziecięce widok byłby zbyt okrutny... Ale tyś mężczyzna... ty mu powiesz kiedyś, jak matka jego, błogosławiąc mu, umarła«.

Juliusz spełnił wolę Sabiny. Widział ją w cyrku, stojącą ze swą wierną Rutą wśród gromady chrześcijan, czekających śmierci. Sabina podniosła głowę ku niebu, potem zdało się, że szuka kogoś wzrokiem w tłumie. Juliusz podniósł w górę białą jej szatę, a ona skłoniła głowę na pożegnanie, rękę przykładając do serca. I jakby tego ziemskiego zawstydziła się uczucia, uklękła zaraz, spuściła oczy, zaczęła się modlić!... Kat nadbiegł ku niej z kolei, pochwycił za włosy, jednym zamachem strącił głowę z jej ramion. W tej chwili z drugiej strony padał nawrócony Leliusz, dawny ulubieniec Nerona; innych podnoszono na krzyżach. Niektórych oblewano smołą i przywiązywano wysoko do słupów, a następnie podpalano, aby świecili jak pochodnie, innych rzucano na rozpalone stosy. Ale nagle jakby jakiś obłęd tłumem owładnął: wielu rzuciło się na arenę, wyznając, że są chrześcijanami; nawet kaci rzucali zakrwawione miecze, klękali i pragnęli śmierci za nową wiarę. Zwłoki Sabiny złożono w starym grobowcu w katakombach. Na nim położono napis chrześcijański.

---

Niedługo potem zginął i Juliusz. Będąc przyjacielem Celsusa, oskarżonego o udział w spisku na życie Cezara, podzielił jego los. Przybył do domu Juliusza wysłaniec Nerona, a widząc jego pierś obnażoną, popatrzał, dobył miecza z pochwy i pchnął go w serce... Małego Paulusa wzięła na wychowanie pewna zacna rodzina chrześcijańska. Okrutnego

Nerona spotkała wreszcie zasłużona kara: zginął zamordowany, a pamięć jego przeklęta.

---

Położenie Polaków, prześladowanych po upadku powstania, podobne było do położenia pierwszych chrześcijan; jedni i drudzy walczyli za świętą sprawę: chrześcijanie za wiarę, Polacy za ojczyznę. Poganie mieli władzę, siłę, wymyślali najokrutniejsze tortury dla wyznawców Chrystusa, a jednak prawda zwyciężyła i krzyż zapanował nad światem, którym dawniej władał Rzym pogański. I Polacy więc nie powinni tracić ufności w swoją sprawę; oni również cierpią za wolność i prawdę, która kiedyś zwycięży. Przyjdzie czas, że nad wolną ziemią polską wzniesie się polski orzeł biały, swobodny i zwycięski.

---

---

## B) POWIEŚCI WSPÓŁCZESNE.

W powieściach współczesnych przedstawia autor ludzi tego czasu, w którym sam żyje. Współczesne powieści Kraśzewskiego podzielimy na:

- 1) Powieści ludowe;
- 2) Powieści szlacheckie;
- 3) Powieści z życia autora.

### 1) Powieści ludowe.

W dawniejszych czasach u Słowian, a więc i u plemion polskich nie było ani szlachty, ani chłopów; wszyscy byli równi. Dopiero w czasie wojen chwymano jeńców, których zamieniano w niewolników. Za pierwszych Piastów równość powoli zniknęła: jedni zaczęli się bogacić, a drudzy ubożeć. Wielu przychodziło do bogactwa w ten sposób, że książę obdarzał ich ziemią za usługi, oddane mu na wojnie. Ci ludzie możni czyli bogaci byli rycerzami księcia, a z tych rycerzy wytworzyła się powoli szlachta. Biedniejsi zaś i niewolnicy otrzymywali od możnych łany ziemi, a za to płacili im czynsze. Początkowo ludziom wolnym, choćby ubogim, lepiej się powodziło niż niewolnikom, ale z czasem zrównali się jedni z drugimi i nazwano ich wszystkich chłopami. Ponieważ w Polsce było dużo ziemi a mało ludzi, więc książę i możni panowie sprowadzali osadników czyli kolonistów niemieckich, później także wołoskich i nadawali im grunta pod pewnymi warunkami. Tacy koloniści płacili tylko

czynsz panu, ale byli zupełnie wolni, a ich przełożonym i sędzią był sołtys. Tym osadnikom powodziło się w Polsce bardzo dobrze, a ponieważ takie kolonie bardzo szybko się rozwijały, więc zaczęto także i chłopom polskim nadawać takie same prawa i swobody, przez co ich dola znacznie się poprawiła. Tych wolnych i bogatych chłopów lub osadników nazywano często kmieciami.

Tak było za Piastów. Za Jagiellonów, a później za królów obieralnych los chłopów stawał się stopniowo coraz smutniejszy. Osadnicy nauczyli się po polsku, zapomnieli swego dawnego języka i coraz mniej różnili się od chłopów polskich, a wreszcie zrównali się z nimi zupełnie. Sołtysów usunięto, a pan, czyli dziedzic, miał wszelką władzę nad chłopami, którzy się stali jego poddanymi. Od tego czasu dziedzic miał prawo sprzedać, zastawić, darować lub przekazać testamentem chłopu z gruntem lub bez gruntu. Chłopi musieli pracować za darmo na gruntach pańskich, czyli odrabiać pańszczyznę. Sam dziedzic wyznaczał, ile dni w tygodniu taka praca trwać miała. Nadto musieli poddani składać swojemu panu różne uciążliwe opłaty, kupować z karczmy pańskiej śledzie, sól i trunki, dostarczać do dworu kur, jaj, serów, grzybów, orzechów, zboża, lnu i t. d. Pan także sądził chłopu we wszystkich sprawach. Chłop był przywiązany do gruntu, to znaczy nie wolno mu było bez pozwolenia pana opuszczać domu ni gruntu. Jeśli dziedzic chłopu skrzywdził, to nie mógł być za to karany, bo nie było ustawy, biorącej w obronę poddanych. Jeżeli pan był dobry, to i chłopom dobrze się działo w jego dobrach, jeżeli pan nie miał sumienia, to obchodził się z chłopami okrutnie. Gdy Jagiellonowie połączyli z Polską Litwę i ziemie ruskie, chłopów litewskich i ruskich zrównano z polskimi. Zresztą na Litwie i Rusi chłopu żyli już przed połączeniem z Polską w ciężkiej niewoli. W innych państwach europejskich położenie ludu wiejskiego było często jeszcze smutniejsze, ale tam wcześniej zaczęto myśleć o zmianie niż w Polsce.

Za królów obieralnych chłopu popadali często w wielką nędzę, bo mieli coraz mniej gruntu dla siebie, a coraz wię-

cej musieli pracować dla dziedzica. Dopiero w ostatnich kilkudziesięciu latach istnienia państwa polskiego zaczęto się zastanawiać, jakby ulżyć biednym chłopom. Znalazło się wielu dziedziców i panów zacnych, którzy dobrowolnie uwalniali chłopów od pańszczyzny, żądali od nich mniejszych czynszów i opłat, oraz opiekowali się nimi po ojcowsku. Sejm uchwalił, że sądy miały karać szlachcica za zranienie chłopą. W konstytucyi 3. maja była także wzmianka o chłopach, że się ich bierze pod opiekę prawa, to znaczyło, że umowy, zawartej między chłopem a szlachcicem, musiały obie strony dotrzymać. Wreszcie Tadeusz Kościuszko, który przy pomocy chłopów odniósł świetne zwycięstwo pod Racławicami, zmniejszył pańszczyznę, grunta oddał chłopom na własność i pozwolił im przenosić się i osiedlać, gdzie zechcą.

Po upadku Polski jedna jej część dostała się Prusom, druga część, t. j. dzisiejsza Galicya przeszła pod panowanie Austrii, a najwięcej z krajów, należących do Polski, zajęła Rosya. Rząd pruski najwcześniej, bo już w r. 1824. uwłaszczył chłopów, to znaczy nadał im na własność grunta, które uprawiali. Na nieszczęście jednak Polaków starali się Prusacy różnymi sposobami budzić nienawiść chłopów ku dziedzicom.

Uwolnienia chłopów od pańszczyzny w Galicyi dokonano dopiero w r. 1848., chociaż szlachta polska już dawniej dobrowolnie chciała ich uwłaszczyć. Uwłaszczenie chłopów w zaborze rosyjskim nastąpiło najpóźniej, mianowicie w r. 1864, a zostało przeprowadzone umyślnie w taki sposób, żeby zrujnować znaczną część szlachty. W Królestwie Polskiem starali się Polacy już przedtem poprawić los chłopów; w krajach litewskich i ruskich właśnie za czasu pobytu Kraszewskiego na Wołyniu naradzała się szlachta nad zniesieniem poddaństwa chłopów.

Kraszewski brał zawsze chłopów w obronę na zebraniach obywatelskich i w swoich pismach. W kilku prześlicznych powieściach przedstawił nam życie ludu i stosunek poddanych do dziedzica. Pierwszą z tych powieści jest:

## Ulana.

Jadąc ze Lwowa w kierunku północno-wschodnim, opuszczamy granice Galicyi, następnie przejeżdżamy przez kraj, zwany Wołyniem, a wreszcie dostajemy się do Polesia. Galicya, Wołyń, Polesie są to części dawnej Polski. Wołyń i Polesie należą dzisiaj do Rosyi. Polesie jest to kraj podłużny, ciągnący się od zachodu na wschód, położony po obu brzegach rzeki Prypeci, do której wpada mnóstwo dopływów. Rzeki te rozlewają się szeroko i tworzą jeziora, stawy i bagna. Dlatego też niektóre okolice Polesia są bardzo błotniste np. okolica miasta Pińska.

Polesie poznał Kraszewski dokładnie, bo tam dzierżawił wieś Omelno, tam też często zaglądał i później, gdy mieszkał na Wołyniu. Otóż w powieści p. t. *Ulana*, napisanej w Gródku koło roku 1841, przenosi nas autor do jednej wsi Polesia, położonej nad jeziorem, a z drugiej strony otoczonej lasem. Za wsią na pagórku wznosił się dwór pański. Dziedzicem tej wioski był młody Tadeusz Mrozoczyński, kawaler, który niedawno powrócił z miasta, gdzie go spotkały jakieś przykrości. Postanowił się zakopać na wsi i żyć zdala od ludzi, którzy mu dokuczali. Ze dworu wychodził często na polowania, w których mu towarzyszył wierny pies.

Pewnego razu, nie czekając wschodu słońca i ciepła, wziął psa i strzelbę i wyszedł na brzeg jeziora drożyną, wiodącą do lasu. Był to piękny, cudowny ranek wiosenny. Tadeusz szedł zadumany; nagle pies zaszczekał, a ktoś krzyknął bojaźliwie. Była to prosta kobieta wiejska, bosa, ubrana po chłopsku, idąca do lasu na grzyby. Tadeusz oczu nie mógł oderwać, tak była piękna. Twarz biała, usta świeże, ruchy zręczne. Młody pan zaczął z nią rozmowę i dowiedział się, że nazywa się Ulana, że jest żoną Oksenia Hończara, garncarza i że służyła jakiś czas we dworze. Potem młoda kobieta oddaliła się prędko.

Od tego spotkania Tadeusz myślał często o Ulanie. W kilka dni potem, gdy wszyscy byli w polu, udał się do

wsi i zaglądnął do chaty Hończara. Gdy Ulana zobaczyła pana, przestraszyła się bardzo; zakrywała się, osłaniając fartuchem twarz i nie wiedziała, co począć. Na pytania Tadeusza odpowiadała niechętnie, że mąż jej jest starszy, że jest zazdrosny i bije ją, gdy się kto do niej ze dworu zaleca; dlatego się boi zalotów jak ognia. Tęskniła ona za prawdziwym kochaniem, miłym i delikatnym, bo widziała we dworze, jak się państwo kochali, ale chłopki nikt tak nie kochał. Gdy Ulana odwróciła się do kur, Tadeusz musiał odejść ze wstydem.

Innym razem zbliżył się Tadeusz do Ulany, gdy prała bieliznę we dworze nad jeziorem. Gdy jej powiedział, że męża jej wyprawił na kilka dni do dalekiego miasta, Ulana krzyknęła z przestachu. Młody pan wziął ją w pół i chciał pocałować, ale Ulana przestraszona wyrwała się i zawołała żałośnie: »A moje dzieci!« Miała bowiem dwoje drobnych dzieci. Mówiła dalej, że przysięgła mężowi w cerkwi, że ksiądz ich pobłogosławił i razem krzyż całowali, a kto złamie przysięgę, temu smutny koniec i dzieci nie szczęście spotka za matkę. Tadeusz odchodząc zapowiedział Ulanie, że nocą przyjdzie do niej.

Gdy w nocy zbliżył się Tadeusz do chaty Hończara, dojrzał w ciemnościach Ulanę, czekającą na progu. Chciała ona uprosić młodego pana, żeby do chaty nie wchodził; ona nie jest taka, jak on sobie myśli; takie kochanie gorsze dla niej od nienawiści. Gdyby go do chaty wpuściła, Pan Bóg by ją pokarał na dzieciach, na domu, na dobytku. Tadeusz musiał znowu odejść zdziwiony i zawstydzony, bo młoda wieśniaczka chciała wołać ratunku i zagroziła mu nożem, który miała przy sobie dla obrony.

Nazajutrz w dzień świąteczny wybrał się dziedzic jak zwykle z psem i ze strzelbą do lasu i zamyślony zaszedł aż do mogiły, wznoszącej się w głębi boru. Jakież było jego zdziwienie, gdy na mogile zobaczył siedzącą Ulanę, zapatrzoną gdzieś daleko i smutną. Gdy spostrzegła panicza, zerwała się i chciała uciekać, ale ją pies zatrzymał. Tadeusz zapewnił ją, że jej nic złego nie uczyni, kazał jej siadać,

sam usiadł obok niej i zaczął jej mówić, że ją kocha szczerze, że ją będzie zawsze kochał, że jego kochanie będzie delikatne i miłsze niż zaloty dworskich kawalerów. Ulana przyznała się, że się z nią coś dziwnego dzieje; chyba ją młody pan oczarował, bo się już boi, żeby jej nie porzucił. Gdy Tadeusz uradowany chciał ją przytulić do siebie, powstała nagle z ziemi i uciekła. On nie mógł się nadziwić, że chłopka z jego wsi tak długo opiera się jego miłości.

W owych czasach pańszczyzny i poddaństwa chłopów, pan, rządcą albo ekonom, gdy był bez sumienia, mógł zmusić wiejską kobietę nawet do zdradzenia męża. Tadeusz jednak tak nie postępował, on czatował na Ulanę, gdy przychodziła na robotę do dworu, rozmawiał z nią coraz częściej, oswajał ją ze sobą i z myślą grzechu. Wreszcie Ulana zapomniała dzieci, męża, chaty i wstydu, bo gorąco pokochała pięknego pana. Odtąd wymykała się często nocami do lasu lub do ogrodu dworskiego, gdzie czekał na nią rozkochany Tadeusz. Ludzie zaczęli mówić coraz głośniej o tej miłości niezwyklej, ale Tadeusz o tem nie wiedział, a Ulana już teraz o nic nie dbała. Tak ją miłość zaślepiła.

Tymczasem powrócił z dalekiej drogi Okseń Hończar, mąż Ulany. Stary Lewko, ojciec Ulany, Ułas, ojciec Oksenia, zgrzybiały starzec i Pawluk, brat zdradzonego męża, zaprowadzili go do karczmy i tutaj przy wódce powiedzieli mu, że Ulana chodzi do pana do dworu. Okseń zawrzał gniewem i rwał się do domu bić Ulanę. Stary Okseń tłumaczył mu, że pan będzie się na nim mścił za Ulanę; chcąc Oksenia odwieść od zadzierania z dziedzicem, opowiedział mu następujący smutny wypadek: »Pan pokochał się z żoną chłopą, a chłop widział to i wybił żonę. Nazajutrz chłopą zakuli w dyby i wsadzili do więzienia na chleb i wodę, aż pobladł, jakby chorował, siedząc tak cztery niedziele. Poczęli prosić pana ludzie; wypuścili go. On, co tylko jemu żonka na oczy naszła, znowu do niej z biciem. Pan jego znowu na chleb i wodę, aż tak siedział pół roku. Wreszcie go wypuścili. W dwa dni z wieczora zapalił się dwór, a wiatr był na gumna i tok; pali się stodoła i obora. Pan



w płacz i ręce łamie, a nazajutrz chłopą w dyby. Poszedł chłop w kajdany, a żona do dworu».

Okseń nie dał się odstraszyć tem opowiadaniem, lecz groził, że zbije Ulaną bez litości. Wtem sama Ulana weszła i oznajmiła, że w domu wieczerza czeka. Okseń wracał z żoną przodem i po drodze zaczął ją bić srodze; ledwo go brat i starzy odciągnęli. Ulana uciekła do siostry Maryi i ukryła się w jej domu na strychu przed nadchodzącym mężem, który, nie znalazłszy jej, odszedł do domu.

Tadeusz dowiedział się przypadkiem o wszystkim i nie wiedział, co począć. Boleść szarpała mu serce, żal mu było Ulany serdecznie, a nie wiedział, jak ją ratować.

Nazajutrz rano Ulana wróciła od siostry do chaty równo ze świtem, gdy mąż jeszcze spał. Gdy ujrzała najmłodsze dziecię śpiące, łzy jej z oczu pobiegły i pomyślała: »Ja i dzieci teraz mniej kocham. Dawniej dzieci, to był mój skarb, a dziś jakby one cudze były. Biedne dziatki! Kto was będzie hodował, kto was będzie pieścił, kto was będzie kochał?«

Gdy się Okseń obudził i widział, że Ulana gotowa mu była oddać każde uderzenie, dał jej spokój. Zresztą żona mu zagroziła: »Ty mnie nie tkniesz palcem, kiedy nie chcesz sam zginąć marnie«. Wkrótce przyszedł rozkaz od ekonomy ze dworu, żeby Okseń odwiózł żołnierzy i musiał znowu na kilka dni dom opuścić, klnąc pana w duszy i przysięgając mu zemstę. Wieczorem wyszedł Tadeusz przez ogród dworski nad jezioro, usiadł i zapatrzył się na piękne niebo, iskrzące gwiazdami, na białe chmurki, na księżyc czerwony i na chłopskie chaty. Westchnął; a drugie westchnienie obok niego słyszeć się dało: Ulana chwyciła go za rękę i szeptała: »Bez was mnie nie wyżyć, jak rybie bez wody. Póki mnie nie przywiążą, nie zamkną, przyjdę do was; a gdyby zamknęli, tobym się urwała, wybiła, odgryzła«. I tuliła mu się do piersi, płakała i śmiała się z radości. Schronili się do pustej chatki, stojącej w ogrodzie i tam doczekali rana. Gdy się rozeszli o świcie, Tadeusz długo

zastanawiał się, skąd u prostej wieśniaczki tyle miłości, tyle wdzięku i delikatności.

Ulana kochała młodego dziedzica coraz gwałtowniej i namiętniej, on powoli zaczął przychodzić do opamiętania. Miłość jego nie ustała, ale czasem wydawało mu się śmieszne, że się kocha w chłopce. Okseń powrócił, ale na żonę nawet nie patrzył i nie bronił jej chodzić do dworu. Zaczął tylko przesiadywać w karczmie i pić.

Pewnej nocy Tadeusz i Ulana zasnęli w pokoju we dworze; zbudził ich oślepiający blask pożaru. Tadeusz zaczął wołać ratunku; pobudzili się ludzie dworscy, ekonom popędził na wieś po chłopów, ale ci nie chcieli ratować: ukrywali się, rozbiegali lub zdaleka patrzyli na płonące budynki. Spaliły się stodoły, stajnie, stogi ze zbożem i dach domu mieszkalnego. Tadeusz domyślił się, że ogień został podłożony i kazał uwięzić Oksenia.

Nazajutrz Tadeusz ciężko zachorował — leżał w gorączce, a u drzwi jego pokoju stała Ulana, jak pies wierny, nie jedząc, nie pijąc, z oczyma zapłakanemi, z rozrzuczonymi włosami i załamanemi rękami. Tymczasem Okseń uwięziony przyznał się, że to on dwór podpalił, a w kilka dni potem umarł nagle, wypiwszy jakiejś dziwnej trucizny, której mu dostarczyła stara Hrypyna. Tadeusz, przychodzący do zdrowia, siedział właśnie na ganku z Ulaną, gdy po drugiej stronie jeziora zobaczył orszak pogrzebowy, zwolna się posuwający. Gdy się dziedzic zapytał, czyj to pogrzeb, Ulana z największym spokojem odpowiedziała, że umarł Okseń. Ona się zupełnie nie martwiła śmiercią męża, bo patrzyła na swego ulubionego panicza. Tadeusz czuł, że on był przyczyną śmierci chłopca i przestraszył się tak mocno, że rozchorował się na nowo i przeleżał kilka tygodni w ciężkiej gorączce. W chorobie krzyczał, że on nie winien, że on nie zabił. Po jakimś czasie choroba zaczęła ustępować, a Ulana odżyła nieco. Biedna Ulana tak strasznie gryzła się chorobą, że twarz jej wyschła, oczy przygasły, usta zsiniały. Nie mógł jej Tadeusz odepchnąć, choć teraz dobrze zrozumiał, że ta

cała miłość była występkiem. Z nią mu było źle, bez niej byłoby bardzo przykro.

Żył więc w ciągłym niepokoju. Powoli odzyskał zdrowie i tęsknił za innym życiem. Pewnego razu spotkał przypadkiem dawnego przyjaciela Augusta i zaprosił go do siebie. August słyszał był o miłości Tadeusza do chłopki, bo rzecz była głośna w okolicy. Chcąc rozerwać osamotnionego przyjaciela, namówił go na wyjazd do Warszawy. Ulana żegnała Tadeusza z płaczem i jękiem, bo miała przeczucie, że się coś złego stanie.

Mijały dni i tygodnie, Tadeusz nie wracał. Ulana tęskniła i płakała; całymi dniami wyglądała przez okno, czy pan nie jedzie. Nic jej nie mogło pocieszyć. Przyprawiono jej dzieci, ale te wydawały się matce jakby obce. Odprawiono więc biedne sieroty do domu, a Ulana nieszczęśliwa czekała coraz niespokojniej powrotu ukochanego panicza. Przyszedł list od Tadeusza do ekonoma: w liście było polecenie, żeby Ulana przeniosła się ze dworu do małego dworku na uboczu. Ulana zalała się łzami, bo widziała, że ją wypędzają z jej rajcu.

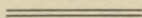
Wreszcie powrócił Tadeusz, ale powrócił z żoną. Rozpacz biednej chłopki nie da się opisać. Zapragnęła chociaż zobaczyć młodego dziedzica, po cichu podeszła do okna dworu i zajrzała do wnętrza. Tadeusz stał z żoną na środku pokoju, objął ją ręką w pól i coś mówili, śmiejąc się wesoło. Gwałtem oderwała się Ulana od okna i puściła się ku jezioru, gdzie stały topole i znajoma ławka. Jeszcze raz obejrzała się na dwór, potem żywo skoczyła na ławkę, do gałęzi topoli przywiązała swój mocny pas, przeżegnała się i zrobiła krzyż w powietrzu, zwracając się w stronę swej chaty i dzieci.

Za chwilę na gałęzi topoli wisało zimne ciało Ulany.

---

Z tej powieści dowiadujemy się, że lekkomyślny, choć w gruncie rzeczy może niezły dziedzic staje się przyczyną śmierci dwojga ludzi: Oksenia i Ulany. Dlaczego? Głównie

dlatego, że Tadeusz nie obawiał się kary za skrzywdzenie poddanego, bo prawo nie broniło chłopą. Dla samego dziedzica byłoby lepiej, żeby chłop mógł się na niego poskarżyć przed jakąś władzą, boby zuchwały pan nie popełnił występku i uniknął ciężkich wyrzutów sumienia. Czytelnicy mogli łatwo wysnuć naukę z tej powieści: Powinno się zaprowadzić takie prawa, któreby broniły chłopą przed samowolą dziedzica, któreby nie pozwalały panu według kaprysu zmuszać chłopą do odrabiania pańszczyzny. Ustawa powinna dokładnie określać, ile dni chłop ma pracować u pana, zresztą powinien być zupełnie wolny. Rząd rosyjski załatwił później tę sprawę w ten sposób, że chłopą zatrzymywali swoje grunta, zamiast odrabiania pańszczyzny płacili większe podatki, a rząd miał dziedziców wynagrodzić z tych podatków za uwolnienie poddanych od roboty dla dworu. Podobnie postąpił wcześniej znacznie rząd pruski i austriacki<sup>1)</sup>.



W roku 1847. w Gródku napisał Kraszewski piękną powieść ludową pod tytułem:

### **Budnik.**

Na Polesiu mieszkali przeważnie Rusini. Panowie polscy mieli tu jednak swoje majątki, więc sprowadzali osadników Polaków z nad Wisły, zwanych Mazurami. Ci przybysze mieszkali w lasach, jedna rodzina oddalona była znacznie od drugiej, ale wszyscy zachowali mowę i obyczaje mazurskie. Zwano ich budnikami. Budnicy uważali się za coś lepszego od chłopów Rusinów, nie trudnili się uprawą roli, lecz wyrabiali dziegieć, smołę, poaż, klepki na beczki, trudnili się polowaniem, hodowali krowy i kozy, które dostarczały

<sup>1)</sup> Por. wyżej str. 140.

mleka rodzinie. W dawnych czasach dobrze się wiodło budnikom, bo lasy były ogromne, zwierza pełno, dochody znaczne. Za czasów pobytu Kraszewskiego na Polesiu i Wołyniu owi budnicy żyli w większej biedzie niż chłopci, bo lasy się przerzedziły, często nie było na co polować, nie było co sprzedawać, nastąpiły smutne czasy.

W powieści p. t. *Budnik* przedstawia nam Kraszewski nieszczęśliwe losy jednej rodziny mazurskiej na Polesiu. Było to z początkiem wiosny na przednowku, gdy brakło jada dla ludzi a paszy dla bydła. W nędznej chacie budnika Bartosza wieczorem siedziała jego rodzina koło ognia: Maciej i Julia, jego dzieci, i Pawłowa, wdowa po jego bracie. Wszyscy troje z niepokojem oczekiwali samego Bartosza, który jeszcze nie powrócił z lasu. Maciej, nie mogąc się doczekać ojca i kolacyi, położył się na ławie i zasnął. Pawłowa, kobieta sterana nędzą, zaczęła narzekać na ciężkie czasy. Mówiła ona, że panicz ze dworu mógłby im dopomódz, gdyby tylko Julusia zechciała. Nieraz on zatrzymywał się przed chatą i rozmawiał z Julusią tak grzecznie i słodko, jakby go kto miodem posmarował. Dziewczyna nie chciała nawet słuchać słów Pawłowej, bo jej się zdawało, że ją namawia do czegoś złego. Dodać należy, że Julusia była śliczną dziewczyną; biała, wysmukła, z czarnemi oczyma i kruczym włosom, ubrana była ubogo ale starannie.

Ktoś do drzwi zastukał. Był to Bramko, żyd z pobliskiego miasteczka, który chciał umieścić u Bartosza jakieś konie, więc wszedł do chaty budnika i postanowił czekać na niego. Nadszedł Bartosz, mężczyzna wysoki, barczysty, o miłej i energicznej twarzy. Nie dał się żydowi namówić do przyjęcia koni do swojej obory, choć Bramko chciał mu hojnie zapłacić. Stary budnik domyślił się, że to były konie kradzione. Żyd, dowiedziawszy się od Bartosza o aresztowaniu swojego spółnika, jakiegoś Jakóba, zaniepokojony odszedł do miasta, a konie zostawił uwiązane u płotu.

Rankiem następnego dnia wyprawił ojciec niedołęznego Macieja do dworu po chleb, a sam odprowadził konie do miasta, aby je oddać urzędnikowi, t. zw. panu pomocnikowi

i opowiedzieć, skąd się u niego wzięły. W nieobecności starego i syna, Pawłowa zaczęła opowiadać Julusi o dostatku i wesołości, jaka panuje we dworze. Pawłowa była tam niedawno, rozmawiała z dziedziczką, która jej dała lekarstwa na chorą nogę. Dziedziczka była to dobroć sama; gdy się dowiedziała o nędzy w chacie Bartosza, zapragnęła dopomóc biedakom i chciała przyjąć Julusię do służby. Pawłowa powtórzyła to Bartoszowi, ale ten z gniewem oświadczył, że wie, co to jest ta dworska służba; on woli, żeby jego córka umarła z głodu niż ze wstydu. Julusia, słuchając opowiadania starej wdowy, zadumała się smutnie.

Gdy zacny stary Bartosz dojeżdżał do miasteczka, nagle zastąpił mu drogę pijany pan pomocnik, mały, czerwony jak rydz, trądem jak muchomór okryty, z oczkami drobnymi, jak dwie krople atramentu, łysy jak arbuz, ospowaty jak czerstwy chleba kawałek. Kazał on ludziom, którzy za nim nadjechali konno, aresztować budnika za kradzież. Widocznie Bramko przez zemstę oskarżył Bartosza, chociaż sam konie ukradł. Przekupił on nieuczciwego pomocnika, żeby tylko niewinnego człowieka wykierować na złodzieja. Bartosz chciał mu wytłumaczyć, kto konie ukradł, ale pomocnik nie chciał go słuchać, lecz rozkazał go związać i prowadzić do więzienia do miasteczka.

---

We dworze mieszkała dziedziczka z dorosłym synem Janem. Matka prowadziła życie świątobliwe: modliła się i opiekowała biednymi i chorymi. Niestety, wszyscy nadużywali jej dobrego serca i oszukiwali ją bezwstydnie. Ukochany synek Jaś prowadził życie rozpustne: zapraszał wesołych przyjaciół, którzy jedli, pili i swywolili z młodemi dziewczętami. Poczciwa matka, zaślepiona w swoim synalku, wierzyła, że to są zabawy niewinne, bo tak ją zapewniała panna Tekla, jej służąca i ulubiona towarzyszka. Jasiowi znudziły się dziewczęta dworskie, więc zachciało mu się młodziutkiej Julusi, która mu oddawna wpadła w oko. Pa-

włowa za pieniądze zgodziła się pomagać paniczowi w jego niecnym zamiarach.

Otóż do tego dworu wybrał się gapiowaty Maciej po mąkę. Szedł powoli, wytrzeszczał oczy naokoło, oglądał się na wszystkie strony i dziwił się drzewom, ptakom i ludziom. Po drodze zastrzelił cietrzewia, którego zostawił w karczmie za wódkę i trochę podochocony przybył do dworu. Tutaj nie mógł się doczekać wydania mąki, więc poszedł się przypatrzeć, gdzie panowie strzelali. Gdy młody dziedzic strzelił i nie trafił, Maciej zaczął się śmiać, że tak kiepsko strzela. Jaś kazał strzelać Maciejowi: jeżeli trafi, to za każdy strzał da mu dukata, jeśli chybi, to go nabije. Maciej ze swojej starej strzelby, powiązanej sznurkami, trafił nie tylko w koło, ale nawet w drobny punkcik i dostał od pana dziesięć dukatów. Wreszcie wydano mu mąkę, którą znajomy kowal wziął na wóz i obaj pojechali ku domowi. Po drodze wstąpili do karczmy i tu dwaj żołnierze arestowali Macieja, jako oskarżonego o pomaganie ojcu w kradzieży koni. Gdy się o tem dowiedział służący pana Jana i panna Tekla, postanowili teraz sprowadzić Julusię do dworu.

Pawłowa i Julusia nie mogły się doczekać powrotu starego Bartosza ani Macieja. Przeczuywały nieszczęście. Wreszcie nadjechał ów znajomy kowal, który przywiózł mąkę i opowiedział o arestowaniu ojca i syna. Julusia przepłakała noc całą. Nad ranem zajechały dworskie konie, które przysłała dziedziczka, namówiona przez pannę Teklę, po Julusię i Pawłową. Dobra pani chciała się zaopiekować opuszczoną dziewczyną i nie przypuszczała nawet, co córce budnika grozi pod jej opieką. Pawłowa odjechała do dworu z radością, Julusia z niepokojem.

Stary Bartosz o mało nie oszalał w pierwszych chwilach we więzieniu. Jego posądzono o złodziejstwo i więziono ze złodziejami. Jakiś czas krzepił się modlitwą, potem ciężko zachorował. Bramko zwałił bardzo zręcznie winę na budnika i syna. Maciej, który niezręcznie tłumaczył, skąd ma pieniądze, przestraszony zeznawał tak, jak chciał niesu-

mienny pomocnik i szkodził ojcu przez swoją głupotę. Bartosz wyzdrowiał powoli, ale postarzał się i wychudł jak szkielet wskutek rozpacz i niepokoju o córkę.

Tymczasem we dworze obsypano Julusię подарunkami, aby ją pozyskać dla niecných zamiarów pana Jana. Sukienki, koszulki, fartuszki, bursztyny i korale na szyję, chusteczki kwieciste na głowę, trzewiczki foremne ze świecącej skóry, pończoszki białe i wstążki kolorowe, wszystko to zleciało się do kufereczka Julusi, która, choć smutna i strwożona, choć tęskniła za ojcem, nie miała siły, żeby te dary niebezpieczne odrzucać od siebie. O ojcu nie mogła się niczego dowiedzieć, bo ją okłamywano i uspokajano. Panicz podobał się dziewczynie jako ładny chłopiec, po cichu marzyła nawet czasem, że się z nią ożeni, bo taki był dla niej grzeczny. Powoli jednak zrozumiała, czego chce od niej zepsuty młodzieniec i zaczęła się uparcie zamykać w garderobie, unikając pana Jana. Widząc, że dziewczyna w żaden sposób nie da się nakłonić do złego, postanowiono odwieźć ją do domku w lesie. Tam będzie ją panicz odwiedzał i nakłaniał do grzechu, a w ostateczności użyje siły. Tutaj we dworze stara dziedziczka mogłaby się w końcu domyślić albo dowiedzieć o sprawkach ukochanego Jasia. Nędzny dom Bartosza ozdobiono i przygotowano na przybycie Pawłowej i Julusi, które wróciły do lasu i nie potrzebowały się troszczyć o życie, bo ze dworu dostarczano im wszystkiego.

Pan Jan zachodził ciągle do chaty, kusił dziewczynę różnymi sposobami, wreszcie przy pomocy nikczemnej Pawłowej dopiął swego: Julusia została jego kochanką. Potem jednak stało się z córką budnika coś strasznego: przechodziła z szalonego śmiechu do łez nieutulonych, tłukła głową o ściany, rwała piękne czarne włosy, łamała ręce i latała po łące i lesie, wołając: »ojcze!« Dostała pomieszania zmysłów. W szaleństwie rzucała się na Pawłową i innych obecnych, z czem miała; często nożem krwawiła sobie piersi, chcąc się zabić, biegła do wody, żeby się utopić, szukała sznura, starając się powiesić. Zakrywała się chustkami i sukienkami, bo się jej zdawało, że ojciec patrzy na nią z boleścią i wy-



rzutem. Potem uspokajała się i, gdy młody dziedzic był przy niej, przemawiała do niego pieszczotliwie: »Ty się ze mną ożenisz, chociaż jesteś bogaty. Będzie jak w bajce: Dasz mi sukienki szyte w słońca, księżycy i gwiazdy, włożysz na głowę moją koronę i poprowadzisz mnie do ołtarza. Wszak mówiłeś mi wczoraj, że mnie kochasz«. Pan Jan milczał zachmurzony. Zmienił się bardzo, widać odezwało się w nim sumienie. Zerwał nagle zabawy ze zgrają towarzyszków, odepchnął od siebie dawne ulubienice; chmurny, zamyślony, smutny siedział zamknięty sam jeden, albo przebywał milczący przy matce, albo jeździł jak szalony na koniu lub dnie całe spędzał w chacie budnika o chlebie i wodzie. Ludzie dworscy szeptali między sobą, że mu Pawłowa zadała uroki.

Tymczasem pomocnik pogniewał się z żydem Bramkiem. Zaczęto na nowo badać Bartosza i Macieja i niewinność ich stała się widoczna. Bracia budnicy nie mogli się obejść bez zacnego Bartosza, którego szanowali jak ojca; on im radził, pomagał, godził ich, leczył i pocieszał. Wysłali więc z pośród siebie trzech poważnych ludzi, którzy zaręczyli za niewinność ojca i syna, a pomocnikowi wsunęli do ręki trochę pieniędzy. Wówczas uwolniono niewinnie aresztowanych.

Jeszcze w miasteczku dowiedział się starzec od owych trzech budników o hańbie i obłąkaniu swej córki. Przerazili się towarzysze niemało, gdy Bartosz chwycił strzelbę i popędził z miasteczka. Oni z Maciejem najkrótszą drogą pospieszyli do chaty nieszczęśliwego ojca, bo się obawiali nieszczęścia.

Gdy weszli do domu budnika, nie było tam jeszcze Bartosza. Pan Jan siedział smutny na ławie przy nieszczęsnej Julusi, mówiącej w obłąkaniu o swoim weselu. Gdy zobaczył wchodzących, powstał z ławy i opuścił chatę. Pawłowa dowiedziała się od budników o uwolnieniu Bartosza i przestraszona zaczęła się wymawiać, że nie z jej winy nieszczęście spotkało Julusię. Błagała budników, żeby zostali do przybycia Bartosza, bo on ją zabije w napadzie gniewu.

Budnicy zostali, a Pawłowa częstowała ich, czem mogła i opowiadała im o nieboszczce żonie Bartosza: Bartosz zastał ją siedzącą na łóżku z kochankiem, wymierzył do nich i wystrzelił. Kochankowi przestrzelił rękę, a żona z przestachu zachorowała, męczyła się czas jakiś, aż wreszcie umarła. Opowiadając to, niecna Pawłowa trzęsa się ze strachu.

Po północy zjawił się Bartosz. Pawłową, leżącą na ziemi, potracił nogą z pogardą i kazał jej iść precz; do córki, która krzyczała z przestachu, przemówił łagodnie i uspokoił ją nieco. Kazał jej zdjąć wszystkie podarowane suknie, zarzucił jej na ramiona własną sukmanę, a gdy wszyscy wyszli na podwórze, podpalił chatę i zabudowania gospodarskie. Na wzgórzu stojąc, oświecony ogniem pożaru, z długą brodą, bez sukmany, ze strzelbą na ramieniu starzec poglądał na płonące domostwo suchem okiem. Gdy się wszystko spaliło, wziął Bartosz córkę za rękę i poszedł z nią w las. Głupkowaty Maciej powłókł się za nimi z psem Burkiem.

We dworze pan Jan chciał zapomnieć o wszystkim i zaczął się na nowo bawić hałaśliwie z przyjaciółmi, ale sumienie widocznie go dręczyło, bo nieraz podczas najweselejszej hulanki i pijatyki wzdychał ciężko. Matka dowiedziała się, że syn wybiera się z przyjaciółmi na polowanie, choć to było uroczyste święto; przysłała więc służącą Nastusię po niego. Pan Jan udał się do matki i wytłómaczył jej, że popołudniu we święto nie grzech polować. Wrócił do swoich towarzyszy, z których jeden obwoził galopem po podwórzu krzyczącą Nastusię. Wkrótce z wrzaskiem wyjechali na polowanie. W lesie pan Jan, jadący osobno, usłyszał szelest w pobliskich krzakach i zobaczył człowieka, mierzącego do niego ze strzelby. Był to stary Bartosz, który wypalił w stronę dziedzica i celnym strzałem powalił go z konia. Nadbiegli towarzysze; pan Jan oświadczył im, że sam się postrzelił. Dziwili się obecni, bo nie miał nawet strzelby. Wzięto ranego na nosze i poniesiono go w stronę dworu. Po drodze spotkała wracających matka, która wyszła właśnie na spacer.

Zobaczywszy syna ciężko rannego, biedna kobieta padła zemdlona. Na rękach odniesiono ją do dworu. Do młodego dziedzica wezwano lekarza, który głowę kręcił, ale całkiem nadziei nie tracił. Ludzie dworscy różnie sobie tłumaczyli ten nieszczęśliwy wypadek. Rządca domyślał się, że stary Bartosz strzelił do pana Jana, nakazał obławę w lasach i sam z kilkunastu ludźmi popędził chwytać budnika.

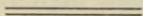
W głębi puszczy wznosił się pagórek nieporośnięty sosnami. Tam zbudował Bartosz na prędce szałas z gałęzi i zamieszkał w nim ze synem i chorą córką. Teraz właśnie siedział stary budnik niedaleko szałasu zadumany ze strzelbą nienabitą. Przed nim na posłaniu z gałęzi i trawy leżały martwe zwłoki Julusi, która umarła niedawno. Starzec rzucił się na kolana i modlił się, a modląc się, płakał rzewnie. Potem przy pomocy syna sklecił trumnę, wykopał grób i złożył w nim zimne ciało ukochanej córki. W kilka godzin obława schwytała Bartosza, leżącego na grobie Julusi. Syna zostawiono na wolności.

Rana dziedzica nie była śmiertelna. Wyzdrowiał powoli i zmienił się zupełnie. Pierwszem jego staraniem, gdy przyszedł do siebie, było uwolnienie Bartosza, którego trzymano we więzieniu. Z wielką trudnością dokazał tego, że starca wypuszczono na wolność. Nieszczęśliwy budnik ze wzgardą i gniewem odepchnął pieniądze, ofiarowane mu przez pana Jana. W jakiś czas potem znaleziono go nieżywego na grobie córki. Macieja zrobiono leśniczym w lasach dworskich. Pan Jan nie bawił się więcej, posmutniał, postarzał się i siedział ciągle przy matce.

---

Postać nieszczęśliwego Bartosza zasługuje na baczną uwagę. Kraszewski przypomniał czytelnikom w tej smutnej historii zasługi osadników polskich w krajach ruskich i litewskich. Pamiętać należy, że chłopci polscy opuszczali często kraj rodzinny i udawali się ze szlachtą i wielkimi panami na wschód, gdzie zakładali wsi i miasta. Ci osadnicy przynosili ze sobą oświatę i byli wzorem pracowitości,

oszczędności i uczciwości. W ten sposób powstały polskie osady na Rusi czerwonej (t. j. w dzisiejszej Galicyi wschodniej), na Podolu, na Wołyniu, na Polesiu, na Litwie i na Ukrainie. Stary Bartosz jest właśnie szlachetnym przedstawicielem tych polskich kolonistów na wschodzie.



Bardzo ciekawą powieścią, napisaną przez Kraszewskiego w roku 1845. w Gródku, jest:

### **Ostap Bondarczuk.**

Kiedy Napoleon ciągnął na Rosyę w roku 1812, część jego wojsk przechodziła przez Wołyń i spustoszyła ten kraj w sposób straszliwy. Wioski popalono, poniszczono płoty, ogrody, pola. Chłopi puciekali daleko i czekali, aż się wojna skończy. Dopiero z wiosną 1813. roku zaczęli mieszkańcy wracać do swoich wiosek i zastawali tylko szczątki i ruiny. Dodać należy, że na Wołyniu niema lasów, więc tu chata buduje się Bóg wie jak i z czego. Kilka krzywych dębowych lub osikowych słupów podpira ją po bokach. Belecзки brzozowe, osikowe krzywe, powyginane, służą za podstawę dachu. O krokwiach niema co i mówić; są to patyki osiczyny tak pokrzywione, że dach cały, gdy się słoma zleży, wygląda jak połamany. Ściany wypełnia się kawałkami najrozmaitszego drzewa i wylepia się je grubo gliną na zewnątrz i we środku.

Nawet taką lepiankę niesłychanie trudno sklecić na Wołyniu, to też chłopi łamali ręce, widząc swoje chaty popalone. Nie lepiej wyglądała wioska, którą nam opisuje Kraszewski w swej powieści. Chaty chłopskie, położone między dwoma wzgórzami, zamieniły się w kupy gruzów, a dwór pana hrabiego, stojący na końcu wsi, został także okropnie zniszczony. Sam pan hrabia wyjechał jeszcze przed

wojną za granicę z żoną i córeczką, a rządcą powrócił właśnie z wiosną do dworu, bo już nastały spokojniejsze czasy. Codziennie oglądał spustoszony pałac, myślał dużo, ale nic nie robił. Tak doczekał się powrotu pana, który przyjechał z żoną i córeczką.

Hrabina krzyknęła boleśnie, gdy zobaczyła pałac, wyglądający gorzej niż stajnia, mąż nic nie mówił przy służbie, choć również był zgryziony, kazał tylko zawołać ludzi, którzy mieli odkopać kufer ze skarbami, zakopany z polecenia jego przed wojną. Rządcą jednak uwiadomił hrabiego, że żołnierze kufer wydobyli i podzielili się kosztownościami. Pan, udając spokój, zaczął pocieszać żonę, gdy wtem z krzaków wybiegło dziecko w podartej koszuli i zaczęło uciekać. Hrabina łagodnie przywołała wynędzniałego ale ładnego chłopca do siebie i dowiedziała się częścią od niego, częścią od rządcy, że nazywa się Ostap Bondarczuk, że jest sierotą, że krewni porzucili go, uciekając przed wojną. Gdy się dziecko rozgadało, opowiedziało państwu, jak to pan rządcą nocą wykopał kufer ze skarbami i przeniósł w pole, gdzie go zakopał pod gruszą. Przerażony rządcą uciekł, a dziecko zaprowadziło hrabiego i służbę pod gruszę, gdzie odkopano ów kufer. Pan hrabia wkrótce zapomniał o dziecku, ale hrabina uprosiła męża, żeby się zajął losem Ostapka i oddał go do szkół. Przecież on im przywrócił ich wielkie bogactwa. W ten sposób Ostap Bondarczuk, syn chłopca, sierota, oddany został na naukę do miasta.

W kilkanaście lat później w Berlinie, stolicy państwa pruskiego, spotykamy dwóch młodzieńców, siedzących na ławce Pod Lipami. Był to Ostap czyli Eustachy Bondarczuk i Alfred, bratanek hrabiego. Ojciec Alfreda, umierając, polecił syna opiece brata swego, tego samego hrabiego, któryłożył na wykształcenie Bondarczuka. Młody hrabicz odziedziczył po zmarłych rodzicach więcej kłopotów i długów niż majątku, więc kształcił się z łaski stryja, który miał zamiar ożenić go ze swoją córką. Alfred miał wielkie zdolności; ukończył szkoły w kraju, a następnie udał się do Berlina, gdzie wykształcił się na lekarza. Był to młodzieniec

pięknej postaci i dobrego serca, ale brak mu było zapału i energii. Przez poważną naukę pozbył się wielu przesądów i kaprysów pańskich, ludzi cenił nie według pochodzenia i majątku, ale według rozumu i cnót. Uczył się nawet rzemiosła. Otóż z tym panem hrabiczem uczył się Ostap Bondarczuk medycyny i został również lekarzem. Dodać należy, że wyrósł na zdrowego, silnego i pięknego mężczyznę. Obaj młodzieńcy, żyjąc i ucząc się razem, zawarli serdeczną przyjaźń, choć jeden był synem hrabiego, a drugi chłopą. Obecnie nadeszła chwila powrotu do kraju. Bondarczuk obawiał się, jak będzie przyjęty w pałacu hrabiego; może się będą z nim obchodzić jak z poddanym i służącym, może go tam spotkają wielkie przykrości. Alfred uspokajał i pocieszał przyjaciela, obiecując mu pomoc w trudnych chwilach. Siedząc tak na ławeczce lub spacerując, rozmawiali długo o wyjeździe z Berlina. Następnego dnia istotnie wyjechali do kraju.

Pałac hrabiego, zniszczony podczas wojny, odnowiono pięknie, ale biedni chłopci mieszkali w chałupach nędznych, napół rozwalonych i popalonych, bo nie było czasu ani pieniędzy na wybudowanie lepszych. Pan hrabia żądał, żeby poddani jak najwięcej pracowali dla niego, bogacił się, stawiał młyny, zakładał fabryki, ale chłopom w jego dobrach było źle. Był on bardzo niezadowolony, że Eustachy Bondarczuk pobierał nauki, mawiał bowiem, że po chamie nie można się nic dobrego spodziewać. Gdyby nie żona, nie byłby nigdy wysłał syna chłopskiego na uniwersytet do Berlina. Obecnie po śmierci żony chciał Eustachemu przypomnieć, że jest chłopem i jego poddanym, ale natrafił na niespodziewaną przeszkodę. Jego ukochana córka Michalina oświadczyła ojcu, że nie pozwoli Bondarczukowi wyrządzić żadnej przykrości, bo matka umierając poleciła go jej opiece. Młodzi panicze z arystokracji są bardzo nudni, więc ona się cieszy, że przyjedzie wykształcony syn chłopą, bo będzie jakiś inny. Pan hrabia był we wielkim kłopotcie, bo nie śmiał się córce sprzeciwić. Martwił się i drugą sprawą: oto przyrzekł nieboszczykowi bratu, że wyda córkę za jego

syna Alfreda. Obecnie wolałby, żeby się z nią ożenił jeden bogaty książę, który miał ochotę starać się o jej rękę.

Tymczasem doniósł Alfred, że wrócił z Berlina do swej wioski Skały i że wieczorem przybędzie do pałacu stryja. Gdy nadszedł wieczór, długo oczekiwano w salonie Alfreda i jego towarzysza; hrabia zaczął się już niecierpliwić, gdy zaturkotał powóz w dziedzińcu. Eustachy mimo nalegań Alfreda nie chciał wejść do pokoju bez pozwolenia hrabiego. Alfred więc wszedł sam, przywitał się ze stryjem i jego córką, a następnie oznajmił, że Eustachy czeka w przedpokoju. Hrabia nie chciał przyjąć w swoim salonie poddanego chłopca, ale Misia wybiegła do przedpokoju i wprowadziła młodzieńca, dodając mu odwagi wesołą rozmową. Hrabia popatrzył dumnie na kłaniającego mu się Eustachego i wyszedł na ganek. Pomiędzy młodymi zawiązała się rozmowa, gdy wtem nadjechali goście: jakiś hrabia ze synem. Pan domu kazał Bondarczuka przedstawić jako doktora Francuza, bo się wstydził, że z jego córką i bratankiem siedzi w salonie człowiek, którego on uważał za swego sługę. Eustachy wstydził się tego kłamstwa, ale nic nie mógł poradzić. Wreszcie tak się zmęczył tem całym przyjęciem, że się wymówił bólem głowy i wyszedł. Kiedy szedł do pokoju, w którym miał mieszkać, musiał minąć cały tłum parobków, gospodyń, praczek, kucharzy, woźniców, którzy go oczekiwali, rozmawiali o nim i trochę szydzili z niego. Młody doktor przywitał ich jak braci i łączył mu stanęły w oczach.

Oglądając pokój wyznaczony dla siebie, a następnie wybrał się na wieś do krewnych. Wstąpił do chaty, w której mieszkali dwaj jego stryjeczni bracia, siostra stryjeczna i babka. Starszy brat miał żonę i dziecko. Cała rodzina cisnęła się w ciasnej izdebce, do której często lała się woda deszczowa przez dach i powałę. Nadszedł i stary gospodarz Roman i wszyscy zaczęli skarżyć się na chłopską niedolę, na ciężką pracę swoją i surowość pana hrabiego oraz jego rządcy. Eustachy ukąsił chleba, napił się wody i słuchał ze smutkiem opowiadań i żalów krewniaków. Następnie poże-

gnał się z nimi serdecznie i wyszedł z chaty ze starszym bratem Fedkiem, który go jeszcze nocą zaprowadził na cmentarz na grób matki, gdzie młodzieniec gorąco się pomodlił. Gdy wrócił do dworu, oznajmił mu wąsaty rządcą w sposób grubijański, że ma następnego dnia jechać do jednej wsi hrabiego i tam zająć się szpitalem. Pan Alfred, który to słyszał, udał się mimo późnej pory do hrabiego i chciał złożyć opłatę za Bondarczuka, byleby go tylko zwolniono z poddaństwa. Gdy stryj nie chciał Eustachego uwolnić, Alfred oświadczył, że rano opusza dom stryja. Hrabia cieszył się w duszy, że się Alfred pogniewał i odjeżdża. W ten sposób będzie mógł z czystym sumieniem wydać córkę za księcia. W tę sprawę jednak wdała się Misia, która przyłączyła się do nalegań Alfreda o uwolnienie Bondarczuka. Hrabia dał się nakłonić, uwolnił Eustachego, ale, ponieważ z rozmowy dowiedział się, że Alfred jest także doktorem, a prócz tego nauczył się za granicą rymarstwa, oświadczył, że takiego bratanka znać nie chce, że mu nigdy swej córki nie odda za żonę. Następnego dnia rano oznajmiono hrabiemu, że odjechał Alfred z Eustachym, a także Misia wyjechała do ciotki.

Ciotka Michaliny, a siostra hrabiego, pani Krystyna, wdowa, mieszkała z córką, również wdową, w swoich dobrach, położonych w sąsiedztwie majątku Alfreda. Pani Krystyna była to osoba energiczna, lubiąca się kierować własną wolą, nie ulegać nikomu. Podobne usposobienie starała się wyrobić w Michalinie, co się jej też po części udało, bo córka często sprzeciwiała się woli ojca. Ciotka również zajęła się losem Eustachego Bondarczuka i gotowa była pomódz mu w razie potrzeby. Wkrótce jednak zarówno pan Alfred jak i pani Krystyna zaniepokoiili się bardzo, gdy zauważyli, że Misia chyba pokochała Eustachego, bo najchętniej z nim rozmawiała i cieszyła się z jego odwiedzin. Tak było istotnie; hrabianka, szukająca czegoś nowego, stykając się z pięknym, wykształconym i nieszczęśliwym Eustachym, zajęła się nim nie na żarty.

Eustachy powziął nagle postanowienie wyjazdu do



Warszawy, Alfred i ciotka chętnie się na to zgodzili, bo chcieli go usunąć od Misi. Hrabia, tęskniąc za córką, napisał po nią do siostry, ale hrabianka na razie nie miała ochoty wracać do ojca.

---

W jakiś czas potem na wzgórzu za wsią dwóch ludzi pracowało z wysiłkiem mimo deszczu i wichru nad ustawieniem krzyża. Byli to stryjeczni bracia Ostapa Bondarczuka: Fedko i Janko, którzy mieli nadzieję, że przez postawienie krzyża usuną zarazę, która w straszny sposób srożyła się we wsi. U nich w chacie umarła stara babka, żona Fedka z dzieckiem, a siostra Zoja leżała chora; w niektórych chatach wszyscy wymarli na cholere; wieś była pusta, jak niegdyś po wojnie. Ustawiwszy krzyż, wrócili dwaj bracia do chaty i obaj zapłakali, słysząc bolesne jęki siostry. Janko, który ją w chorobie pielęgnował, uczuł, że i jego chwyta zaraza. Stary Roman, wywozący trzy trumny ze zmarłymi na cmentarz, padł dotknięty cholera przed domem Bondarczuków. Wnuk jego ostatni zachorował także na zarazę. Fedko zmęczony i zbolały nie mógł sobie dać rady z czterema choremi osobami. Kilka chałup zaczęło się palić, nikt nie szedł ratować. W takiej chwili zjawił się we wsi Ostap Bondarczuk. Naprzód wezwał ludzi do gaszenia ognia i sam dotąd pracował, aż pożar stłumiono. Potem pospieszył do chaty swych krewnych; chorymi zajął się gorliwie, dał im lekarstwa, okrył ich ciepło, a następnie udał się do dworu, bo mu doniesiono, że pan zachorował na cholere. Nim przybyli Alfred i Michalina, hrabiemu nie groziło już żadne niebezpieczeństwo, tak dzielnie zabrał się Eustachy do leczenia. Zaledwie się przywitał z przyjacielem i hrabianką, pospieszył znowu na wieś. Roman z wnukiem pomarli, ale siostrę i brata udało mu się uratować.

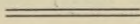
Gdy hrabia począł przychodzić do zdrowia, Bondarczuk nie pokazywał się w jego pokoju, żeby nie drażnić chorego, ale wieczorami w innym pokoju rozmawiał z Misią i Alfredem. Hrabianka tak wyraźnie okazywała swoją mi-

łość doktorowi, że obecni musieli to spostrzedz. Eustachy był bardzo smutny i udawał, że tej miłości nie widzi, choć w duszy kochał Michalinę do szaleństwa. Alfred rozmówił się szczerze z hrabianką, która z boleścią zgodziła się na to, żeby Eustachy wyjechał. Przed odjazdem chciała jeszcze raz zobaczyć młodego doktora i zapewniła go, że o nim nigdy nie zapomni.

Po dziesięciu latach Michalina wyszła za Alfreda, ale przed ślubem oświadczyła mu, że kocha Eustachego. Hrabia zgodził się chętnie na to małżeństwo, bo Alfred w tym czasie tak mądrze gospodarzył, że dorobił się znacznego majątku. Młode małżeństwo żyło cicho, spokojnie. Po jakimś czasie umarł pan hrabia, najadłszy się za dużo pasztetu. Michalina i Alfred uwolnili wkrótce krewnych Bondarczuka od poddaństwa i nadali im spory kawał gruntu.

Pewnego razu wybrali się Alfred i Michalina do Kamieńca Podolskiego i spędzili tam dni kilka, zachwycając się pamiątkami przeszłości. W powrocie wstąpili do znajomego dworu i tu zatrzymali się czas jakiś. Alfred wybrał się raz wieczorem w okolicę i przypadkiem dostał się do chaty, w której mieszkał Ostap Bondarczuk. Chatka była czysta i biała, zbudowana w bardzo pięknym miejscu, ocieniona dwoma starymi dębami. Otaczał ją ogródek, w którym były ule z pszczołami. Alfred przekonał się, że samotny doktor jest największym dobrodziejem całej okolicy: leczy, pociesza, radzi i pomaga wieśniakom. Wszyscy go też błogosławili. Eustachy, ubrany teraz po chłopsku, krzyknął z radości, gdy zobaczył przyjaciela w swej chatce; całą noc rozmawiali serdecznie, a nazajutrz pożegnali się ze łzami, gdy Alfred odchodził.

Dalsze losy Alfreda, Ostapa i Michaliny opisał Kraśzewski później w Hubinie w roku 1850. w powieści pod tytułem: *Faryna*.



## Jaryna.

Kraszewski poznał Podole, bo kilka razy tamtędy przejeżdżał.

Podole jest to piękny i bardzo urodzajny kraj, położony w kierunku południowo-wschodnim od Lwowa. Kraj ten dawniej należał do Polski; dzisiaj część Galicyi, położoną tuż przy zachodniej granicy kraju nazywamy Podolem, reszta Podola leży w granicach Rosyi. Na Podolu są t. zw. jary; są to zagłębienia, ciągnące się bardzo długo, ujęte w dwie wysokie ściany, pokryte bardzo bujną roślinnością: zbożami, drzewami i kwiatami. Środkiem takiego jaru płynie bardzo często rzeka.

Otóż w takim pięknym jarze podolskim stał mały ale czysty i miły domek i jeszcze mniejszy budynek gospodarski, ogrodzony płotem. Niedaleko domku rosły dęby, a pod jednym z nich siedział wieczorem mężczyzna o pięknej twarzy, z długą brodą, ubrany po chłopsku, ale bardzo czysto i dumiał o czemś głęboko. Był to Ostap Bondarczuk. Ścieżką, prowadzącą do chaty, nadeszła dziewczyna wiejska Jaryna. Jaryna była piękna prawdziwie: Twarz smagława rumieniła się żywo, oczy czarne paliły się, nosek prosty i kształtny nad ładnymi ustami malinowemi, z których w śmiechu ukazywały się ząbki bielutkie jak śnieg. Przychodziła ona z chaty rodziców, oddalonej blisko pół mili, aby wydoić krowy Bondarczukowi; chciała mu się w ten sposób wywdzięczyc za wyleczenie matki. Ostap chciał wytłumaczyć dziewczynie, że nie powinna przychodzić do jego domu, bo narazi siebie i jego na plotki, ale ona powiedziała, że nie dba o to, co mówią o niej. Wbiegła do stajni, wydoiła krowy, zaniosiła mleko do chaty, a potem wdała się jeszcze w krótką rozmowę z Bondarczukiem. Gdy jej zapytał, czemu za mąż nie idzie, odrzekła: »Bo niema drugiego Ostapa we wsi«.

Zaczął się domyślać, że dziewczyna go pokochała, lecz miłość ta napełniła mu duszę niepokojem. Jaryna była do-

brą i miłą dziewczyną, ale on kochał jedną tylko i o tej zapomnieć nie mógł. Następnego dnia Jaryna zjawiła się znowu i wyznała osamotnionemu doktorowi, że lubi słuchać, gdy on mówi, że pójdzie za nim, gdyby wioskę opuścił. Ostap nie mógł Jarynie obiecać, że się z nią ożeni, więc postanowił jej unikać.

Tego samego wieczora zjawił się w chacie Bondarczuka jego przyjaciel hrabia Alfred — ale w jakim stanie: postarzały, z twarzą wychudzoną, z resztką włosów na głowie, z oczyma zapadniętymi. Po serdecznem przywitaniu zaczął się skarżyć boleśnie na los i na siebie. Widział on, że Michalina kocha innego, że jego nie pokocha nigdy, choć jest żoną najlepszą. Gryzł się tem coraz mocniej, aż znienawidził ludzi i począł się na nich mścić za swoje cierpienia. Oburzył na siebie wszystkich; wreszcie zabił w pojedynku człowieka i musi właśnie uciekać za granicę. Eustachego błaga, żeby objął opiekę nad jego żoną i dzieckiem, oraz nad majątkiem, który w ostatnich latach Alfred zaniedbał i obdłużył przez złą gospodarkę. Eustachy przestraszył się nie na żarty. Jakżeż on może przyjąć opiekę na czas nieobecności męża nad kobietą, która go kocha, a którą on uwielbia. Przecież to jest niebezpieczne dla Alfreda. Alfred jednak oświadczył, że ufa przyjacielowi więcej niż sobie i dotąd nalegał, aż Eustachy zgodził się na przyjęcie opieki. Alfred uciekł za granicę.

Gdy wieczorem następnego dnia siedział Bondarczuk pod dębem na kamieniu i myślał o cierpieniach, które go czekają, nadeszła Jaryna. Widząc bladość i smutek Ostapa, zapytała z przestachem, czy nie chory. On jej odrzekł, że się smuci, bo musi opuścić ulubioną chatkę i piękną okolicę. Jaryna z rozpaczą przyznała się, że chyba umrze po jego wyjeździe. Wtedy Eustachemu przyszła nowa myśl do głowy: On się ożeni z Jaryną. Gdy Michalina się dowie, że chłopkę pojął za żonę, przestanie go kochać i będzie mniej nieszczęśliwa. Całe nieszczęście on weźmie na siebie. Gdy się zapytał Jaryny, czyby wyszła za niego, dziewczyna aż krzyknęła z radości. Posmutniała jednak, gdy się dowie-

działa, że Ostap zaraz po ślubie wyjedzie i niewiadomo, kiedy powróci.

Nazajutrz rano wybrał się do domu gospodarza Kuźmy, ojca Jaryny, aby go prosić o rękę córki. Kuźma i jego żona chętnie się zgodzili i ucieszyli się niezmiernie, że ich dziecko takie szczęście spotyka. Uparli się jednak oboje, żeby wedle zwyczaju zaprosić swatów, krewnych, przynieść wódki z karczmy i uroczyście poswatać Jarynę z Ostapem. Gdy się goście dobrze rozbawili, Bondarczuk pospieszył do domu, przebrał się w ubranie pańskie i wybrał się do pałacu, aby prosić dziedzica o pozwolenie na ożenek z Jaryną. Dziedzic, którego ojciec dopiero dorobił się majątku, grał rolę wielkiego pana. Lubił się popisywać pańskością, a przytem był skąpy. Gdy Ostap ofiarował pieniądze za uwolnienie z poddaństwa Jaryny i jej rodziców, dziedzic nie wiedział, jak postąpić. Wstyd go było brać pieniądze od człowieka, który kilka razy leczył za darmo jego, żonę i córkę, a z drugiej strony chciwość popychała go do żądania jak największego okupu. Wreszcie oświadczył Bondarczukowi, że uwolni poddanych za darmo, bo chciał pokazać, jaki to hojny pan z niego. Teraz już mógł Ostap żenić się z Jaryną, bo nie było żadnej przeszkody, ale jego to małżeństwo przestraszało.

Tego samego dnia odwiedził doktora stary żyd Hercyk, któremu ten wyleczył dawniej śmiertelnie chorego syna i nie chciał przyjąć zapłaty. Żyd z wdzięczności dla Ostapa gotów był wiele zrobić. Przepatrzył papiery, zostawione przez Alfreda i bardzo mądrze poradził Bondarczukowi, jak ma ratować majątek hrabiego. Pożyczył nawet znaczną sumę pieniężną, choć doktor z początku nie chciał jej przyjąć.

Wkrótce odbyło się wesele. Jeszcze się goście nie rozeszli, a Ostap już wybierał się w drogę. Jaryna w żaden sposób nie chciała puścić męża z domu, rzuciła się na ziemię i szlochała rozpaczliwie. Ostap bolał, ale musiał odjechać.

---

Gdy Bondarczuk przybył do Skały, majątku Alfreda, gdzie mieszkała Michalina ze synkiem Stasiem, przekonał się, że czekają go ogromne trudy. Sześć procesów, bank nieopłacony, zaległe podatki, służba oddawna niepłatna, mnóstwo długów, budynki zaniedbane, żadnego porządku.

Długo się wahał, nim wszedł do pokoju Michaliny, siedzącej przy śpiącym dziecku. Zaczął się zachowywać niezgrabnie jak chłop prosty, bo chciał wzbudzić odrazę do siebie w duszy hrabiny, ale kilka gorących słów, które się przybyłemu wyrwały mimowoli, przekonały żonę Alfreda, że Eustachy w niczem się nie zmienił, że ją kocha po dawnemu, a tylko udaje obojętność.

Po opuszczeniu pokoi hrabiny udał się do mieszkania rządcy, gdzie znajdowała się kancelarya. Pan Suseł rozgniewał się, że obcy człowiek, niedbale ubrany, bez opowiedzenia, śmiał wejść do jego kancelaryi, więc ostro przemówił do Eustachego. Ten oddał mu spokojnie list od Alfreda. Z listu dowiedział się rządcza, że ma natychmiast zarząd majątku oddać w ręce Eustachego Bondarczuka. Zmieszał się bardzo, próbował różnych sposobów, żeby się wykręcić od zdawania rachunków, ale doktor nie ustąpił, kazał zawołać ekonomów, pisarzy, rachmistrzów i oświadczył im, że on obejmuje zarząd majątku. Potem przy pomocy starego kasyera Jacka Polakiewicza, jednego z niewielu wiernych i uczciwych oficjalistów, opieczętował kancelaryę pomimo wyrzekania pana Susła i krzyków pani Susłowej. Następnie postawił wartę przed kancelaryą i wybrał się z panem Jackiem do miasta. Kasyer opowiedział mu po drodze, jak to pan rządcza we wszystkich wsiach i folwarkach osadził swoich krewniaków jako ekonomów, rachmistrzów, pisarzy, jak wszyscy kradli, a nic nie robili. Pierwszy złodziej to pan rządcza. W mieście w urzędach ma pan Suseł dużo znajomości, więc będzie z nim trudna sprawa.

Gdy Ostap stanął w mieście w kwaterze, zbiegli się wierzyciele hrabiego, wpadli z krzykiem i hałasem i chcieli zastraszyć Ostapa wołaniem o pieniądze. Jakież było ich zdziwienie, gdy Bondarczuk oświadczył im spokojnie, że

zaraz dzisiaj może im oddać ich pieniądze, ale z prawnym procentem. Bardzo im to było nie w smak, bo spodziewali się kupić za pół darmo wioski lub folwarki, gdy dobra hrabiego pójdą na licytację. Po rozmowie z wierzycielami wrócił Eustachy do Skąty, aby zdać sprawę hrabinie ze stanu majątku i uspokoić ją nieco, a Polakiewicz układał się dalej z innymi wierzycielami o drobniejsze długi.

W rozmowie z Michaliną nawet bez trudu nakłonił ją Ostap, aby swoje klejnoty i srebra pozwoliła sprzedać na spłacenie najpilniejszych długów, resztę będzie można spłacać ratami. Hrabina dziękowała gorąco doktorowi za jego poświęcenie, on udawał ciągle zimnego i obojętnego, a wreszcie wyznał, że się ożenił z chłopką. Michalinę wieść ta dotknęła boleśnie: więc człowiek, którego ona tyle lat kochała, zapomniał o niej dla prostej chłopki. Myśl ta nie dała jej zasnąć w nocy.

Wkrótce jednak z listu Ostapa, napisanego do Alfreda, przeczytanego przypadkiem przez nią, dowiedziała się, że Ostap ożenił się tylko dlatego, aby ją (Michalinę) wyleczyć z miłości ku sobie i zapewnić jej przez to więcej spokoju na przyszłość.

Był we dworze ekonom Kminkiewicz, który chłopom wyrządził tyle krzywd, że ich wreszcie doprowadził do rozpacz. Starzy i młodzi, oburzeni jego srogością, zebraли się przed dworem z siekierami, cepami i kosami i już zaczęli rąbać bramę, aby się dostać do środka i ubić Kminkiewicza, który skrył się gdzieś na strychu. Hrabina zemdłała z przerażenia. Dopiero Bondarczuk powagą swoją i mądrym słowem uspokoił rozjuszonych chłopów. Kminkiewicza obiecał odwiedzić do miasta i oddać go sądowi do ukarania za krzywdzenie biednych ludzi. Hrabina tak się przestraszyła tego napadu, że kazała przygotować powóz i wybrała się do swej rodzinnej wioski. Gdy się chłopci o tem dowiedzieli, zastąpili jej drogę i błagali, żeby nie odjeżdżała. Ona była dla nich dobra jak anioł, oni ją kochają, jej nie chcieli sprawić przykrości, tylko zemścić się na nieuczciwym ekonomie.

Gdy jeszcze Ostap wstawił się za proszącymi, hrabina kazała zawrócić konie i została w Skale.

Z wierzycielami wiele jeszcze miał kłopotu Eustachy, bo byli tacy, którzy żądali dwa razy więcej, niż się im należało, ale on nie dał się przstraszyć ani oszukać. Przy pomocy Polakiewicza poznał wszystkie interesy tak świetnie, że wierzyciele chwyтали się za głowy, gdy im zaczął przypominać, ile to wybrali zboża, drzewa, smoły za procenta. Widząc, że z tym człowiekiem nie wygrają, odebrali swoje i cofnęli skargi. Pan rządca Suseł żądał z początku 50 tysięcy, a potem rzekł się wszystkiego i prosił przez innych, żeby go Eustachy nie skarżył o zrujnowanie majątku hrabiego.

Tymczasem Jaryna tęskniła coraz gwałtowniej za Ostapem i nie mogła się go doczekać. Dotąd nalegała na ojca, aż ją zawiózł do krewnych Bondarczuka, a tam dowiedziała się, że mąż jej przebywa w Skale. Ojciec i córka wybrali się więc w dalszą drogę i zjawili się przed dworem brabiny, właśnie gdy Ostap rozmawiał na ganku z Michaliną. Jaryna z okrzykiem radości rzuciła się na szyję mężowi, hrabina zbladła jak płótno i patrzyła w ziemię, Ostap stracił głowę i nie wiedział co począć. Opamiętał się wreszcie, wziął Jarynę za rękę i zaprowadził ją i ojca do swego pokoju. Tutaj zganił surowo oboje, że nie czekali w domu, lecz bez jego pozwolenia przyjechali za nim. Kuźma przeproszał, jak umiał, Jaryna czyniła mężowi wyrzuty, że ją porzucił, że się jej wstydzi. Ostap chciał ojca i córkę odprawić z powrotem do domu, ale Jaryna w żaden sposób nie chciała Skąły opuścić. I została, a ojciec sam odjechał. Ostap czuł się bardzo nieszczęśliwy, Jaryny nie kochał, a ona patrzyła w niego jak w święty obraz. Oddychał nieco swobodniej, gdy wyjeżdżał na całe dni w różnych interesach. Michalina, która pojęła wielkie poświęcenie Bondarczuka i widziała jego mękę, postanowiła mu odwdziaczyć się w sposób następujący: W czasie nieobecności Eustachego zajęła się szczerze Jaryną, przez swoją dobroć zyskała jej serce, kształciła ją, aby kiedyś mąż jej mógł z nią być szczęśliwy. Gdy



Bondarczuk zobaczył hrabinę, rozmawiającą z Jaryną jak z przyjaciółką, łyzy mu w oczach zabłyśły i nie umiał jej podziękować za tyle dobroci.

Pewnego dnia nadszedł list ze Lwowa z wiadomością, że hrabia Alfred umarł, a opiekunem swej rodziny mianował Bondarczuka. Gdy Michalina się dowiedziała o śmierci męża, zachorowała ciężko i w gorączce zaczęła mówić o swej miłości do Eustachego, o jego ożenieniu się nieszczęśliwym i t. d. Jaryna, siedząc przy chorej, trochę zrozumiała, reszty się domyśliła i uczuła, że musi stąd uciekać, bo tutaj zawadza Ostapowi. Pieszko, o żebranym chlebie dostała się do domu, gdzie po dawnemu wyglądała męża. Wreszcie wrócił Bondarczuk, niosąc na rękach sierotę, syna Alfreda i Michaliny, która umarła po ciężkiej chorobie. W domu Kuźmy cieszyli się wszyscy, gdy się dowiedzieli, że Ostap na zawsze zostanie z nimi. Starał on się wynagrodzić Jarynie jej cierpienia i łyzy; dla syna przyjaciela był drugim ojcem, dla całej okolicy stał się największym dobrodziejem, bo leczył za darmo, pomagał i pocieszał. Uspokoił się po wielkim bólu, lecz nie był szczęśliwy. Ale któż jest szczęśliwy na ziemi.

---

W tych dwóch powieściach starał się Kraszewski przekonać czytelników, że nauka chłopca nie psuje, lecz owszem podnosi go, uszlachetnia i czyni pożytecznym. Autor wskazywał, że wśród ludu jest wiele zdolności, które należy wspierać, bo to się znakomicie opłaca. Ile to dobrego zrobił taki jeden Ostap Bondarczuk! Podobnych do niego wśród ludu znajdzie się bardzo wielu. Że w tym względzie Kraszewski miał słuszność, tego dowodzą dzisiejsi synowie chłopów, którzy kończą szkoły i zajmują potem wysokie stanowiska z wielkim pożytkiem dla społeczeństwa.

Kraszewski wyśmiewa starego hrabiego, który odpychał i lekceważył wykształconego Ostapa jedynie dlatego, że był jego poddanym. Autor pragnął, żeby szlachta starała się takich ludzi przygarnąć, jak to czynił Alfred.

Kraszewski twierdził, że chłopci nie są źli; jeżeli czasem popełniają występki, to czynią to z ciemnoty, nędzy i ucisku. Oksenia Hończara w *Ulanie* przywiódło do rozpacz i zbrodni postępowanie dziedzica, podobnie w *Farynie* chłopci chcą zamordować ekonoma Kminkiewicza, bo się pastwił nad nimi długie lata. Źli ekonomowie i rządcowie, źli panowie, jak stary hrabia, krzywdzili chłopów, bo chcieli się nagle zbożać ich pracą, ich własnością.

Kraszewski nie mógł jednak napisać, że wszyscy panowie są źli; owszem więcej było dobrych i zacnych, którzy się opiekowali chłopami po ojcowsku <sup>1)</sup>. Takim był np. Alfred, dokąd się sam zajmował gospodarstwem. Poznaliśmy znaną dziedziczkę w *Budniku*, poznaliśmy Michalinę, żonę Alfreda, którą chłopci kochali jak matkę. Ale ponieważ niektórzy dziedzice i ekonomowie uciskali swoich poddanych, więc Kraszewski wołał niejako swojemi powieściami do narodu: »Chłopom dzieje się krzywda, więc należy poprawić ich smutny los«. Widzimy więc, że Kraszewskiemu powinni być wdzięczni chłopci, bo on kochał ich po bratersku i dobijał się dla nich o lepszą przyszłość.

---

Do powieści ludowych zaliczamy także *Chatę za wsią*, napisaną w roku 1852. w Hubinie, którą radzimy każdemu przeczytać w całości, bo jest bardzo piękna i zajmująca. Opisuje tutaj Kraszewski, jak się pokochali cygan Tumry i Motruna, dziewczyna wiejska, jak się pobrali mimo oporu ojca i braci Motruny, jak ich prześladowała cała wieś, w której mieszkali. W końcu Tumry powiesił się z rozpacz, a w jakiś czas potem umarła Motruna, zostawiwszy 13-letnią córeczkę Marysię. Młodziutka dziewczyna była bardzo mądra, pracowita i gospodarna, więc potrafiła sobie dać radę po śmierci matki. Cała wieś nie mogła się wydziwić, jak

---

<sup>1)</sup> W powieści godnej czytania p. t. *Dziwadła* przedstawia Kraszewski dziedzica pana Grabę, który pracuje dla chłopów, buduje dla nich szkoły, szpitale, wspiera ich w nieszczęściu i t. d.

Marysia własną pracą i zręcznością dorabiała się wszystkiego. Wreszcie poznał ją Tomko, syn bogatego budnika,



Tumry i Motruna, scena z *Chaty za wsią*.  
(Rysunek Andriollego).

pokochał i pojął za żonę. W tej powieści przedstawia także Kraszewski w bardzo ciekawy sposób życie cyganów.

## 2) Powieści szlacheckie.

### Ostatni z Siekierzyńskich.

Rodzina Siekierzyńskich uważała się sama i w opinii sąsiadów uchodziła za najstarszą szlachtę. Wprawdzie Siekierzyńscy nie mogli tego udowodnić, bo w starych księgach nie zapisano ich herbu ani ich nazwiska, ale oni mimo to wierzyli święcie w swoją świetną przeszłość i szeroko opowiadali o swoim herbie. Rodzina to była dawniej majątna, z czasem zubożała i powoli chyliła się ku upadkowi.

Pan Longin Siekierzyński, skarbnikowicz czerski, był potomkiem tego wielkiego rodu. Mawiał on często, że każda wielkość upaść może, czemużby rodzina Siekierzyńskich losu wszystkich wielkości doznać nie miała. Pan Longin miał żonę Kunegundę z biednego ale starego rodu Pileckich.

Sąsiadem pana Longina był niejaki Wichuła; był to potomek rodu wcale niestarożytnego, a mimo to ośmielił się drwić z Siekierzyńskich i starał się na każdym kroku szkodzić im i dokuczać, bo drażniła go ich duma. Wskutek różnych niepowodzeń i nieszczęść stracili Siekierzyńscy majątek tak, że pozostała im tylko jedna wioska, Siekierzynkiem zwana. Ale i tej nie mogli utrzymać w całości. Pan Longin gospodarzył już tylko na małej części owej wioski, lecz nie mógł sobie dać rady z długami, za które wierzyciele mogli mu zabrać resztę ojcowizny. Pan skarbnikowicz spodziewał się jednak powiększyć swój majątek, po wygraniu procesu z Lędkimi. Proces ten ciągnął się już lat 100.

Dwór pana Longina stał najmniej od dwustu lat. Zapadły w ziemię, przygarbiony, podparty kołkami, służył jeszcze panom swoim, ale już ledwie się trzymał. Wewnątrz domu również czuć było niedostatek i ruinę. Wiatr jęczał po piecach i kominach, a za każdym krokiem podłogi skrzybiały i dom cały trząsał się ze starości. Kilka pokoi, ozdobionych portretami przodków, zajmował pan skarbnikowicz czerski, który oburzał się w myśli na sąsiada Wichułę, bo

ten nie chciał czy nie potrafił ocenić i uszanować wspaniałości tego dworu. Czasu miał dosyć pan Longin, żeby swoją dumę rodową pielęgnować i podnosić w sobie coraz wyżej, bo nie robił, tylko spędzał dni całe na rozmyślaniu o świetnej przeszłości swojej rodziny. Potrafił on wyrobić sobie pańskie ruchy i chodzić z powagą i godnością senatora. Żona jego, pani Kunegunda, uważała męża za jakąś wyższą istotę, a każdy jego uśmiech, ku niej skierowany, był dla niej największem szczęściem. Była ona nadzwyczajnie pracowita i gospodarna i długo ratowała dom przed nędzą, ciskając się do domu drzwiami i oknami. Wolałaby zgodę z niebezpiecznym Wichułą, ale za nic w świecie nie sprzeciwiła-by się woli męża.

Gdy państwu Longinom urodził się synek Tadeusz, postanowili ogromną radość swoją podzielić ze sąsiadami i godnie uczcić tak ważny wypadek w rodzinie. Więc w miesiąc potem cała okoliczna szlachta zjechała się na huczne chrzciny, które wypadły nienajgorzej, bo gospodarstwo ściągnęli się z ostatka, byle wstydu nie zrobić przodkom i sobie. Jedynek Tadeusz stał się teraz rozkoszą i przedmiotem troski całego domu. Pan Longin nie zabrał się jednak i teraz do pracy, aby zabezpieczyć przyszłość jedynakowi, tylko dumał i myślał po dawnemu, aż wymyślił. Postanowił rozpocząć na nowo proces z Łędkimi o znaczną sumę pieniędzy, która się od nich należała rodzinie Siekierzyńskich. Gdyby te pieniądze wygrał, uratowałby dom swój na zawsze od biedy. Pojechał więc do Lublina i poradził się adwokatów. Powiedzieli mu, że proces długo potrwa i niewiadomo, kto go wygra. Próbował więc zgody z Łędkimi i zażądał od nich dobrowolnego zwrotu przynajmniej jakiejś części kwoty, która mu się należała. Przeciwnicy wysmiali go, bo suma, której żądał, wydała im się za wielka. Zresztą wiedzieli, że Siekierzyński nie ma za co prowadzić procesu. On wniósł pozew do sądu i wrócił do domu.

Od tego czasu zaszła w zdrowiu jego niebezpieczna zmiana. Przywiązana żona i życzliwy przyjaciel proboszcz z niepokojem i smutkiem patrzyli na jego zaszępane oblicze,

na jego postać, coraz bardziej chudnącą i zgarbioną pod ciężarem cierpienia. Wreszcie zjawił się w ubogim dworku wezwany lekarz. Panu Longinowi powiedziała żona, że doktor ma zbadać synka Tadeuszka. Popatrzył on na pana skarbnikowicza, zapisał jakieś lekarstwa, powiedział pani Kunegundzie, że niema nadziei i odjechał. Lekarstwa na nic się nie zdały; wkrótce pan Longin przeniósł się do wieczności, pouczywszy przed śmiercią żonę, jak ma wychowywać syna, aby nie zapomniał o swej wysokiej godności szlacheckiej. Według jego woli mógł Tadeusz wstąpić do wojska, mógł się zajmować gospodarstwem, a w najgorszym razie zostać prawnikiem, byle tylko nie chwycił się innego zatrudnienia, któreby mogło splamić rodzinę Siekierzyńskich.

Uroczyście odbył się obrzęd pogrzebowy, któremu przypatrywał się Wichuła z szyderstwem, stojąc we wrotach swojej zagrody. Gdy orszak żałobny przechodził koło złego sąsiada, wskutek ruchu wozu uchyliło się wieko trumny i ukazała się biała ręka nieboszczyka, jakby grożąc przeciwnikowi. Wichuła przeraził się tak bardzo, że zachorował i umarł w kilka dni potem.

Przyjaciel domu Siekierzyńskich zacny pan Kornikowski, stolnik mirski, zbadał położenie majątkowe nieszczęśliwej wdowy i przekonał się, że cały majątek ledwie wystarczy na spłacenie długów. Brat zmarłego Wichuły, który spłacił umyślnie wszystkie długi Siekierzyńskich, miał wkrótce zostać właścicielem ich majątku i groził, że wyrzuci z dworku bez litości matkę z dzieckiem. Należało więc wynieść się zawczasu z domu w Siekierzynku i zamieszkać w Lublinie, gdzie Siekierzyńscy mieli stary domek z ogrodem.

Wybrano się w drogę; pani Kunegundzie i jej synkowi towarzyszyli dawny stangret Maciej i stara sługa Dorota, oboje bardzo przywiązani do rodziny. W podróży trzeba było wycierpieć niemało. W Lublinie było mieszkanie, ale nie było z czego żyć. Pani Kunegunda starała się tylko spełnić wolę męża i wpoić w Tadeuszka szlacheckie zasady, zresztą od śmierci męża niczem innem zajmować się nie

mogła. Ale od czegoż wierni służy? Dorota postanowiła uprawić ogródek, sadzić warzywa i sprzedawać je w mieście. Wkrótce wyrobiła się na dobrą przekupkę. Stary Maciej handlował tabaką własnego wyrobu.

W otoczeniu poczciwych sług cicho płynęło życie wdowy, oddanej całkowicie wychowaniu syna. Od dzieciństwa matka budziła w nim dumę szlachecką, prawiła mu o wielkości i starożytności rodu Siekierzyńskich, jak jej to nieboszczyk mąż przykazał. Była ona pewna, że, skoro Tadeusz podrośnie, a świat się dowie o nim, zbiegną się wszyscy z pomocą, bo to zaszczyt pomagać synowi tak znakomitej rodziny. Młody Siekierzyński poznał wkrótce dokładnie historię swoich przodków i rósł pod opieką matki oraz księży Jezuitów, u których pobierał naukę. Pod wpływem matki nabrał on wielkiej dumy i pysznił się swoim pochodzeniem. Przyszłość syna była nieustanną troską matki tem bardziej, że starość zbliżała się ku niej szybkimi krokami. Na prośbę pani Kunegundy rozmówił się pan Kornikowski z rodziną Łędzkich, którzy ofiarowali Siekierzyńskim 3 tysiące złotych, a ci zrzekli się procesu na zawsze. Mała ta sumka była przecież wielką pomocą dla biednej wdowy i jej syna.

Wśród takich warunków doszedł Tadeuszek do lat 20 i wyrósł na młodzieńca przystojnego ale wątłego, dobrego ale skrytego. Dorota i Maciej żalili się nieraz między sobą, że z paniczem nie można było pogwarzyć. Tymczasem zdrowie matki, nadwerężone kłopotami i cierpieniami, zaczęło się psuć do reszty i pewnego dnia lament i płacz rozległ się w domku Siekierzyńskich: Dorota i Maciej płakali po śmierci pani Kunegundy. Boleść Tadeusza była cicha ale głęboka, bo nawet na twarzy młodzieńca widać było ślady cierpienia.

Wkrótce po pogrzebie matki zażądał młody Siekierzyński od pana Kornikowskiego odesłania mu owej sumy 3 tysięcy złotych, ale nie donosił, na co ją myśli obrócić. Od tego czasu mało bywał w domu, częściej robił wycieczki poza miasto i rozmyślał o swoim położeniu, które było dosyć ciężkie. Na jednej z takich przechadzek spotkał ru-

mianego, dostatnio odzianego mężczyznę. Zawiązała się między nimi rozmowa; zrazu mówili o rzeczach obojętnych, ale przy drugiem spotkaniu staruszek tak się rozgadał, że opowiedział Tadeuszowi historję całego swojego życia.

Na imię mu było Michał; był synem przekupki z Lublina. W dzieciństwie cierpiał nieraz głód i zimno, a mieszkał z matką w nędznej izdebce w suterenach. Jeszcze był dzieckiem, gdy już zaczął handlować naprzód jarzynami, a potem różnemi drobnostkami: zabawkami dziecinnemi, szpilekami, tasiemkami, igłami. A że był uczciwy, wesoło witał kupujących, szło mu wszystko bardzo dobrze; założył sobie sklepik, potem go rozszerzył i powoli dorobił się znacznego majątku. Kupił sobie kamienicę i został wybrany rajcą miasta Lublina. Ludzie go szanowali, bo nikogo nie skrzywdził, a niejednemu dopomógł. Zakończył opowiadanie zdaniem, że każdy da sobie radę w życiu, byleby tylko zechciał pracować.

Słowa te dobrze sobie Tadeusz zapamiętał i długo nad niemi rozmyślał. Widać, że coś postanowił, bo od tego czasu zaczął prowadzić dziwny tryb życia. Stał się jeszcze bardziej milczącym i skrytym, wczesnym rankiem wydalał się z domu, a wracał aż późnym wieczorem. Wielka była ciekawość wierznych służących, co też młody pan robi całymi dniami. Szpiegowali go oboje, ale niczego nie mogli dojść. Tadeusz wchodził do jednej kamienicy, ale tutaj nie można się było niczego o nim dowiedzieć. W kamienicy tej właśnie w tym czasie powstał nowy sklep jakiegoś Falkowicza, który miał głowę owiązaną chustkami, bo był jakiś chory. Do kupujących prawie nic nie mówił, ale miał dobry towar, ważył uczciwie, więc ludzie u niego chętnie kupowali, a między innymi i Dorota. Raz zdało się starej słudze, że Falkowicz przemówił głosem bardzo podobnym do głosu Tadeusza, ale nawet nie śmiała pomyśleć, żeby ten stary, chorowity kupiec mógł być panem Siekierzyńskim.

W jakiś czas przyjechał do cichego dworku pan Kornikowski, bo chciał się dowiedzieć, co się dzieje z Tadeuszkiem. Od sług dowiedział się o tem, że panicza całymi



dniami niema w domu, a Dorota opowiedziała panu stolnikowi o owym Falkowiczu i o swoim przypuszczeniu, czy to nie pan Tadeusz. Pan Kornikowski przeraził się nie na żarty. Jakto, Siekierzyński, potomek hetmanów i kasztelanów, sprzedaje pieprz, cukier i rodzynki. To mu się wydało niemożliwe. Wybrał się do sklepu Falkowicza. Kupiec zmieształ się na jego widok, ale rychło się uspokoił i sprzedawał dalej towary, milcząc uparcie. Ludzie sądzili, że mówić mu trudno z powodu jakiegoś bólu twarzy. Kiedy pan Kornikowski wychodził, usłyszał kilka słów, wymówionych przez kupca. Zadrżał, to chyba był głos Tadeusza, a i twarzy dojrzał nieco pod chustką; wydała mu się znajoma. Nie mógł jednak nic mówić, bo nie był pewny. Po namyśle postanowił rozmówić się z Tadeuszem, gdy wróci wieczorem do domu. Młodzieniec, gdy usłyszał, o co go stary opiekun posądza, oburzył się gwałtownie i wyparł się wszystkiego. Dnie całe spędza, jak mówił, na rozmowach naukowych z ojcem Ksawerym jezuitą. Ale ojciec Ksawery, zapytany następnego dnia przez pana Kornikowskiego o Tadeusza, oświadczył, że go od trzech lat nie widział, a pragnąłby go zobaczyć, bo go obchodzi los młodzieńca. Poczciwy szlachcic nie wiedział, co o tem wszystkim myśleć. Pojechał jeszcze raz do sklepu Falkowicza. Kupiec jak zwykle siedział za ladą obwiązany chustkami, odezwał się nawet, ale głos jego był jakiś zmieniony i wcale nie przypominał Siekierzyńskiego. Pan stolnik polecił wreszcie wszystko Bogu i odjechał do domu, gdzie odchorował to całe zmartwienie o Tadeusza.

---

Od tego czasu upłynęło lat dziesięć. Poczciwy Maciej umarł. Znikła tablica z nazwiskiem Falkowicza, która wisiała nad drzwiami jego sklepu. Sklep objął inny właściciel. Ludzie żałowali dawnego kupca, który podobno wyjechał na wieś i umarł. Dorota dziwiła się znowu nowej zmianie w życiu Tadeusza. Całymi dniami przebywał teraz w domu i obiecywał Dorocie, że wkrótce wyjadą na wieś. Potajemnie

zachodził do pana Michała, owego rajcy miejskiego, który miał piękną córkę Ludwisię. Panienska podobała się bardzo Siekierzyńskiemu, ale jako szlachcic nie chciał się żenić z córką mieszczanina. Podziękował starszszkowi za dobrą radę i dał mu do poznania, że ożeni się z Ludwisią, jeżeli rodzina jego na to się zgodzi. Myślał jednak inaczej.

W kilka dni po tej rozmowie opuścił Tadeusz Lublin i niespodziewanie zjawił się u pana stolnika Kornikowskiego. Ten ucieszył się jego przybyciem, ale posądzał ciągle Tadeusza, że dawniej pieprz sprzedawał i myśl ta nie dawała mu spokoju. Młody Siekierzyński tłumaczył mu, że w Lublinie uczył się w ukryciu prawa, że przyniosło mu to wielką korzyść, bo wznowił proces z Lędzkimi i wygrał 20 tysięcy talarów. Teraz zabierze się do procesu z Wichułami, którzy zagarnęli po śmierci ojca majątek Siekierzyńskich. Pan Kornikowski nie bardzo wierzył zapewnieniom Tadeusza, ciągle się obawiał, żeby nie wyszło na jaw, że Siekierzyński, szlachcic z dziada i pradziada, był kupcem. Co do sprawy z Wichułami radził mu próbować ugody, a do procesu przystąpić dopiero wtedy, gdy dobrowolnie nie oddadzą zagarniętego majątku.

Niełatwa to była rzecz dojść do zgody z młodym panem Ksawerym Wichułą, synem owego Wichuły, prześladowcy nieboszczyka Siekierzyńskiego. Był to hulaka i zawadyaka, przed którym drżała cała okolica. Nie uląkł się go jednak pan Tadeusz, lecz pojechał do Siekierzynka, aby go nakłonić do zgody. Chciał zapłacić wszystkie długi po ojcu i odebrać majątek Siekierzyńskich. Pan Ksawery odpowiedział mu szyderstwem i łajaniem; byłby się może porwał do bicia, ale szlachcic choćby najgorszy na gościa we własnym domu nie śmiał napadać. Wichuła udał się do znajomego prawnika, który był tego zdania, że Siekierzyński w procesie odzyska majątek, jeżeli spłaci długi. Pan Ksawery choć wielki śmiałek przestraszył się nieco; postanowił napaść Siekierzyńskiego, porąbać go szablą, a przynajmniej tak nastraszyć, żeby odstąpił od procesu.

Wkrótce nadarzyła się sposobność do bitki, bo, jadąc

do miasta, spotkał się pod karczmą z Siekierzyńskim. Wichuła chciał chwycić Tadeusza za kołnierz, ale ten odskoczył i dobył szabli. Przyszło do pojedynku: z jednej strony pan Ksawery, chłop ogromny i barczysty, z drugiej strony Tadeusz szczupły, niskiego wzrostu, z cienką szabelką. Wichuła krzyczał i machał szablą jak cepem, Siekierzyński bił się spokojnie i ciężko poranił w głowę zawadykę, który upadł na ziemię zemdlony. Obecni zaczęli ratować rannego, a Tadeusz spokojnie pojechał dalej. Wieść o pojedynku szeroko się rozniosła po okolicy i doszła do pana stolnika, który się nie mógł wydziwić dzielności Siekierzyńskiego. Był pewien, że to krew szlachecka odezwała się w młodzieńcu, ale mimo tego wspomnienie sklepu i pieprzu nie dawało mu spokoju.

Tadeusz uwijał się po miasteczku i szukał zręcznego prawnika, któryby się podjął prowadzić jego proces. Było prawników kilku, ale wszyscy bali się Wichuły. Znalazł się wreszcie niejaki Pencerzyński, który za bardzo wysokiem wynagrodzeniem podjął się odzyskać Siekierzynek. Dodał on Tadeuszowi czterech najętych szlachciców, którzy go mieli bronić przed napaścią ze strony Wichułów.

Razu pewnego jechał Siekierzyński do miasta w towarzystwie jednego z tych obrońców i zatrzymał się na popas w karczmie. Napadło ich kilku ludzi pod wodzą Wichuły, poranili Tadeusza i byliby go zarabali na śmierć, bo towarzysz uciekł ze strachu, gdyby nie nadjechali z pomocą trzech inni obrońcy, którzy ocalili młodzieńca. Wichuła i jego kompania ukryli się w karczmie, którą podpálili przeciwnicy i chcieli usmażyć w ogniu napastników. Ci cudem tylko uszli śmierci. Rany Tadeusza nie były ciężkie, więc też prędko z nich się wyleczył, a teraz procesował się z Wichułami nie tylko o majątek, ale także o napad i gwałt. Przeciwnicy widząc, że Tadeusz procesy wygrywa, a im grozi kryminał, prosili Siekierzyńskiego o zgodę. Tadeusz odzyskał swój majątek, zmusił Wichułów do odsprzedania mu swojej części tak, że wkrótce stał się właścicielem całego Siekierzyńka.

Odwiedził go tutaj pan stolnik i namówił do żeniaczki. Upatrzył on w sąsiedztwie dla Tadeusza pannę kasztelanę, sierotę, przebywającą na dworze stryja wojewody. Była to panna nie pierwszej młodości, nieładna, ale bardzo dumna. Gdy Kornikowski poprosił stryja wojewodę o jej rękę dla Siekierzyńskiego, ten dał mu szyderską odprawę. Tadeusz w czasie tych zabiegów stolnika wzdychał ciężko; jakieś wspomnienie go dręczyło. Domyślamy się, że było to wspomnienie pięknej Ludwisi, córki rajcy Michała.

Mieszkała w okolicy pani Tarłowa, uboga wdowa, z trzema pięknymi córkami. Rodzina była szlachecka i stara, choć zubożała. Kornikowski radził Tadeuszowi pojąć jedną z Tarłowien za żonę. Bez wielkiej ochoty pojechał Tadeusz do białego i czystego domku owej wdowy, aby prosić o rękę którejś z córek. Najstarsza już komu innemu oddała swe serce, a druga dała Siekierzyńskiemu do poznania, że za niego nie wyjdzie. Potem swatał stolnik Tadeuszowi jakąś Ossolińską, ale i tam nie było szczęścia.

Wreszcie stolnikowi powiodło się szczęśliwiej. Miał on starego przyjaciela, który po całych dniach ucztował i zapijał się z gośćmi; towarzyszy ściągał z całej okolicy. Otóż córka pana Marzyckiego, osoba miła i rozsądna, godziła się wyjść za Siekierzyńskiego. Odbyły się zaręczyny. Stolnik widząc, jak się wszystko pięknie układa, odmłodniał; twarz mu się śmiała, oczy jaśniały i pił z radości jak nigdy. Pysznił się z tego, że za jego sprawą ród Siekierzyńskich nie zginie. Nadszedł dzień wesela. Zjechała się szlachta okoliczna, nie brakło i dygnitarzy. Państwo młodzi pięknie wystrojeni, mieli już iść do ołtarza, gdy drzwi otwarły się z trzaskiem i wpadł Wichuła. Oznajmił on zebranym, że Tadeusz Siekierzyński był kupcem w Lublinie i sprzedawał w swoim sklepie towary pod przybranem nazwiskiem Falkowicza. Wiadomość ta wywarła na zebranych piorunujące wrażenie; już nie było mowy o ślubie; kupiec-mieszczanin nie mógł zostać mężem panny Klary, szlachcianki.

Pieszno w weselnym stroju dowlókł się Tadeusz do domku swojego w Lublinie, gdzie zachorował śmiertelnie.

W kilka dni potem przybył wezwany tutaj pan stolnik, aby być świadkiem śmierci ostatniego z Siekierzyńskich.

Szlachta polska miała wielkie zalety i wielkie wady. W kilku powieściach chwali Kraszewski szlachtę zwłaszcza uboższą i średnio zamożną za jej przywiązanie do wiary, do ziemi i starych zwyczajów narodowych, za jej cnoty rodzinne<sup>1)</sup>, a natomiast w *Ostatnim z Siekierzyńskich*<sup>2)</sup> wyśmiewa jej wady, aby ją z nich poprawić. Szlachta polska nie umiała żyć w zgodzie, lecz skłonna była do kłótni i procesów, na które traciła całe majątki. W rodzie Siekierzyńskich był proces, który trwał od niepamiętnych czasów, nadto pan Longin procesował się z Wichułą, a potem procesowali się ich synowie. Takiego pieniacstwa czyli włóczenia się po sądach było wśród szlachty bardzo wiele. Kraszewski maluje dosadnie w swej powieści, jaka to jest wada śmieszna i szkodliwa. Autor nie przypuszczał, że pod tym względem treść jego powieści da się zastosować do chłopów w naszych czasach.

Lekkomyślność pana Longina i nietroszczenie się o jutro godne jest także nagany. Polak bardzo często mawia: »jakoś to będzie« i próżnuje, zamiast pracą i zapobiegliwością zapewnić spokojną przyszłość sobie i rodzinie. Autor wyśmiewa także głupią dumę szlachty, która uważała się za coś lepszego od mieszczan i chłopów, jakby wszyscy ludzie nie byli sobie równi. My dzisiaj szanujemy ludzi za ich cnoty, a nie za ich pochodzenie. Szlachta była najmocniej przekonana, że zajmowanie się handlem, przemysłem i rzemiosłem przynosi hańbę szlachcicowi, a przecież każda uczciwa praca zasługuje na szacunek, próżniactwa tylko wstydzić się należy. Właściwie wady, wytykane przez Kraszewskiego dawnej szlachcie, wspólne są dzisiaj wszystkim Polakom, dlatego terażniejsze pokolenia wiele się z tej po-

<sup>1)</sup> Np. w powieściach wielkiej wartości: *Boża cseladka*, *Dwa światy*.

<sup>2)</sup> W Hubinie 1850. r.

wieści mogą nauczyć. Autor zachęca nas, abyśmy się pozbyli wynoszenia się nad drugich, lekkomyślności, bezradności, lenistwa i fałszywego wstydu.

Życie wielkich panów czyli arystokracji opisuje Kraśzewski w powieści: *Morituri*, to jest: *Ludzie mający wymrzeć*. Powieść ta powstała w roku 1872. w Dreźnie.

---

---

## Morituri.

### I.

Na przedmieściu miasta Lublina, wznosił się przed laty dom murowany, zwany Firlejowszczyzną, bo niegdyś był własnością możnego rodu Firlejów. Dom ten, który stał kilkaset lat, był w stanie zupełnej ruiny. Sąsiedzi żydzi dziwili się, jak tam człowiek mieszkać może. Mieszkał bowiem w tej starej ruderze jakiś stary i niepozorny człeczyzna, niewiadomego pochodzenia, prawdziwa zagadka dla ciekawych sąsiadów. Nazywał się Leon Zembrzyński; mówiono, że służył dawniej w możnym domu książąt Brańskich. Uchodził za bardzo bogatego; posądzano go, że trudni się lichwą. Usługiwała mu stara baba Stroczycha. Z nikim on nie żył, nikt go nie odwiedzał; to też wielkie zdziwienie i zaciekawienie ogarnęło sąsiadów Firlejowszczyzny, gdy jakiś pan starannie ubrany począł się dopytywać o Zembrzyńskiego. Sąsiedzi wskazali mieszkanie samotnika. Przybyły był to młody, lecz zdolny adwokat, nazwiskiem Hartknoch, któremu Zembrzyński powierzył prowadzenie swoich interesów. Dziwne to były interesa. Poznajemy je częściowo z rozmowy Zembrzyńskiego z panem mecenasem Hartknochem, który wszedł do nędznej izby starego dziwaka. Zembrzyński pragnął zguby książąt Brańskich, swoich dawnych chlebodawców; za pośrednictwem adwokata pod różnemi przybranemi nazwiskami pożyczzał im pieniądze, wykupywał

ich weksle, bo chciał nabyć ich obdłużone dobra i wypędzić ich z pałacu. Nie czynił tego z chciwości, lecz ze zemsty. Adwokat oznajmił, że jeszcze sto tysięcy należy pożyczyc Brańskim, a potem procenta nieopłacone ich dojedzą. Stary Zembrzyński zatarł ręce, kocie oczy mu błysnęły. Dochodził do upragnionego celu. Sto tysięcy dawał chętnie. Obawiał się tylko, żeby się książę Robert nie ożenił i nie wyratował rodziny z nędzy.

Następnego dnia Hartknoch przybył do Brańska. Było to nędzne, ubogie miasteczko, za to pałac książąt Brańskich, wznoszący się w niewielkiem oddaleniu od miasta, wyglądał wspaniale. Adwokat udał się do plenipotenty czyli pełnomocnika, zarządzającego całym majątkiem książąt. Był to mężczyzna niemłody, słuszny, z pańska wyglądający, jakiś daleki krewny swoich panów. Nazywał się Maurycy Gozdowa Gozdowski. Swobodny uśmiech na jego twarzy wskazywał, że pan plenipotent nie zdawał sobie dobrze sprawy z fatalnego położenia majątku, którym rządził. Pożyczkę przyjął z wielką radością, bo na gwałt potrzebował pieniędzy na zapłacenie jakiegoś pilnego długu. O przyszłość nie bardzo się obawiał, bo miał nadzieję, że albo książę Robert ożeni się bogato, albo znajdzie się jakiś inny sposób ratunku dla Brańskich. Tacy wielcy panowie nie mogą przecież upaść i żyć w nędzy.

Gozdowski z grzeczności zaprosił Hartknocha do pałacu na kolację. Tutaj poznał całą rodzinę książęcą. Głową domu był książę Norbert, niegdyś szambelan jego królewskiej mości, dzisiaj starzec ośmdziesięcioletni, wdowiec. W każdym jego ruchu, w każdym spojrzeniu, w każdym słowie czuć było wielkiego pana. Na jego pięknej twarzy malowała się pogoda umysłu i duma. Średni brat, książę Hugo, był dawniej generałem rycerskiego zakonu kawalerów maltańskich, na starość zamieszkał w domu pana szambelana. Najmłodszy z braci był biskupem-sufraganem w pobliżkiem miasteczku. Był on nieco ułomny i bardzo chorowity, a słynął z dobroci i pracowitości. Ażeby utrzymać niepodzielność dóbr, zrzekli się młodszy bracia całego ma-

jątku na rzecz księcia Norberta. Nadzieją i chlubą rodziny był książę Robert, czterdziestoletni syn szambelana, piękny i młodo wyglądający, ale jakoś dziwnie znużony życiem i obojętny na wszystko. Wreszcie księżniczka Stella, słusznego wzrostu, kształtna, czarującej piękności, z którą łączyła dobroć i słodycz. Do stołu prócz książąt zasiadali oficjaliści, jak Gozdowski, Grzegorz Żurba, dzierżawca części dóbr książęcych, panna Antonina i Zenon, jego dzieci, ksiądz kapelan Serafin, leśniczy Wincentowicz i wiele innych osób. Książęta przywitali Hartknocha grzecznie ale z góry. Przy kolacyi rozmawiano o polowaniu. Adwokat, choć człowiek światowy, czuł się dziwnie nieśmiałym w tem towarzystwie. Przez cały wieczór spoglądał na zadumaną księżniczkę Stellę; tak pięknej twarzy nie widział nigdy w życiu.

Książęta prowadzili życie ciche i spokojne, a jednak było ono wystawne i kosztowne. Książę Norbert czuwał nad tem, żeby wszystko było po pańsku, bo tego wymagała godność rodu Brańskich. Dom więc roił się od sług i lokajów, błyszczał od złota i srebra, a wszystko to za pożyczane pieniądze. Szambelan nie przypuszczał nawet, że dobra jego nie starczyłyby na zapłacenie długów, bo cała rodzina tała przed nim fatalny stan majątkowy, nie chcąc martwić czcigodnego starca. Księżniczka Stella również nic nie wiedziała o zbliżającej się ruinie. Książę Norbert od kilkunastu lat zdał rządy majątku na syna Roberta, który znowu wyręczał się Gozdowskim, bo sam nie miał ochoty ani energii do prowadzenia interesów.

Młody Zenon Żurba, syn owego Żurby, dzierżawcy majątku książęcego, ukończony prawnik, był gorąco przywiązany do rodziny książąt Brańskich. Przywiązanie i szacunek dla tego rodu wpoił w niego ojciec, który uważał książąt za dobrodziejów, bo na dzierżawie ich dorobił się majątku, bo im zawdzięczał świetne wychowanie swej córki Antoniny, towarzyszkii Stelli, oni też pomogli mu do wykształcenia syna. Właściwie stary Żurba dorobił się majątku swoją pracą i oszczędnością. Część zapracowanych pieniędzy pożyczyl



już Gozdowskiemu dla ratowania książąt, a i resztę gotów był oddać w każdej chwili.

Otóż młody pan Zenon znał może najdokładniej fatalne położenie majątkowe książęcej rodziny i pragnął ją ratować. Ale jak? Następnego dnia po wyjeździe Hartknocha udał się do księcia Hugona, aby mu przedstawić grożące niebezpieczeństwo i wezwać go do obmyślenia jakiegoś ratunku. Książę Hugon w młodości wychowywał się na rycerza, jako kawaler maltański walczył w różnych bitwach, dokąd mu sił starczyło. Za zrzeczenie się majątku miał otrzymywać od księcia szambelana pensję, której mu jednak wcale nie wypłacano. Nie chciał się więc mieszać w sprawy majątkowe, żeby go nie posądzano, że dopomina się o swoją pensję. Książę generał przestraszył się wprawdzie groźnym stanem majątkowym rodziny, ale zaradzić złemu nie umiał. Nie radził ograniczać się w wydatkach, boby ich okrzyknięto bankrutami. Księcia Roberta nie chciał namawiać do małżeństwa, bo szanował jego dawną miłość i ból, jaki w nim po niej pozostał. W możliwość upadku książąt Brańskich książę Hugon nie wierzył. Sama opatrność nie mogłaby tego dopuścić. Jakżeby wyglądał świat bez wielkich panów, którzy są przecież opiekunami i doradcami warstw niższych. Takie zapatrywania nie mogły oczywiście uspokoić Zenona. Tymczasem skądinąd zdawał się nadchodzić ratunek.

O mil dziesięć od Brańska w małym miasteczku mieszkał ksiądz sufragan. Ten cichy, skromny człowiek nie tylko zrzekł się całkiem majątku, ale także wszystkie swoje dochody oddawał rodzinie. Tego wszystkiego jednak było za mało. Pewnego dnia przybył do tego miasteczka dawny przyjaciel i daleki krewny książąt, hrabia Mościński, ojciec ukochanej jedynaczki Alfonsyny, który na Podolu dorobił się wielkiego majątku. Hrabia odwiedził natychmiast księdza biskupa, okazując mu wielką cześć i przywiązanie. Zjawienie się Mościńskiego uważał ksiądz sufragan za zrządzenie boże. Alfonsyna powinna zostać żoną księcia Roberta, a majątek hrabiego uratuje rodzinę od ruiny. Drugiego dnia był odpust w miasteczku, na który zjechało się wiele osób z oko-

licy, a między niemi ksiązę generał. Po naradzie z biskupem udał się Hugon do hrabiego Mościńskiego, aby go zaprosić z córką na kilka dni do Brańska. Najwięcej szło o zgodę hrabianki Alfonsyny. Była to panna rozpieszczona, kapryśna, nieładna, a strojąca się przesadnie. Jej towarzyszką była Angielka pani Burglife, która wielki na nią wpływ wywierała. Generał umiał zręcznie nakłonić obie do odwiedzenia książąt w Brańsku.

W pałacu pod dozorem samego księcia szambelana służba czyniła przygotowania na przyjęcie gości. Uroczą Stella i panna Antonina zajęły się ze zapałem przystrojeniem zamku. Tymczasem ksiązę Robert siedział w swoim pokoju i godzinami wpatrywał się w portret ukochanej kobiety. Teraz będzie się musiał wyrzec nawet tych wspomnień; to było dla niego zbyt bolesne. Lecz przekonany przez Zenona, że w nim cała nadzieja ocalenia rodziny, postanowił zrobić z siebie ofiarę i ożenić się z córką dorobkiewicza, jeżeli ta go zechce. On jeden w całej rodzinie nie wierzył w to, żeby opatrność więcej troszczyła się o arystokrację niż o innych ludzi.

Wreszcie oczekiwani goście przybyli. Szambelan powitał hrabiego bardzo czule; hrabianka, ubrana bogato ale niesmacznie, nie mogła się spodobać Robertowi. Mimo to starał się do niej zbliżyć i być dla niej uprzedająco grzecznym. Pobyt hrabiego i córki trwał kilka dni. Przez ten czas Robert wiele wycierpiał, bo musiał ubiegać się o względy panny, której nie kochał wcale. Hrabianka ożywiła się i rozbawiła w towarzystwie Roberta, który ją zachwycał swoją pięknnością i elegancją. Towarzyszka jej pani Burglife chwaliła rodzinę Brańskich i starała się zbliżyć młodych do siebie. Panna Alfonsyna nie była zdolna do prawdziwej i głębokiej miłości, ale zajęła się Robertem od pierwszej chwili i byłaby bardzo zadowolona, gdyby wyszła za księcia. Hrabia zacierał ręce z radości, bo uważał Brańskich za panów bardzo bogatych, a nie domyślał się wcale ich ruiny. Gdy goście wyjeżdżali do Warszawy, towarzyszył im ksiązę Robert, otrzymawszy na odjezdnem uroczyste błogosławieństwo

od ojca. Pan szambelan godził się na małżeństwo Roberta z Alfonsyną, chociaż dla syna swego marzył o lepszym losie. O tem wszystkiem doniósł Zembrzyńskiemu zaufany szpieg, którego miał w Brańsku.

We Warszawie wzięli wszyscy księcia Brańskiego na języki, bo się domyślali, że się żeni z niemłą i nieładną córką dorobkiewicza tylko dla majątku. Wielką uciechę sprawiło plotkarzom i plotkarkom następujące wydarzenie: Książę Robert był w teatrze na przedstawieniu z hrabią i hrabianką i siedzieli razem w łoży. Do łoży naprzeciw weszła piękna wdowa hrabina Natalia, która zemdłała, gdy zobaczyła Roberta. Książę Brański zbladł, ale zapanował nad sobą i wytrwał do końca przedstawienia.

Hrabina Natalia była to kobieta, która złamała życie Robertowi. Nieboszczyk mąż hrabiny był człowiekiem, niegodnym jej miłości, więc też wielu młodzieńców starało się o względy pięknej kobiety. Ona lubiła, gdy się nią zachwycono, ale wszystkich zakochanych trzymała z daleka. Zdarzyło się, że mąż jej wyjechał w dłuższą podróż, a w tym samym czasie zjawił się we Warszawie młodziutki rotmistrz, książę Robert Brański, uważany wówczas za cudowne zjawisko. W pół roku oboje byli w sobie zakochani do szaleństwa, cała Warszawa mówiła o ich miłości. Dalsze losy dwojga zakochanych były smutne. Książę Robert spotkał u Natalii pewnego pułkownika, który od jakiegoś czasu ubiegał się o względy uroczej hrabiny. Młody książę przekonany, że ukochana go zdradziła, wyzwwał na pojedynek pułkownika i tak go ciężko poranił, że go uczynił kaleką na całe życie. Sam jednak zachorował ciężko z rozpacz. W chorobie pielęgnowała go z największem poświęceniem hrabina Natalia, którą on odtrącił, gdy przyszedł do przytomności. Nie przestał jej jednak kochać. Wystąpił z wojska, gdy wyzdrowiał i wrócił do domu, ale życie straciło dla niego urok na zawsze.

---

II.

Już nie wątpiono w Warszawie, że małżeństwo księcia Roberta z hrabianką Alfonsyną przyjdzie do skutku. Zembrzyński, który się obawiał, żeby hrabia swoim majątkiem nie uratował ksiąząt Brańskich od ruiny, przybył do Warszawy i zjawił się u Mościńskiego. Przedstawił się jako adwokat warszawski i odmalował dokładnie przestraszonemu ojcu, jakie niebezpieczeństwo grozi jego córce. Zapewniał hrabiego, że Brańscy są bankrutami i przedkładał dokładny spis ich długów. Dodał, że Robert ożeni się z Alfonsyną tylko dla pieniędzy a nie z miłości, bo kocha inną kobietę, ową hrabinę Natalię, która zemdlła w teatrze. Hrabia, słysząc to wszystko, przestraszył się nie na żarty o swój majątek i o szczęście ukochanej córki. Gdy zaś jeden z przyjaciół Mościńskiego, który tę sprawę dokładnie zbadał, zapewnił go również, że majątek Brańskich ledwie starczy na zapłacenie ich długów, wówczas hrabia postanowił zerwać z Robertem. Bał się tylko o córkę, czy nie będzie zbyt rozpaczala po zerwaniu z księciem. Ale panna Alfonsyna była zbyt rozsądna, żeby się kochać w ubogim Brańskim, zresztą oburzyła ją wiadomość, że Robert polował na jej posag, a miłość tylko udawał. Później jednak, gdy oburzenie minęło, panna Alfonsyna długo płakała z bólu i ze złości. Tymczasem hrabia udał się do Roberta, aby mu dać poznać, że wie o jego miłości ku Natalii, więc nie może go nadal przyjmować w swoim domu. Księżę jednak domyślił się, poco Mościński przybywa i oświadczył mu grzecznie ale dumnie tonem wielkiego pana, że nie miał wcale zamiaru starać się o rękę jego córki. Hrabia zawstydzony i oburzony powrócił do domu.

Po odejściu Mościńskiego przeczytał Robert z największym wzruszeniem list od hrabiny Natalii, która go błagała, aby przybył do niej bez zwłoki. Księżę pobiegł do jej mieszkania i zastał ją klęczącą i zatopioną w modlitwie. Gdy zobaczyła ukochanego, zemdlła, a skoro przyszła do

siebie, chwyciła krzyż, stojący na klęczniku i zawołała; »Robertcie, na to znamię zbawienia przysięgam, jam cię nie zdradziła!« Książę uwierzył zakłębom biednej kobiety i został u niej do wieczora. Żalił się przed ukochaną, że dla ratowania rodziny z długów musi się sprzedać, musi się ożenić z osobą majątną, choć kocha tylko Natalię. Hrabina pragnęła, żeby miłość ich była czysta, żeby on jej nie nakłaniał do innej miłości, którejby się musiała wstydzić przed Bogiem i ludźmi. Robert zgodził się na to. Gdy mieli się rozejść, rzucili się sobie w objęcia, a książę ukląkł, ucałował jej stopy i wyszedł pospiesznie. Wrócił do Brańska.

Tymczasem w Brańsku zapanował przestrach ogólny, gdy wszyscy wierzyciele zażądali natychmiast spłaty długów. Właściwie to Zembrzyński pod różnemi przybranemi nazwiskami dopominał się o spłatę wszystkich należytości. Gozdowski stracił głowę, nie wiedział, co począć; książę Hugon także nie umiał znaleźć żadnej rady. Zacny stary Żurba oddał z największą ochotą resztę swoich oszczędności, sto tysięcy rubli, ale to mogło wystarczyć zaledwie na spłacenie małej części długów. Ostatnią nadzieję pokładali wszyscy w małżeństwie Roberta z hrabianką Mościńską. Gdy więc młody książę wrócił z Warszawy i oznajmił, że z Mościńskimi wszystko zerwane, rozpacz ich ogarnęła. Pan szambelan nie wiedział i obecnie o ruinie, grożącej jemu i całej rodzinie, a uwiadomiony o zerwaniu małżeństwa z Alfonsyną, nie zmartwił się wcale, bo był pewny, że Roberta lepszy los czeka.

Gozdowski, człowiek uczciwy ale nieporadny i niedbały, nie wiedział co począć. Zaprosił do swojego dworku na radę: generała, sufragana i Roberta, a młodego Żurbę, jako doradcę prawnego. Zenon Żurba wykazał, że majątek znajduje się w stanie najgorszym, całe dobra i pałac starczyłyby ledwie na pokrycie długów. Radził więc sprzedać większą część majątku, spłacić najpilniejsze długi, a małą resztę ocalić, żyjąc oszczędnie. W takim wypadku należałoby uwiadomić szambelana o wszystkim, a na to książęta nie chcieli się zgodzić, bo taka wiadomość mogłaby zabić szanownego

starca. Postanowili więc czekać ratunku od Boga, a tymczasem wezwać wierzycieli listownie do układow. O mało jednak nie wydała się tajemnica przed księciem szambelanem, który otrzymał od Mościńskiego obraźliwy list. W liście tym hrabia wspominał o ogromnych długach książęcych; ganił Roberta za to, że polował na posag jego córki Alfonsyny. Z wielką trudnością udało się oburzonego szambelana przekonać, że Mościński przesadza, bo się mści za porzucenie hrabianki przez Roberta, że są długi ale niewielkie, że niema najmniejszej obawy o utratę majątku.

Gozdowski począł się teraz lękać, by jemu nie przypisano winy całego nieszczęścia; sumienie mu bowiem wyrzucało, że przez swoją beczynność i lekkomyślność przyczynił się do upadku majątku. Rozpaczliwie więc szukał najdziwaczniejszych środków ratunku dla pokazania, że coś przecie potrafi. Przypomniawszy sobie starego szlachcica, swego dalekiego krewnego, który na handlu wieprzami i wołami, a potem na gospodarstwie dorobił się ogromnego majątku. Bez dłuższego namysłu wyruszył do Lublina, gdzie mieszkał Garbowski, a przybywszy do jego dworku, począł go gorąco namawiać, aby spłacił długi książąt Brańskich. Nic na tem nie straci, bo zabezpieczy się na ich majątku, który sobie kiedyś zabierze, gdy nie będą mogli oddać mu pieniędzy. Z Garbowskim sprawa była niełatwa, bo był człowiekiem doświadczoneym i bardzo przebiegłym. Dopiero gdy mu krewniak wspomniawszy, że syn jego Zygmunt Garbowski mógłby się udać na jakiś czas do Brańska i tam się usatkwiać w towarzystwie ludzi poważnych i eleganckich, stary szlachcic zaczął się nad całą sprawą zastanawiać.

Syn starego Garbowskiego Zygmunt był to młodzieniec przystojny, wykształcony, zdolny i wesoły. Obok tych przymiotów miał jednak wielkie wady. Nie pracował wcale, oddawał się zabawom i hulankom, podpisywał weksle i zaciągał coraz większe długi. Matka tak sobie wzięła do serca lekkomyślność syna, że się rozchorowała i umarła ze zmartwienia. Ojciec kochał jedynaka do szaleństwa, ale miał z nim coraz więcej zgryzoty. Gdyby Zygmus dostał się w dobre

i spokojne towarzystwo, mógłby się zmienić. Stary Garbowski pomógłby może książętom w ich smutnem położeniu, gdyby syn jego uspokoił się w Brańsku i zaczął inne życie. Obiecał więc Gozdowskiemu, że przybędzie ze synem do dworku Żurbów w dniu, w którym się będą odbywać układy z wierzycielami. Zjazd wierzycieli miał się odbyć dlatego w dworku starego Żurby z dala od pałacu, bo się obawiano, żeby książę szambelan nie domyślił się wszystkiego.

Zembrzyński dowiedział się przez swojego szpiega, że Garbowski przyrzekł Gozdowskiemu przybyć do dworku Żurby na układy z wierzycielami. Obawiając się, żeby stary bogacz nie wyratował książąt od ruiny, udał się natychmiast do niego i usiłował go przekonać, że nie powinien pomagać Brańskim, bo nie odbierze potem swoich pieniędzy. Ale Garbowski nie miał wcale ochoty usłuchać Zembrzyńskiego; on znał interesy książąt doskonale, znał wartość ich majątku, znał wysokość długu, więc wiedział sam najlepiej, czy ich ratować czy nie. Zembrzyński wyszedł bardzo niespokojny o to, co się dalej stanie. Gdyby Garbowski książąt wyratował, to on musiałby szukać innego sposobu zemsty. Nienawidził księcia szambelana i całe życie prawie pracował nad tem, aby go zgubić. W młodości był w służbie na dworze księcia i otrzymał od niego niesłusznie uderzenie w policzek. Wprawdzie szambelan chciał mu potem wynagrodzić tę krzywdę, gdy się przekonał, że go posądził niesłusznie o wykradnięcie listu, ale Zembrzyński opuścił dwór księcia i przysiągł mu zemstę. Tyle lat pracował nad tem, żeby zrujnować Brańskich, a stary Garbowski chciał mu popsuć całą sprawę.

Na układy z książętami przyjechał tylko Hartknoch ze Zembrzyńskim, którego przedstawił jako swego pomocnika. Adwokat oświadczył książętom, że wszyscy wierzyciele oddali mu swoje sprawy i upoważnili go do układania się o należne im sumy. W imieniu swoich klientów żądał wypłacenia połowy należytości w przeciągu 24 godzin, a na resztę godził się czekać czas jakiś. Od tych warunków nie chciał w żaden sposób odstąpić, a książęta nie mogli w tak

krótkim czasie dostarczyć tak wielkiej sumy. Nie było więc ratunku. Gozdowski zwrócił się o pomoc do Garbowskiego, który przybył z synem. Zdumiał się jednak pan plenipotent, gdy się dowiedział, pod jakim warunkiem krewniak godził się ratować Brańskich. Oto żądał ręki księżniczki Stelli dla swojego syna Zygmunta. Takie żądanie wydało się Gozdowskiemu zuchwałością i szaleństwem, onby tego księżętom nie ośmielił się powtórzyć. Garbowski zaś inaczej nie myślał dać pieniędzy. Nie było sposobu uniknąć zguby.

Młody pan Zygmunt Garbowski okazał tyle rozumu, dowcipu i pięknego ułożenia, że się bardzo spodobał księżętom: Hugonowi i Robertowi, oraz pannie Antoninie. Tej ostatniej zwierzył się z wielką szczerością i śmiałością, że widział raz księżniczkę Stellę i zakochał się w niej bez pamięci. Księżę Robert zaprosił gości z dworku Żurby do pałacu w Brańsku. Panna Antonina uprzedziła Stellę o przybyciu ładnego i wesołego chłopca, który odważył się wyznać, że kocha księżniczkę. Wobec Stelli zachowywał się pan Zygmunt z wielkiem uszanowaniem, ale nie stracił swobody ani pewności siebie. Młodzieniec ten potrafił wszystkich rozbawić i wszystkim się przypodobać. Ojciec patrzył na niego z podziwem i nie poznawał w nim swojego syna, owego trzpiota i hulaki.

Gdy już Garbowscy mieli odjeżdżać, zaprosił ich Gozdowski do siebie i prosił ojca jeszcze raz o ratowanie księżąt. Stary szlachcic powtórzył tę samą odpowiedź: gdy Zygmunt uzyska rękę Stelli, to on dostarczy pieniędzy. Należało więc szukać gdzieindziej ratunku. Po odjeździe gości zebrali się jeszcze raz na naradę generał, Robert, Gozdowski i Zenon. Nic jednak nie dało się wymyślić. Ratunek był trudniejszy niż kiedykolwiek, bo ksiądz sufragan ciężko zachorował. Wreszcie chwycono się rady Gozdowskiego, aby sprzedać wszystkie klejnoty i drogocenne sprzęty, aby mieć jakąś gotówkę na ciężkie czasy, które nadchodziły. Księżniczka Stella teraz dopiero dowiedziała się o ruinie majątkowej, ale wiadomość tę przyjęła z wielkiem męstwem. Jedyłą jej troską było, aby to smutne położenie ukryć przed ojcem.



### III.

Do tyłu nieszczęść i niepowodzeń przyłączył się jeszcze jeden bolesny cios, który nagle spadł na rodzinę Brańskich. Umarł książdz biskup, w którym obecnie największe pokładali nadzieje. Nie zostawił on po sobie pieniędzy, tylko długi, które zaciągnął na ratowanie rodziny. Nie było go zaco pochować. Szambelan tylko miał trochę pieniędzy, które oddał na sprawienie bratu pogrzebu.

Po pogrzebie w wielkiej tajemnicy przed szambelanem zaczęto pakować wszystkie drogocenne przedmioty, przeznaczone na sprzedaż. Księżniczka Stella oddała bez wahania wszystkie swoje klejnoty i najdroższe pamiątki, generał Hugon ofiarował wszystkie swoje kosztowne zbroje, do których był bardzo przywiązany. Dwaj wierni oficjaliści Wincentowicz i Burski przy pomocy służby mieli zawieść te wszystkie kosztowności w zamkniętych pakach do Warszawy i tam je spieniężyć. Po drodze w Lublinie zatrzymali się na nocleg. Tymczasem Zembrzyński przez nieostrożność Wincentowicza dowiedział się o wywożeniu pak z drogimi przedmiotami do Warszawy i postanowił temu przeszkodzić. Natychmiast zbudził swego adwokata, który wyjednał u znajomych urzędników, że wszystkie skarby Brańskich zatrzymano w Lublinie aż do wyjaśnienia sprawy. Wincentowicza, który bronił urzędnikowi przystępu do wozów, aresztowano, a Burski siadł na koń i pojechał do Brańska, aby uwiadomić wtajemniczonych o nowem nieszczęściu. Wysłano natychmiast Zenona Żurbę, aby starał się u władzy o wydanie owych pak nieprawnie zatrzymanych. W Lublinie spotkał pan Zenon młodego Zygmunta Garbowskiego, który się podjął z wielką ochotą jechać do Brańska i oznajmić księżętom, że władze wydadzą owe kosztowności, gdy generał Hugon przysięgnie, że to jego własność a nie księcia szambelana. Wkrótce pan Zygmunt zjawił się w pałacu.

Księżę generał oświadczył stanowczo, że przysięgi nie złoży, wobec tego położenie stało się jeszcze trudniejsze.

Garbowski zabawił krótki czas w Brańsku i wybierał się do domu. Przy pożegnaniu podziękowała mu księżniczka Stella za usługi, oddane jej rodzinie. Młodzieniec oświadczył ze zapałem, że czułby się najszcześliwszym z ludzi, gdyby się mógł w zupełności ofiarować na jej usługi. Wówczas księżniczka odparła z powagą i stanowczością: »Ktoby ocalił mego ojca, stryja i brata od ruiny, ten miałby prawo żądać ode mnie całego mojego serca i całej mej wdzięczności«. Te słowa wystarczyły Zygmunтови. W kilku dniach książęta byli wyratowani z biedy. Stary Garbowski spłacił wszystkie długi, nakłoniony do tego przez syna, który cieszył się niezmiernie swoim szczęściem. W Brańsku po wielkich kłopotach i przykrościach zapanował spokój, twarze poweselały, wszelkie obawy znikły. Stella gotowa była dotrzymać Zygmunтови słowa i oddać mu swoją rękę, choć go nie kochała. Młody Garbowski długo jednak nie zjawiał się w zamku; widocznie przez delikatność nie chciał natychmiast żądać obiecaney nagrody za wyratowanie książąt.

---

Leon Zembrzyński, odebrawszy wszystkie pieniądze pożyczone Brańskim, sprzedał swój stary dom w Lublinie i nie pokazał się więcej w tem mieście. Natomiast wkrótce rozeszła się wieść po okolicy, że jakiś Felicyan Zembrzyński, podobno brat Leona, kupił ogromne dobra podmoszczańskie, sąsiadujące z majątkami Brańskich. Między właścicielami tych dóbr a książętami trwał od 200 lat proces o lasy olbrzymie, które zagarnęli w dawnych czasach Brańscy i nie chcieli ich oddać do chwili obecnej. Lasy te stanowiły teraz większą część ich majątku. Proces, wznawiany kilkakrotnie, przycichł był od jakiegoś czasu, bo obu stronom sprzykrzyło się prawowanie. Zembrzyński, nabywszy dobra, przybył do Brańska, aby ugodowo sprawę lasów załatwić. Był bardzo podobny do owego Leona Zembrzyńskiego, wyglądał tylko młodziej i był ubrany bardzo starannie. Opowiadał, że brat jego Leon umarł niedawno, obiecywał żyć w zgodzie z książętami, ale żądał stanowczo zwrotu owych wielkich lasów,

które dawniej należały do dóbr, kupionych przez niego. Ponieważ książęta na takie zuchwałe warunki zgodzić się nie chcieli, więc rozpoczął się proces. Gozdowski zajmował się procesem niewiele, bo był pewny, że Zembrzyński nie wygra.

W pałacu życie płynęło teraz spokojnie i wesoło. Książę Robert tylko był coraz smutniejszy, bo tęsknił za ukochaną Natalią. Tymczasem hrabina przejęła się tak bardzo bankructwem, grożącym rodzinie Roberta, że starała się w jakiś sposób dopomódz książętom. Mościński z córką bawił jeszcze w Warszawie; otóż Natalia postanowiła pogodzić Roberta z hrabianką i pożenić ich, chociaż w ten sposób traciła ukochanego. Ona chciała się poświęcić dla szczęścia Roberta i jego rodziny. Wezwała więc księcia do Warszawy, a on chętnie usłuchał jej wezwania, bo ją chciał zobaczyć. Tymczasem Mościński, dowiedziawszy się o spłaceniu długów książąt przez Garbowskiego, żałował bardzo, że tak gwałtownie zerwał małżeństwo Roberta z hrabianką. Chętnieby naprawił sprawę i oddał Brańskiemu rękę córki, która jakoś nie mogła zapomnieć eleganckiego i pięknego księcia. Hrabina Natalia nakłoniła Roberta, aby u wspólnych znajomych starał się zbliżyć do Alfonsyny i rozpoczął na nowo starania o jej rękę. Tak się też stało. Książę zaczął znowu bywać w domu hrabiego Mościńskiego i zdawało się, że młodzi wkrótce się porozumią i pobiorą. Szambelan, uwiadomiony o pogodzeniu się Roberta z hrabią, nie chciał z początku zgodzić się na związek swego syna z Alfonsyną, tak był oburzony na Mościńskiego za ów list niegrzeczny. Z trudnością tylko Stella i generał przekonali go, żeby zostawił Robertowi zupełną swobodę w sprawie tego małżeństwa.

Zygmunt Garbowski po długiej zwłoce przybył do Brańska. Księżniczka przywitała go z uśmiechem i okazywała gotowość dotrzymania przyrzeczenia. Na znak zaręczyn ofiarowała mu swój pierścionek i zażądała od niego obrączki. Szczęście Zygmunta nie miało granic. Wkrótce jednak przyszło opamiętanie. Ta anielska uległość Stelli nauczyła go szlachetności. Zdawało mu się, że zmuszał księżniczkę do oddania mu swej ręki, że jest jej niego-

dny. Wiedział, że Stella poświęca się tylko przez wdzięczność za ocalenie rodziny, ale go nie kocha, bo mu to ciągle powtarzała panna Antonina Żurbianka. Teraz dopiero zaczął odczuwać, o ile wyżej księżniczka stoi od niego i stawał się coraz bardziej nieśmiały. Zapytywał się, czyby nie było szlachetniej uwolnić księżniczkę od przyrzeczenia, ale wahał się, bo Stella była jego jedynem szczęściem. W tym czasie umarł jego ojciec, przez co Zygmunt stał się panem wielkiego majątku. Nie myślał teraz wcale ani o pijatyce, ani o hulankach, uspokoił się, spoważniał, tak ta miłość go zmieniła. Księżniczka nie kochała go istotnie, czuła tylko dla niego niewymowną wdzięczność i coraz większy szacunek. Chciała ona przygotować ojca na to małżeństwo, ale szambelan ani nawet nie przypuszał, żeby Garbowski odważył się myśleć o ręce Stelli. W rozmowie z córką wyraził swoje zadowolenie z tego powodu, że Zygmunt stara się o pannę Żurbiankę, bo tak sobie tłumaczył jego częste odwiedziny w pałacu.

Po krótkich chwilach spokoju zaczęły nieszczęścia na nowo spadać na rodzinę książęcą. Proces, zaniedbany z początku przez Gozdowskiego, wygrał Zembrzyński. Brańscy stracili ogromne lasy z kilkoma osadami kolonistów, czyli większą część swojego majątku. Położenie ich stało się teraz rozpaczliwe, groziła im nędza. Hrabia Mościński, dowiedziawszy się o przegrany procesie, zerwał znajomość z Robertem i powrócił z córką na Podole. Wreszcie książę generał Hugon, złamany tylu troskami i nieszczęściami, dostał pomieszania zmysłów. Robert wrócił do pałacu smutny i bladej jak widmo. Wszystkie te klęski ukrywano troskliwie przed szambelanem. Wierzył on, że brat, którego trzymano w osobnym pokoju, jest tylko lekko chory i wkrótce wyzdrowieje. Stary książę myślał o wydaniu dla córki w pałacu wielkiego balu, któryby przypomniał światu wielkość i świetność rodu Brańskich.

Gozdowski udał się do dworu Zembrzyńskiego i błagał go o zwłokę w odbieraniu wygranych lasów. Z rozmowy z pełnomocnikiem dowiedział się Zembrzyński, że książę

szambelan nawet nie domyśla się nieszczęścia. Oświadczył więc Gozdowskiemu, że odstąpi księżętom połowę lasów, ale musi się o to układać z szambelanem sam na sam bez świadków. Zgodzono się na to w pałacu, bo nie było innej rady, nic w tem zresztą nie widziano niebezpiecznego. Leon Zembrzyński, który tylko zmienił swoje imię na Felicyan, doczekał się nareszcie chwili zemsty. Pięćdziesiąt lat palił go na twarzy otrzymany policzek. Namyslał się, co począć, gdy będzie w pałacu na osobności z szambelanem: chciał naprzód przypomnieć starcowi wyrządzoną przez niego krzywdę, oddać mu policzek, sięść do powozu i uciec. Na to jednak brakło mu odwagi. Wreszcie postanowił przedstawić szambelanowi jego ruinę i nędzę, a potem nacieszyć się widokiem boleści nienawistnego starca. Zawiódł się jednak zupełnie. Księżę przyjął go grzecznie lecz z dumą wielkopańską. Dowiedziawszy się nagle o utracie całego majątku, nie stracił przecież spokoju, lecz okazał wielkie męstwo. Z politowaniem i dumą patrzył na Leona, który upokorzony opuścił pałac. Mściwy Zembrzyński tak się zgryzł spokojem księcia, że wkrótce zachorował ze złości i umarł.

---

Księżę okazał się silnym w nieszczęściu. Całą winę brał na siebie, bo skrzywdził niegdyś Zembrzyńskiego i dał mu powód do zemsty. Obecnie pragnął tylko, aby nikt nie poniósł szkody przez jego bankructwo. Sprzedano dobra, pałac, sprzęty, powozy, konie, obrazy, srebra i spłacono długi do ostatniego szeląga. Księżętom został tylko mały dworek z ogrodem koło Lublina, dokąd się przenieśli. Szambelan żył jeszcze lat kilka. Umierając po chrześcijańsku, kazał się przez pokorę pochować w prostej sosnowej trumnie. Księżę generał żył długo lecz w obłąkaniu. Śpiewał pieśni pobożne i godzinami odbywał warty niby u grobu Chrystusa. Hrabina Natalia nie wychodziła za Roberta, bo mu nie chciała świata zawiązywać, on zaś miał nadzieję, że ukochana zmieni swe postanowienie. Zygmunt, który stał się właścicielem reszty Brańska, kochał dalek księżniczkę gorąco, ale nie żądał

jej ręki, bo wiedział, że go nie kocha. Zwrócił jej pierścionek i prosił o jedyną łaskę, aby mógł bywać u książąt w ich dworku. Stary Żurba został na tej samej dzierżawie, Zenon oddał się zawodowi prawniczemu, a panna Antonina Żurbianka, podobno zakochana w Robercie, nie wychodziła za mąż. Wszyscy oni odwiedzali często książąt i starali się im osłodzić ich upadek. Stary Gozdowski zamieszkał we Warszawie, żył z kapitału, który odziedziczył dawniej po ojcu i rozmyślał często o losie książąt Brańskich, których los nieubłagany skazał na zupełny upadek.

---

W dawnej Polsce niektórzy wielcy panowie np. Tarnowski, Zamoyski, Żółkiewski, Sobieski, wybrany królem, byli podporą potęgi narodu. Oni służyli wiernie królowi i dawali mu dobre rady, bo się odznaczyli wielkim rozumem; oni dbali o porządek i oświatę w kraju; oni sprzedawali majątki i za własne pieniądze zbierali wojska, aby bronić ojczyznę przed wrogiem. Wyznać jednak należy, że byli i źli panowie, którzy się przyczynili do upadku Polski. Zdarzało się nawet tak, że z dwóch braci magnatów jeden ratował ojczyznę majątkiem i życiem, a drugi ją gubił np. za panowania ostatniego króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. W każdym stanie są ludzie dobrzy, a trafiają się i źli.

Kraszewskiemu zdawało się, że za jego czasów wielkie rody upadały zupełnie i to z własnej winy. W powieści *Morituri* przedstawia nam, jakie to wady gubią magnatów np. rodzinę Brańskich. Książęta nie troszczą się ani o dobro narodu, ani o własny majątek; szambelan, Hugon, Robert właściwie niczem się nie zajmują, marnują czas i życie, a wszystkie kłopoty zdają na rządców i ekonomów. Ludzie niższego pochodzenia, przebywający na ich dworze, uczą się od nich tylko lenistwa, niedbalstwa i nieporadności. Brańscy wierzą święcie, że bez nich świat nie może istnieć, że więc Opatrzność boża nie dopuści do ich upadku, a przecież Pan Bóg dopomaga tylko tym ludziom, którzy sami pracują. Książę

żęta wyrzucają pieniądze na pałace, na liczną służbę, na zbytek, a nie rachują się z tem, czy ich dochody na to wystarczą. Nic więc dziwnego, że Brańscy, ludzie w gruncie rzeczy poczciwi i szlachetni ale niedołęzni, tracą olbrzymi majątek i mają w końcu ledwo na liche utrzymanie. Kraszewski wzywał w tej powieści magnatów, aby się oduczili próżniactwa, niedołęstwa, rozrzutności, bo inaczej wyginą. Rady zacnego autora przydały się na coś, bo w naszych czasach niektórzy wielcy panowie stają się znowu przykładem pracowitości, oszczędności i miłości ojczyzny.

---

### 3) Powieści z życia autora.

#### Powieść bez tytułu.

##### I.

Było to w piątej klasie w gimnazyum w S. Stanisław Szarski był uczniem tej klasy. Profesor literatury zadał na ćwiczenie domowe opis wiosny. Wypracowanie tego tematu odczytywano w szkole. Z kolei wywołany został Stanisław Szarski do odczytania swej pracy. Chłopczyna poczerwieniał, zająknął się i począł opiewać wiosnę wierszami. Pod wzrokiem kolegów zmieszał się tak, że mu głosu zabrakło i nie mógł dalej czytać. Zaciekawiony profesor wziął z rąk jego zeszyt i w milczeniu doczytał wiersze do końca. Autor mało nie płakał ze wzruszenia, bo krok jego wydał mu się zuchwałym. Po wyjściu nauczyciela z klasy, koledzy wyśmiewali się z młodziutkiego poety i dokuczali mu złośliwie.

Wiersze te jednak nie musiały być takie złe, kiedy młodym poetą zajął się profesor. Wziął go po południu na przechadzkę i zachęcał do pracy nad sobą, do wytrwałości i wyrobienia silnej woli. Przestrzegał przed ciężkim zawodem pisarza. Następnie zaprosił poczciwy literat ucznia do

siebie, gdzie dał mu kilka książek do czytania. Oczy zaświeciły się Stasiowi z radości na widok mądrych dzieł; podziękował więc zacnemu profesorowi i uradowany wrócił do domu. Koledzy zaś zaprzestali żartować z biednego poety, widząc, że profesor nim się opiekuje. Szarski oddał się cały czytaniu pięknych książek, zamyślając zostać pisarzem. Nie chciał pamiętać o tem, że ojciec jego życzył sobie, by syn uczył się na lekarza.

Tymczasem młody poeta skończył szkoły i z nagrodą wracał do domu. Poszedł pożegnać się z swoim profesorem może na zawsze. Staruszek zaś na pożegnanie starał się odwieść swego ucznia od pracy literackiej, przytaczając historję swego życia. W młodości profesor pełen zapału pracował o chlebie i wodzie nad swoim wykształceniem, by później społeczeństwu stać się pożytecznym pismami. Ale przyszli ludzie, którzy niesprawiedliwie osądzili i wyśmiali jego utwory; zestarzał się powoli, a nie doczekał się uznania i praca literacka nie wystarczyła mu nawet na kawałek chleba.

Z trwogą w sercu jechał Staś do Krasnobrodu, do wsi, która była własnością jego ojca. Ojciec był to człowiek nieugięty i surowy, gospodarz zawołany i oszczędny. Dla prawego charakteru wybrano go sędzią. Żonę, którą kochał, nauczył pracowitości swojej, ale nie pozwolił jej nigdy sprzeciwić się swojej woli. W wychowaniu dzieci był bardzo surowy. Na wiatr nigdy nie mówił i dotrzymał zawsze tego, co raz powiedział. Bał się więc Staś opierać woli ojca, bał się oświadczyć, że nie pójdzie na medycynę.

W domu przyjął go ojciec bez najmniejszej oznaki czułości, przeczytał świadectwa i zapowiedział, że syn przez wakacje będzie mu pomagał w gospodarstwie. Na mieszkanie wyznaczył Stasiowi izdebkę w oficynach, w której stał Falszewicz, nauczyciel młodszego rodzeństwa. Głupi ten człowiek, zaglądający często do kieliszka, zazdrościł Stasiowi jego wykształcenia i starał się mu dokuczać na każdym kroku. Na drugi dzień dobrał się w jego nieobecności do jego wierszy i, ucieszony ich odkryciem, pobiegł do sę-



dziego ze skargą. Rozgniewany ojciec zagroził synowi batami, jeżeli jeszcze choć dwa wiersze napisze.

Położenie Stasia stało się nieznośne. Dopiero bogaty stryjeczny stryjaszek, pan Adam Szarski, wyrwał nieszczęśliwego poetę na parę dni z niewoli domowej, zabrawszy go do siebie do Mruczyniec. Odetchnął biedny chłopak, bo lepiej mu było u stryja. Pan Adam chciał uchodzić za wielkiego pana i nierad był temu, że krewny, noszący jego nazwisko, będzie się uczył na doktora. Według niego prawdziwemu szlachcicowi wypadało tylko być właścicielem wielkiego majątku. Radził bratankowi oprzeć się woli ojca, obiecując wstawić się za nim. Poeta zaś pędził dni szczęśliwe, zakochany w córce stryja Adeli, która płaciła mu wzajemnością. Prędko jednak minęły te chwile, bo sędzia nakazał synowi powracać do domu. A Staś, obdarzony przez młodziutką krewną kwiatkiem niezapominajki, był pełen nadziei i wracał do domu, postanawiając walczyć wytrwale z przeciwnościami losu.

Ale ojciec stanął w poprzek marzeniom poety, zapowiadając, że się go wyprze, jeżeli nie wybije sobie z głowy myśli o literaturze. Gdy wyuczy się na doktora, będzie miał ładny kawałek chleba; gdy będzie książki pisał, umrze z głodu. Staś postanowił zapisać się na medycynę, ale i literatury nie zaniedbywać. Inaczej zrzędziły losy. W karczemce, gdzie stanął na popas, spotkał się z kolegami, jadącymi na uniwersytet do Wilna na naukę. Tam przyczepił się do nich niejaki Bazylewicz, student głodny, wesoło jednak spoglądający w świat, idący weni z wielką odwagą; spodziewał się, że przez swoją zuchwałość i bezczelność wybije się łatwo. Był to młodzieniec chciwy na zysk, choćby brudny. Na ustach miał zwykle szlachetne słowa, ale w sercu samolubstwo. Nowy znajomy zakwaterował się u potulnego poety, który wynajął sobie izdebkę u podstarzałego pana Horyłki, wiecznie zdradzanego przez młodą żonę. Tento Bazylewicz zapisał się na literaturę, a Staś, ulegając jego wpływowi i potrzebie własnego serca, porzucił medycynę i zapisał się także na ulubiony swój przedmiot. Ojciec, którego

Staś o wszystkim uwiadomił, wyparł się syna i odmówił mu wszelkiej pomocy tak, że młody student musiał się sam troszczyć o swoje utrzymanie. Na początek pomógł mu pożyczką szlachetny kolega Paweł Szczerba.

Wśród akademików, uczących się literatury, nie znalazł Szarski przyjaciół. Każdy z jego kolegów zarozumiały uważał się za wielkiego pisarza, każdy też próbował pisać wierszem lub prozą. I Staś nie pozostał w tyle. Miał wiele pomysłów, ale nie umiał ich przelać na papier tak żywo i pięknie, jak tego pragnął. I zniechęcał się co chwila, nie wiedząc, że prawdziwy poeta nigdy nie jest zadowolony z tego, co napisze. Kolega zaś jego Bazylewicz nie miał żadnego talentu, ale kuł mozolnie wiersze, rozszerzając je i upiększając i pysznił się nimi. Nie znosił żadnej krytyki, przekrzyczał wszystkich, wmawiając w kolegów, że poezya jego jest arcydziełem. Staś zaś martwił się krytyką, nawet niesprawiedliwą, a nie wynosił się nad drugich. Ogół słuchał krzykliwego Bazylewicza, ale mądrzejsi więcej cenili cichego Szarskiego.

Tymczasem nędza zbliżała się chyżo do poety. Z domu nie mógł się spodziewać pieniędzy. Falszewicz z rozkazu sędziego przybył do Wilna, aby zapowiedzieć komu należało, że stary Szarski za syna nie odpowiada, ani nie płaci. Przebaczył by Stasiowi tylko wtedy, gdyby ten porzucił uniwersytet i uczył się posłuszeństwa, służąc u ojca za ekonomą.

Koledzy starali się wyrobić poecie miejsce nauczyciela domowego u jednego z profesorów, ale Bazylewicz podstępnie wydarł mu tę posadę, oskarżając Szarskiego poza oczy o nieposłuszeństwo względem rodziców i o brak uczciwości.

Dla zdobycia pieniędzy począł Szarski sprzedawać, co się dało spieniężyć. Wielce usłużny faktor Hersz, kupując u niego, zdzierał go niemiłosiernie. A gdy Stasiowi pieniędzy zabrakło, a do sprzedania nic nie miał, zgodził się biedak udzielać lekcyi języka francuskiego córce bogatego kupca, żyda Dawida Białostockiego; zarobek ten wyrobił mu Hersz, zarobiwszy dobrze za faktorne. Uczenica Szarskiego Sara była miłą i przepiękną dziewczyną. Troskliwi rodzice wychowywali ją starannie, usiłując z niej zrobić panienkę,

a nie zwykłą żydóweczkę. Dlatego przyjęli nauczyciela do języka francuskiego. Niechętnie patrzył na to jej dziadek, żyd starej daty, który zdał swój handel synowi, a sam zagłębiał się w tajemnicach ksiąg świętych żydowskich.

Szarski przeniósł się do nowego mieszkania, do izdebki na poddaszu, którą mu ojciec Sary odnajął. Poczciwy Szczerba starał się zatrzymać kolegę u siebie, ale Staś nie chciał mu być ciężarem, przyrzekł tylko w potrzebie uciec się do przyjaciela. Na poddaszu poeta tworzył swe pieśni. Widok Sary przypominał mu ukochaną Adelę. I pod wpływem wspomnień przeżywał owe chwile dawnego szczęścia na nowo.

Poezye przesłał Staś młodemu profesorowi gimnazjalnemu Hipolitowi, który był mu nieznajomy, ale był człowiekiem zacnym. Prace te miały ukazać się w *Noworoczniku*, wydawanym przez owego profesora. Pan Hipolit pomimo swej młodości wsławił się już uczoną książką o utworach Stanisława Trembeckiego, poety polskiego. Gromadził on do swego *Noworocznika* prace młodych, choćby nieznanych dotąd poetów. Nie wzgardził więc Szarskim, ale, widząc w nim wybitny talent, odwiedził go na strychu, wysłuchał jego opowiadania o dotychczasowym życiu i zachęcił go do pracy. Na odchodnym zostawił mu trochę pieniędzy, widząc nędzę studenta, wyglądającą z każdego kąta izdebki. Cieszyli się życzliwi koledzy, słysząc, jak profesor Hipolit wychwala prace Szarskiego. Pociągnęli go na dawną kwaterę, gdzie wesoło spędzono kilka godzin. Staś opuścił towarzyszy dopiero wtedy, gdy nadeszła godzina lekcyi ze Sarą.

Lekcyje te sprawiały mu dziwną przyjemność; piękna uczenica uczyła się doskonale i patrzyła to w książkę, to w młodego nauczyciela. Szarskiemu żal było, że jest żydówką i musi zostać w otoczeniu, które jej nie zrozumie i nie oceni.

Poeta stawał się sławnym. Szczerba i inni koledzy nie pozwolili Szarskiemu żyć dłużej w samotności, lecz prawie gwałtem zaciągnęli go do państwa Ciemięgów, którzy chętnie zapraszali młodzież do siebie. Ludzie to byli dobrzy i prości: on wybuchał lada czego śmiechem, a jej się uroiło,

że lubi literaturę. Córek mieli sześć; wszystkie były wesołe i nie lubiły się chmurzyć bez powodu. Zastali tu Bazylewicza, który bywał stałym gościem państwa Ciemięgów, a nawet pisał sonety do najstarszej panny Ciemiężanki. Na prośbę gospodyni przeczytał Szczerba z *Noworocznika* dopiero co nadesłanego elegię Stasia p. t.: *Pożegnanie*, gdzie w rzewnych słowach wyrażał poeta żal po stracie domu rodzinnego. Wierszyk zachwycił wszystkich; jeden tylko Bazylewicz, chcąc ośmieszyć autora, zaliczył jego utwór do poezji szpitalnej, choć sam nie miał powodu być dumnym, bo jego sonety były bardzo liche. Tymczasem nadszedł były profesor Iglicki, który w tym domu bywał częstym gościem. Był to stary hulaka, lubiący dobrze zjeść i dużo wypić, gdy kto zapłacił. Złotem piórem nazywali go księgarze, bo za suty obiad i napitek potrafił pisać pochwały utworów, które nic nie warzały. Wolał jednak ganić nawet najmądrzejsze książki, jeśli mu się autorowie nie okupili. Czytano go chętnie, bo jego szyderstwo i krytyka posiadały wiele dowcipu i humoru. Tento pan Iglicki, wzięwszy *Noworocznik* profesora Hipolita do ręki, uznał elegię Szarskiego za naśladownictwo i przesadę, a ze sonetów Bazylewicza szydził bez litości. Bazylewicza mało krew nie zalała ze złości, a Stasiowi było bardzo przykro słyszeć surowy sąd o swoich wierszach.

---

## II.

Mijały tygodnie i miesiące, a Szarski nie miał z domu żadnej wiadomości. Stryj Adam również nie raczył mu odpisać na jego list. Więc cierpiał, ale przez to cierpienie dojrzał. Profesor Hipolit pocieszał go po bratersku, nie przedstawiając jednak przyszłości poety w różowym świetle. Radził mu szerzyć dalej pismami zdrowe i pożyteczne myśli wśród ludzi, choćby mu za to odpłacano lekceważeniem i naganą. Zresztą życie płynęło młodemu literatowi jednostajnie. Lekcyje u Sary przedłużały się, bo pojętna uczennica nie miała ich nigdy dosyć. Dziadek jej tylko pragnął

by te lekcyje ustały. Usiłował więc to nienawistnem spojrzeniem, to grubijańskimi zaczepkami odstraszyć Szarskiego. A gdy to nie pomagało, napadł poetę w jego własnym pokoiku i kazał mu iść precz. Lecz ojciec Sary przeprosił Stasia za tę napaść i zatrzymał w swoim domu.

Niedługo potem dowiedział się Stanisław, że stryj z córką przybył do Wilna. Z radością i niepokojem pobiegł ich odwiedzić. Ale ze strony stryja spotkały go surowe wyrzuty za ogłoszenie poezyi, których pisanie, zdaniem pana Adama, ubliżało godności szlachcica, a panna Adela przyjęła młodzieńca zimno jakby obcego, więc Staś rozdrażniony wybiegł z domu pana Adama bez pożegnania i zatrzymał się dopiero przy kaplicy Matki Boskiej Ostrobramskiej. Tu znalazł go Szczerba pogrążonego w modlitwie i zaprowadził do siebie, bo widział, że potrzebuje pociechy. Nazajutrz pan Adam zaprosił krewnego, bo chciał jakoś sprawę załagodzić, ale Stanisław nie przyszedł do niego.

Gdy się to działo, ukazała się w jednej z gazet zjadliwa ocena *Noworocznika*, a więc i poezyi Szarskiego, napisana przez profesora Iglickiego. Krytyka ta byłaby zmar-twiła bardzo młodego poetę, gdyby nie nowy cios ze strony krewnych. Stryj bowiem, przejeżdżając koło niego ulicą, udał, że go nie widzi; Adela również siedziała w powozie, zajęta księciem Janem, który się czulił do niej. Szarski długo się nie mógł uspokoić. Nareszcie postanowił zabić się pracą i wziął się do najtrudniejszych nauk. Ale myśl jego uciekała ciągle do poezyi.

Napisał więc tomik poezyi, które postanowił sprzedać. Po długich wędrówkach po księgarniach i po przykrych targach dostał za swoje wiersze 10 rubli <sup>1)</sup>, wymawiając sobie to jednak, by książka była drukowana porządnie i na dobrym papierze.

Tymczasem uczenica Sara pokochała gorącą miłością Szarskiego, choć ze strony Stasia z początku spotykała ją obojętność i najwyżej litość. Pocię powodziło się nieco le-

---

<sup>1)</sup> Około 25 koron.

piej. Kupiec podwyższył mu zapłatę za lekcye z córką, chwalił go przed księgarzami żydami, którzy przychodzili dopytywać się o niego i radził im drukować książki, przez niego napisane. Sara zaś, dowiedziawszy się o pracy literackiej Szarskiego, prosiła go, by jej dostarczał książek polskich i pomagał w czytaniu, bo sama nie rozumiałaby wszystkiego. Staś przystał na to chętnie, bo uroczą żydówką nie na żarty zaczęła mu się podobać. Śmiał się wprawdzie z tego, ale nie mógł przestać o niej myśleć, nawet we śnie ukazywała mu się jej piękna postać.

W świecie literackim sława Szarskiego rosła. Niechętni jednak uważali go za dziwaka i półgłówka. Książę Jan, który starał się o rękę Adeli, pragnął mieć historję swojej rodziny, w którejby wychwalano jego przodków. Wskazano mu Stasia, jako najzdolniejszego do napisania takiej historji. Jednakże Stanisław odmówił, usprawiedliwiając się tem, że niezasłużonych pochwał nikomu pisać nie myśli. Obrażony książę porучzył tę pracę Bazylewiczowi za wynagrodzeniem 1000 złotych. Podły ten człowiek pisał kłamstwa i pokpiwał sobie poza oczy z głupiego magnata; nie mógł zrozumieć, dlaczego Staś odrzucił taki dobry interes.

Wydrukowane właśnie poezye Szarskiego wywołały najrozmaitsze wrażenia. Młodzieży przemówiły one najbardziej do serca. Starych raziła niedbała forma, a romantyków brak przesady i prostota. Bazylewicz i Iglicki, rozumie się, rzucili się z krytyką na nową książkę. Staś zaś czytał pochwały i krytyki i milczał. Dopiero oburzony drukowanemi, złośliwemi napaściami Iglickiego, napisał do gazety ciętą obronę swoją i wskazywał, jaką winna być krytyka, aby była uczciwa i pożyteczna. Redaktor gazety jednak odmówił wydrukowania tego artykułu, nie chcąc obrazić na siebie Iglickiego, którego zjadliwych artykułów obawiali się wszyscy. Lecz wkrótce o złośliwej krytyce zapomniano, a poezye Szarskiego zyskiwały coraz więcej czytelników. Powszechnie mówiono, że Szarski jest poetą utalentowanym, ale jeszcze niewyrobionym, Profesor Hipolit zaś zachęcał jak dawniej Stasia do pracy, radząc, aby na skrzeczących krytyków nie zważał.

Tymczasem nędza na nowo dawała się we znaki Szarskiemu. Czasem nie miał co do ust wziąć, sam sobie musiał usługiwać. Raz zauważył, że w jego nieobecności obca ręka gospodaruje w jego izdebce. Pokoik był posprzątny, dzbanek wody pełny, a pomiędzy książkami znajdował porozrzućcane drobne pieniądze. Zaciekawiony Staś zaczął się na strychu i zauważył, jak Sara wśliznęła się do jego mieszkania, wzięła stamtąd próżny dzbanek, zbiegła na dół, a po chwili wróciła z pełnym. Szarski czuł wdzięczność dla Sary, ale widział, że będzie musiał ten dom opuścić.

Nazajutrz po tem zdarzeniu zjawił się u poety Falszewicz, wysłany przez sędziego. Opowiedział Stasiowi na jego nalegania, że ojciec gryzie się nieposłuszeństwem syna i gotów mu jest przebaczyć, jeżeli zapisze się na medycynę. Staś po kilku latach uczenia się literatury nie mógł się przenosić na medycynę, która go zresztą odstraszała. Matka ukochana przysłała synowi przez Falszewicza parę rubli, które Stanisław przyjął dopiero na nalegania Falszewicza, bo sędzina zapowiedziała, że z pieniędzmi temi nie wolno mu wracać do Krasnobrodu. I znów obudziła się w Stasiu tęsknota za domem.

Stryj Adam zapraszał parę razy Szarskiego do siebie, ale ten nie miał ochoty z nim się widzieć. W końcu zetknęli się w kruchcie kościoła św. Jana tak, że Staś nie mógł stryja wyminąć. Pan Adam wyrzucał w rozmowie Stasiowi, że służy żydom i wystawia uczciwe nazwisko Szarskich na kpiny po gazetach. Wreszcie ofiarował mu pieniądze na ukończenie studyów, byleby przyrzekł, że wyniesie się od żydów i nie będzie wydawał swoich poezyi pod nazwiskiem Szarskich. Staś zaś odpowiedział, że nie porzuci żydów, którzy go w chwili największej nędzy wspomogli, ani poezyi, którą uważa za chlubę swoją. Pieniędzy zaś ofiarowanych pod takimi warunkami przyjąć nie myśli. Szlachetna duma Stasia wzbudziła gniew ale i podziw u pana Adama.

Staraniem Pawła Szczerby wyszukano Stasiowi miejsce u ubogiej wdowy Dormundowej, która za pomoc naukową

dla syna ofiarowała pocie utrzymanie. Szarski jednak nie chciał opuścić idebki na poddaszu tak, że Szczerba musiał go gwałtem zaciągnąć na jego nowe mieszkanie. Przyjęty serdecznie Staś objął opiekę nad Karolkiem, synkiem wdowy.

Jednak wszystkich węzłów z żydowską rodziną nie zerwał, bo miał przychodzić na lekcye z Sarą. Sara zaś rozpaczała i dzień przedtem, nim się Szarski wyprowadził, zostawiła mu w izdebce na pamiątkę swój złoty zegarek z napisem: »od Sary«.

Staś przywykł powoli do nowej rodziny, u której zresztą lepiej mu było niż u żydów. Żał mu było nieco swobody, jaką miał u siebie na strychu, bo Karolek i matka jego zabierali mu wszystek czas. Kobieta ta kochała syna nad życie, a będąc w kłopotach pieniężnych, spodziewała się, że Karolek, zdobywszy stanowisko jakieś w świecie, uwolni ją od wszelkiej biedy,

W postępowaniu Szarskiego wobec pięknej Izraelitki nic się nie zmieniło. Poeta na pozór chłodny zabierał się codziennie do lekcyi. Raz po lekcyi poszedł zamyślony przez pomyłkę na górę do izdebki na poddaszu, gdzie znalazł na stoliku kilka książek. Domyślił się, że to Sara przychodzi tu czytać, a może tęsknić. Chciałby był zostać w tej izdebce, ale głos obowiązku kazał mu powrócić do dworku Dormundowej, gdzie jej chory syn Karolek miał się z dnia na dzień gorzej. Szarski dla uspokojenia się pobiegł pewnego dnia do znajomego doktora Branta, przyjaciela wdowy. Zaczny doktor powiedział mu, że Karolek ma suchoty i nie będzie długo żył. Zarazem ze serca poradził Szarskiemu, aby ze względu na siebie jak najprędzej opuścił ten dom. Stanisław jednak odrzekł, że w nieszczęściu ludzi nie opuści.

Już trzeci rok dobiegał od wyjazdu Szarskiego z Krasnobrodu, a od ojca nie miał żadnej wieści, żadnego listu. Czując, że tylko na swoje siły może liczyć, zastanawiał się, jaki ma zawód wybrać po ukończeniu nauk. Doradzano mu, by został nauczycielem, ale on postanowił żyć z pism swoich. Stary Iglicki, który zręcznie dowiedział się od Stasia o jego zamiarach, wyśmiał go i starał się odebrać mu nadzieję opowia-



daniem o swoim życiu, o swojej biedzie, jak to on z ulubionego poety zszedł na nędzarza, patrzącego się, aby mu kto obiad zapłacił. Dalej dowodził młodzieńcowi, że nie warto pisać dla ludzi, którzy autora za życia nie rozumieją i obrzucają błotem; po jego śmierci księgarze zarabiają na jego dziełach dużo pieniędzy. Wreszcie jeżeli Szarski koniecznie chce żyć z pióra, niech da spokój poezyi, a niech zostanie uczonym, niech obznajomi się dokładniej z jakim przedmiotem, niech gani wszystkich innych, to zyska u tłumu uznanie i dobrze mu się będzie wiodło. Niech jednak nie zapomni, że przy takim postępowaniu trzeba się wyzuć z sumienia i uczciwości. Szarski jednak nie tracił odwagi, lecz zbroił się w siły ducha, bo wiedział, że czeka go trudna i długa walka z życiem.

Tymczasem pracował bez wytchnienia. Wkrótce sprzedał za marne pieniądze nowy utwór księgarzowi, którego handel miał wyrobioną sławę. Pochwały swojego poematu, której domagał się księgarz, nie chciał sam pisać. Koledzy ucieszyli się powodzeniem Stasia, gdy przybiegł do nich i opowiedział im wszystko.

Pomimo tego poeta nie porzucił lekcji u Sary. Pewnego razu, gdy tam przyszedł, powiedziano mu, że uczenica jego jest chora. Właśnie obecny doktor Brant poradził ojcu, ady dał spokój kształceniu córki i wydał ją za mąż; wtedy choroba sama ustąpi. Stanisław tak się zmartwił, że wybiegł, nie wzięwszy pieniędzy, należnych mu za lekcye. Wkrótce jednak przybiegł do domu kupca z powrotem po doktora Branta, bo Karolek Dormund począł pluć krwią, a zrozpaczona matka chciała prosić lekarza o ratowanie syna. Sara miała się nieco gorzej, ale zerwała się z łóżka, aby choć popatrzeć na ukochanego młodzieńca. Zatrzymała się bez ruchu w drzwiach pokoju, w którym rozmawiał Brant z Szarskim. Stanisław przemęczony i niezdrów od kilku dni omdlał, zwyciężony cierpieniem. Doktor odwiózł młodzieńca do mieszkania jego przyjaciela Szczerby. Tutaj przeleżał Stanisław cały miesiąc w ciężkiej chorobie.

Przyszedłszy do zdrowia, poszedł pytać kolejno o zna-

jomych. W kamienicy Białostockiego dowiedział się od znajomego żydka, że Sara jest zdrowa i wychodzi za mąż. Stąd skierował swe kroki na przedmieście do mieszkania Dor-mundowej, która trawiła dni w rozpacz i niepokoju o syna, podczas gdy Karolek jasno zdawał sobie sprawę z tego, że umrzeć musi. Niezmiernie żał mu było życia. Więcej jeszcze bolał nad losem matki. Prosił Szarskiego, by w razie jego śmierci pocieszał matkę i zastąpił jej syna. Teraz u łóżka Karolka rozpoczął Szarski życie pełne poświęcenia i pracy.

Tymczasem skończyły się lata nauki na uniwersytecie. Na pożegnanie wydali koledzy bankiet w najętej sali. Zabawiano się wesoło. Profesorowie życzyli uczniom, by prze-ścignęli ich nauką, by wiecznie młodzi zostali sercem i myślą. Spełniano toast jeden za drugim. Szarski jeden nie dzielił wesołości kolegów i pił bardzo mało. Zauważyli to koledzy i skazali go na sześć kieliszków szampana. Chcąc nie chcąc, musiał je wypić. Tymczasem w sąsiedniej sali obchodził swoje wesele z Adelą Szarską księżę Jan, któremu hałas wesołej młodzieży wydawał się nieznośny. Przy-słał lokaja, aby prosił hałasujących o spokój. Rozochoceni biesiadnicy wyrzucili lokaja za drzwi, a sami bawili się dalej ochoczo. Potem wyjechali za miasto. Po drodze spotkał Szarski pochód weselny Sary, a kiedy wstrząśnięty tem wrócił do domu, znalazł Karolka bez życia, a matkę jego leżącą jak martwą obok łóżka nieboszczyka.

---

### III.

Wdowa niedługo z żalu umarła, zapisując swój majątek Szarskiemu zato, że opiekował się nią od śmierci Karolka po synowsku. Cały majątek poszedł jednak na zapłacenie długów. Szarski przy pomocy adwokata zdołał ocalić przed wierzycielami ledwo ruchomości. Nie mając co robić w opustoszałym domku, wyniósł się poeta do zajazdu na przedmieściu, w którym swego czasu mieszkał. Ponieważ były

wakacye, nie spotkał się z nikim, a pozostawiony swoim myślom, tęsknił za domem. Uzyskawszy nieco pieniędzy ze sprzedaży ruchomości po Dormundowej, mógł pomyśleć o podróży w rodzinne strony. Doktor Brant dał mu list do krewnych swoich, mieszkających niedaleko Krasnobrodu. Z początku odbywał podróż w bryce żydowskiej, ale wkrótce uciekł z niej z powodu cuchnącego towarzystwa i szedł dalej pieszo. Na pierwszym noclegu słyszał przez cienką ścianę rozmowę księcia Jana i Adeli, którzy właśnie jechali na wieś odwiedzić pana Adama i spali w sąsiednim pokoju. Dawna poetyczna Adelfka zmieniła się na istotę bez serca. Księżę nudził się przy niej, dla niej zaś mąż był istotą obojętną.

Wszystkie przykrości, jakich doznawał, słuchając rozmowy tej pary, wynagrodził mu wieczór następny. Gdy znowu wypoczywał w innym zajeździe, usłyszał, jak jakaś paniątka w sąsiedniej izbie deklamowała z zapalem wiersz jego p. t. *Pożegnanie* i zachwycała się pięknoscia tej poezji. Nazajutrz próbował Stanisław dowiedziec się czegos o owych podróznich paniach, które switem pojechały dalej. Ludzie jednak nic o nich nie wiedzieli. Koło południa tego samego dnia spotkał Szarski Bazylewicza, jadącego w powozie z rodziną bogatych państwa Kłapciów, którzy go wzięli za nauczyciela do swoich dzieci.

Po kilku dniach podróży ujrzał Szarski nareszcie wieś rodzinną, ale nie śmiał udać się wprost do rodziców. Poszedł więc do Jasienic, wsi, leżącej tuż koło Krasnobrodu, do pana Płachy, krewnego doktora Branta, od którego miał list do gospodarza. Poczciwy Litwin przyjął go serdecznie.

Na drugi dzień pod wieczór pobiegł Szarski w stronę Krasnobrodu, by choć z daleka popatrzeć na dom rodzinny. Spotkawszy Falszewicza, od którego dowiedział się, że ojciec jest chory, kazał oznajmić matce, że jest blisko i pragnie z nią porozmawiać. Niedługo przybiegła jego siostra Mania, a przywitawszy się z bratem gorąco, opowiedziała mu, jako ojciec zakazał wymawiać jego imienia w domu i jaki jest surowy dla wszystkich. Następnie kazała siostra Stanisła-

wowi udać się do altanki w ogrodzie, gdzie miał się zobaczyć z matką. Istotnie przyszła sędzina i z płaczem powitała szlochającego syna. Wkrótce jednak musiała matka wrócić do domu, a Staś udał się do Jasienic.

Nazajutrz była niedziela. Młody Szarski, jako wierny katolik, poszedł na mszę do kościoła, spodziewając się zastać tam drogie sobie osoby. I rzeczywiście tak się stało. Matka, która zauważyła odrazu syna, udawała, że go nie widzi i modliła się niby gorąco ze swojej książeczki. Ojciec natomiast, spostrzegłszy Stasia, którego utraty przeboleć nie mógł, pobladł ze wzruszenia, ale silną wolą zapanował nad sobą. Po nabożeństwie wyszedł krokiem niepewnym z kościoła. Wtedy to przypadł do nóg ojcu Stanisław, a on uściśnął go w milczeniu i przebaczył mu wszystko. Dla przykładu za nieposłuszeństwo syn musiał się zrzec spadku po ojcu. A poeta zgodził się na wszystko z radością i dzień upłynął mu wesoło pośród braci i sióstr w rodzinie.

Wieść o pogodzeniu się ojca z synem pobiegła do sąsiadów i, upiększona różnymi dodatkami, doszła do pana Adama, u którego właśnie bawił zięć z żoną. Adela, pragnąc zobaczyć Szarskiego, wyprawiła męża na jakiś czas na polowanie w sąsiedztwo, a tymczasem wymogła na ojcu, że pojechał i zaprosił do siebie młodego krewnego. Z niechęcią pojechał Staś do Mruczyniec. Księżna przyjęła go grzecznie i poprosiła z sobą na przechadzkę po ogrodzie. Rozmawiali o dawnych czasach. Wówczas Szarski pod wpływem wspomnień wyraził żal po utraconej dawnej Adelce i dał księżnej do poznania, że nie wiele dba o bogatych krewnych. Wtem nadjechał ks. Jan. Stryj zmieszany przedstawił mu Szarskiego. Ks. Jan powitał gościa grzecznie, ale dał poznać teściowi, że mu się to nie podoba, gdy się takich ludzi zaprasza. Po obiedzie odjechał Szarski, nie zatrzymywany przez nikogo, uleczony na zawsze z dawnej miłości ku Adelce.

Po jakimś czasie postanowił Szarski wrócić do Wilna. Pożegnał się ze swoimi i wstąpił po drodze do pana Płachy, który wyładował wóz poety wędlinami i innymi specyałami wiejskimi. W Wilnie zamieszkał poeta w zajeździe pana

Horyłki, u którego już parę razy stawał. Zaraz pobiegł do doktora Branta, który wypytywał się o swoich krewnych, a w końcu zagadnął Stasia, do czego myśli się zabrać. Ten opowiedział mu swoje zamiary. Pocziwy doktor, widząc biedę poety, zaprosił go do siebie na obiady pod pozorem, że bez towarzystwa jadać nie może. Od doktora udał się Szarski do księgarza i prosił go o jakieś zajęcie. Zgodził się tłómaczyć za marne wynagrodzenie sześciotomową powieść, będącą w modzie. W księgarni spotkał Bazylewicza na tajemnej rozmowie z księgarzem. Naradzali się obaj, jakby okpić czytelników. Oburzony Staś, usłyszawszy jeszcze o innych szelmostwach Bazylewicza, zerwał z nim znajomość. Zabrał się do pracy i powoli tłómaczenie romansu postępowoło naprzód. Po ukończeniu wydrukowano tę jego pracę. Obrażony Bazylewicz i Iglicki rzucili się na tłómaczenie Szarskiego, który sobie ich krytykę tak wziął do serca, że postanowił dać spokój pracy literackiej. Dopiero uspokojony nieco przez profesora Hipolita, odpisał wrogom w tej samej gazecie, w której oni umieścili swoją naganę.

Szarski po rycersku przyznawał się do uchybień, ale też bez litości wykpił swych krytyków. Wystąpieniem swem przestraszył swoich wrogów i zwrócił na siebie uwagę. To, co miało mu zaszkodzić, pomogło mu tylko. Nawet księgarz stał się odrazu grzeczniejszym dla niego. Spotkawszy Stanisława, prosił go o nowe dzieło, które mu poeta sprzedał, bo potrzebował pieniędzy. Księgarz zaraz rozpoczął druk nowej książki, chwając ją na wszystkie strony, bo chciał na niej dużo zarobić. Szarski zaś rósł w sławę. Ludzie zapraszali go do siebie z ciekawości, gościli, ale poeta, spotykając się tylko z ciekawymi spojrzeniami lub obojętnością, zaprzestał bywać u znajomych i pracował. Smutny był, bo postradał wszystkich życzliwych: Sara wyszła za mąż, Dornundowa umarła, koledzy rozprószyli się po świecie. Z przyjaciół starych pozostał mu jeden profesor Hipolit.

Tęsknota rodziła nowe poezye. Tematy czerpał do nich Szarski ze wspomnień pobytu na poddaszu w żydowskim

domu. W wolnych chwilach jeszcze dotąd zachodził na ulicę, gdzie dawniej mieszkała Sara. Pewnego dnia zatuwały, że z poza firanki na piętrze ktoś na niego patrzy. Domyślił się, że to Sara; potwierdziła to jej służąca, od której Stanisław dowiedział się, że pani z mężem przyjechała z Kowna, gdzie stale mieszkają. Nie długo potem wyszła sama Sara z domu, ale jakże zmieniona! Ledwo cień dawnej pięknej Sary. Ze łzami w oczach wyznała poecie swą miłość i prosiła, aby ją ratował, bo dłużej nie może żyć z mężem, który jest głupi i ordynarny. Na drugi dzień uciekła z domu, zabrawszy klejnoty. Szarski za radą profesora Hipolita wynajął na przedmieściu dwa pokoiki dla Sary; nikt więcej nie domyślał się, gdzie młoda żydówka mieszka.

Umieściwszy Sarę, wrócił Szarski do siebie i znużony zasnął. Na drugi dzień przyszedł do niego ojciec żydówki wzburzony, żądając wydania córki. Groził Szarskiemu śmiercią, prosił, aby nie okrywał wstydem domu, w którym był gościem; obiecywał oddać cały majątek; ale Szarski oświadczył stanowczo, że nic nie wie o Sarze. Wtedy żyd kazał mu przysiąc na święty krzyż, że mówi prawdę. Szarski, nie mając innego wyjścia, krzyknął o pomoc, a wtedy kupiec uciekł. Niedługo nadszedł doktor Brant. Szarski zwrócił się z całym zaufaniem do lekarza, który obiecał mu dopomódz. I dopomógł; wynajął pokoiik dla Sary tuż obok swego mieszkania, poszedł uwiadomić władzę o ucieczce kupcówny, aby skargę uprzedzić; Szarskiemu zaś polecił namówić Sarę do zmiany religii, gdyż w ten tylko sposób żydówka może uzyskać wolność. Ona zgodziła się przyjąć chrzest z miłości do Szarskiego. W towarzystwie urzędnika przyszedł ją ojciec odwiedzić. Na jego wyrzuty odpowiedziała córka, że powodem ucieczki jej jest nieznośna niewola, w jakiej ją trzymano w domu; powrócić do domu nie może, bo jest chrześcijanką. Kiedy ją ojciec za to przeklął, ona rzuciła mu swoje klejnoty pod nogi. Lecz tyle przykrych i bolesnych przejść tak ją osłabiło, że ciężko zachorowała.

Tymczasem rozeszła się wieść po mieście, jakoby Szar-

ski uwiódł kupców. Ludzie rozmaicie tłumaczyli sobie ucieczkę Sary. Krewni zaparli się go, a znajomi poczęli unikać. On kochał Sarę i czuł się zobowiązany wycierpieć za nią wszystko. Żydzi nie przestawali różnych starań, by odebrać Sarę poecie, a to nabawiało ją niepokoju i przedłużało chorobę, Szarski zaś dla zdobycia pieniędzy na życie zabijał się pracą. Podjął się nawet za pieniądze napisać dramat dla jakiegoś jegomości, który miał go wydać pod swoim nazwiskiem i tak zdobyć sobie sławę niezastudzoną. Księgarz tymczasem drukował nowy utwór Stanisława i wyrzucał Szarskiemu jego zajęcie się żydówką zamężną, bo się obawiał, że ludzie nie będą chcieli kupować książki, napisanej przez uwodziciela. Tymczasem stało się inaczej; publiczność ciekawa nowego dziełka poety, którego posądzano niesłusznie o życie na wiarę ze Sarą, rozkupiła cały nakład w bardzo krótkim czasie. Ci, którzy najmniej rozumieli, najwięcej chwalili ten utwór. Niektórzy zarzucali autorowi niedbały język i formę nową, dziką. Bazylewicz, zebrawszy wszystkie nagany, które słyszał od ludzi, napisał artykuł, w którym skrytykował ostatnie dzieło Szarskiego. Jednak opinia czytelników była po stronie poety, bo w nowej książce znaleźli dużo pięknych rzeczy. Brano mu tylko za złe, że za dużo pisze, ale na ogół ów utwór a nawet i krytyka Bazylewicza podniosła Szarskiego w oczach ludzi.

Pewnego dnia stryj Adam, bawiący we Wilnie, zaprosił poetę do siebie, by mu coś od ojca powiedzieć; Stanisław domyślił się o co idzie, ale poszedł. Stryj dał mu przeczytać list ojca, w którym tenże prosił pana Adama, aby nie pozwolił żenić się Stasiowi z żydówką - wychrzcianką, gdyż inaczej będzie musiał wyrzec się syna na zawsze. Pan Adam zapowiedział poecie, że w razie jego oporu krewni chwycą się przemocy. Staś zaś oświadczył dumnie, że rodzina, która mu w biedzie nie podała ręki, nie powinna troszczyć się teraz o niego. Na silne nalegania ze strony stryja musiał przyrzec Szarski, że do roku nie ożeni się z Sarą. Pan Adam spodziewał się, że miłość młodych ostygnie, albo miał na myśli jakiś sposób rozłączenia zakochanych.

Tymczasem Sara przychodziła do zdrowia i pociągała całym urokiem piękności i miłości Szarskiego do siebie. Poeta musiał użyć całej siły woli, aby nie upaść. Jej poezya zastępowała wszystko, a dni upływały na marzeniach i śpiewach. Tęskniła za swoimi, choć ci jej życie zatruli. Żal za domem zmniejszyła jednak pamięć niewoli, w jakiej tam żyła, a także i miłość czysta, która obojgu umilała życie. Szarski drżał z początku, aby mu żydzi nie wydarli Sary. Ale kiedy kupiec nie dowiadywał się o córkę, uspokoił się powoli i zabrał się do nowych prac, które księgarze przyjmowali chętnie, lecz mało płacili. Stawał się poeta sławnym, przyszłość układała się jasno i spokojnie, gdy spadł na niego cios niespodziewany: żydzi porwali Sarę.

---

#### IV.

Długo i ciężko bolał Szarski po zniknięciu Sary. Z początku usiłował wszelkimi sposobami odszukać ją, ale daremnie się trudził. Żydzi brali pieniądze, ale nie chcieli zdradzić miejsca pobytu swych współwyznawców. Żył więc Szarski sam z swoją boleścią, zajęty pracą. Na jego dziełach zarabiał wydawca, bogacił się sprzedający, a on sam przymierał z głodu. Powoli uspokoił się po stracie Sary i znów bywał u swoich znajomych. Wierny zawsze Stasiowi przyjaciel, profesor Hipolit, nie wytrwał w pracy literackiej. Ożenił się, żył spokojnie, nie pisał nowych książek, a gdy mu Szarski wyrzucał lenistwo, odpowiedział: »Na drugich pracowałem nie będę«. Tylko Bazylewiczowi wiodło się nieźle. Ten Szarskiego unikał od owego zerwania. Utrzymywał się z pisania wstępów do dzieł, krytyk dla księgarzy. Przytem zalecał się bogatej, czterdziestoletniej wdowie, która zajmowała się filozofią i zapraszała do siebie na wieczory artystów najrozmaitszego gatunku. Literaci, im który głodniejszy, tem silniej wzdychał do bogatej wdówki, lecz Bazylewicz zręcznością swoją pokonał wszystkich i zdobył serce wdowy.



Od czasu do czasu przyjaciele, odwiedzający Szarskiego, odrywali go od męczącej pracy. Udawało się to prawie zawsze profesorowi Hipolitowi. Pewnego dnia poszli razem do teatru, w którym dawali przedstawienie jadący do Petersburga aktorzy i aktorki. W teatrze spotkał Szarski Sarę, jako aktorkę, zwaną Smaragdiną. Po przedstawieniu Sara zaprosiła go do swojego mieszkania. Od niej dowiedział się poeta, że porwania dokonały obie rodziny jego i jej, porozumiewszy się z sobą. Wywieziona za granicę, zmusiła Sara rodziców swoich groźbą samobójstwa do tego, że pozwolili jej kształcić się na aktorkę. Pośród cierpień wystygło jej serce i dzisiaj nie kocha nikogo. Z dawnej Sary nic nie zostało, cała zamieniła się w Smaragdinę, zimną aktorkę. Kochała jednak Stanisława jak dawniej, ale miłość tę ukrywała starannie; chciała bowiem, żeby Staś zapomniał o niej i był szczęśliwy. Wyznania Sary wstrząsnęły Szarskim do głębi; tak się zmartwił, że popadł znowu w chorobę, z której go wyleczył doktor Brant. Po chorobie Stanisław zmienił się zupełnie; nie chciał się brać do żadnej pracy, ale zacny profesor Hipolit nie dał mu odpocząć, by nie przepadł dla literatury. Powoli uspokoił się poeta i znów począł się widywać z ludźmi. Najchętniej odwiedzał państwa Ciemięgów, bo tu nie wypytywano go o nic, lecz okazywano mu wiele życzliwości. W tym domu poznał pannę Marylę Brzeźniakównę. Gdy przemówiła do niego, zdawało mu się, że już gdzieś słyszał ten głos. Przypomniał sobie ów nocleg w gospodzie, gdy szedł pieszo z Wilna do domu. Teraz nie wątpił, że to była ta sama panienska, która wtenczas deklamowała jego wiersze i zachwycała się nimi. Gdyby Szarski nie miał był tylu smutnych przejść z Sarą, byłby się od razu zakochał w ślicznej i dobrej pannie Maryli.

Stanisław wrócił znowu do pracy literackiej. Niektórzy ludzie oburzali się na niego, że ich ośmiesza w swoich powieściach, chociaż jemu nawet przez myśl nie przeszło nic podobnego. W jednej powieści opisał dom, w którym było sześć córek i kilka niebieskich filiżanek. Państwo Ciemięgowie byli pewni, że to ich rodzinę wykpił poeta i nie chcieli

go przyjmować w swoim domu. O podobne błahostki obrazili się nawet profesor Hipolit i doktor Brant. Ale na tem nie koniec. Pewnego dnia napadł na Szarskiego w jego własnym domu ksiązę Jan, oburzony na niego za to, że w ostatniej książce przedstawił księcia, żeniącego się dla pieniędzy. Autor tłumaczył mu, że jego nie miał na myśli, ale ksiązę zachowywał się coraz zuchwalej. Wtenczas Stanisław rozgniewany chwycił za kij, a gość przestraszony uciekł.

Bazylewicz się żenił. W przeddzień ślubu przypomniał sobie Szarskiego i, pogodziwszy się z nim, poprosił go na družbę. Zdziwił się Szarski podczas wesela, że pani młoda jest już starszą niewiastą. Wdowie wpadł zaś od razu poeta w oko i prosiła go, aby uczęszczał na literackie zebrania, które odbywały się u niej dwa razy na tydzień.

Niedługo spotkał Szarskiego nowy cios. Oto przybył Falszewicz ze smutną wieścią, że pan sędzia umarł. Szarski wnet zebrał się i za parę dni był w Krasnobrodzie, gdzie przybył jeszcze przed pogrzebem ojca. Surowy starzec wydziedziczył testamentem syna nieposłusznego, nakazał mu zarządzać majątkiem i opiekować się młodszem rodzeństwem. Opiekunem sądowym ustanowił nieboszczyk pana Adama Szarskiego, który jednakże zrzekł się opieki, bo nie cierpiał Stanisława. Nałożony przez ojca obowiązek starał się Staś wypełnić gorliwie, lecz mu to nie szło, bo był zanadto poetą, by mógł dobrze pilnować gospodarstwa. Pisać także nie mógł, bo czasu nie miał. W domu wszyscy go słuchali; nawet matka nie czyniła nic bez jego wiedzy. On zaś spowiadał się z wszelkich zamiarów matce; zwierzał się jej ze swoich myśli i tajemnic. Raz zesła rozmowa na pannę Marylę Brzeźniakównę. Pokazało się, że matka jej, pani Brzeźniakowa, była koleżanką pani sędziny i mieszka w sąsiedztwie. Pani sędzina zaprosiła do siebie matkę i córkę. Maryla Brzeźniakówna, choć bardzo ładna i miła, nie wywarła i teraz żadnego wrażenia na Stasiu, stał się bowiem nieczuły. Nazajutrz nawet nie pożegnał swoich gości, gdy szedł rano w pole.

Tak na pracy rolnej przeszedł poecie rok. Oddalony

od Wilna, nie miał stamtąd żadnych wiadomości. Dopiero list Bazylewicza, wzywający Szarskiego do powrotu i zapraszający go do współudziału w wydawnictwie autorów współczesnych, przypomniał mu Wilno. Poeta miał wielką ochotę wracać do miasta, ale nie chciał mówić o tem w domu. Dopiero matka, widząc, że młodszy syn prędzej da sobie radę z gospodarstwem, namówiła Stanisława, aby wrócił do Wilna i zabrał się do pracy, odpowiedniej jego usposobieniu.

Wiadomość o zamierzonym wyjeździe Szarskiego przerażała Marylkę Brzeźniakównę, która kochała poetę. Przyjechała więc z matką do Krasnobrodu, chcąc nakłonić Stacha, aby pozostał na wsi. Dowodziła mu, że wielcy poeci przebywali zwykle na wsi i tu też pracowali. Wyśmiewała jego chłód i obojętność starca. Ale zamilkła, kiedy Szarski wyznał jej, że miłość nieszczęśliwa zwarzyła na zawsze jego serce. Marylka płacząc wracała do domu, a Szarski na drugi dzień ruszył do Wilna.

Gdy już był niedaleko od miasta, spotkał się z państwem Bazylewiczami, wracającymi ze wsi. Wzięli oni zaraz w opiekę Szarskiego, bo chcieli zarabiać na jego utworach i korzystać z jego talentu. Stanisław zamieszkał w ich domu, skąd zamierzał się wyprowadzić kiedyś później. Nazajutrz poszedł do miasta i wstąpił do księgarni. Księgarz przywitał go z radością, kupił od niego nową książkę i bardzo go namawiał, żeby się wyprowadził z domu Bazylewiczów. Gdy poeta wracał do mieszkania, spotkał Hipolita, który się serdecznie ucieszył widokiem przyjaciela. Opowiadał, że wszyscy czytają książki Szarskiego z prawdziwym zapałem i winszował mu z serca tego wielkiego powodzenia. I on zmartwił się tem, że poeta dał się namówić Bazylewiczom i zamieszkał w ich domu. Oni go namówią do takiej pracy, że wszelkie pisanie mu obrzydnie. Tego samego dnia wieczorem był Stanisław na posiedzeniu literackim u Bazylewiczów. Spotkał tam ludzi niedouczonej a zarozumiałych i nudził się wśród nich.

Tymczasem na wsi Marylka Brzeźniakówna wyplakiwała oczy po Szarskim. Matka jej, która o miłości córki ku

poecie wiedziała, zwierzyła się ze swoim zmartwieniem pani sędziny. Sędzina chciała ściągnąć syna do Krasnobrodu i tu ożenić go z Marylką. Ale pani Brzeźniakowa postanowiła uciec się do tego środka chyba w ostateczności. Na razie wyjechała z córką do Wilna i tu zapraszała poetę do siebie pod najrozmaitszymi pozorami, spodziewając się, że Szarski wkońcu zmieni się i pokocha jej córkę. Ale Staś był nieczuły na oznaki przywiązania i miłości ze strony Marylki. Pustkę w sercu wypełnił nauką, badaniem starych ksiązek i pracą. O kochaniu nie myślał. Wobec tego matka Marylki postanowiła wyjechać z Wilna, by wyleczyć córkę z nie-szczęśliwej miłości. Ale Marylka rozplakała się i wymogła na matce, że zostały w Wilnie. Biedna dziewczyna zbladła i schudła ze zmartwienia. Szarski też z każdym dniem gorzej wyglądał, gasnął powoli. Ale pracować nie ustawał. Czytał stare kroniki i tworzył coraz to nowe dzieła. A ludzie zarabiali jak dawniej na jego pracy. Pewnego dnia, gdy był zaczytany w jakiejś księdze, wpadł do niego Hipolit, oznajmiając mu, że przyjechała Sara aktorka. Zerwał się poeta, bo niewygasła miłość ogarnęła go na nowo. Zebrał się prędko i wybiegł na ulicę. Tu spotkał się z panią Brzeźniakową i córką; obie ucieszyły się bardzo, widząc go wesołego. A kiedy Szarski na pożegnanie uścisnął rękę Marylce z jakimś niewysłowionem uczuciem, ona biedaczka zapłakała z radości, bo myślała, że Stanisław zaczyna ją kochać.

Poeta dostał się do mieszkania Sary. Ta się straszliwie zmieniła. Zastał ją na rozmowie z kochankiem. Upadł jej do nóg Szarski, witał ją z radością, ale żydówka odtrąciła go. Bolał niesłuchanie; zgryzota wyżerała z niego resztki sił i życia. Marylka dowiedziała się wkrótce, co było powodem radości Szarskiego podczas owego spotkania na ulicy. Cierpiała, ale starała się tego po sobie nie okazywać. Wieczorem pojechała z matką do teatru, by poznać tę, która tak oczarowała Stanisława. Na tem przedstawieniu był także Szarski, który starał się wmówić w siebie, że Sara jest taką,

jaką niegdyś była. Po przedstawieniu powlókł się znów do mieszkania aktorki, ale został odepchnięty.

Po tych przejściach zachorował. Zrywał się do pracy, ale myśl, że Sara jest blisko, nie dawała mu spokoju. Gdy tylko mógł, wstawał z łóżka, chodził pod okna jej mieszkania i zabijał się powoli myślą o niej. Zobojętniał zupełnie na wszystko. Nie chciał się wcale leczyć pomimo nalegań Branta, który odkrył w nim suchoty, dawno rozwinięte. Nie było ratunku. Przeniesiono dogorywającego poetę do dworku za Wilnem. Tutaj pielęgnowała go Marylka i jej matka. Szarski gasł w oczach. Wreszcie nie mógł się już podnieść z łóżka. Dyktował coraz nowe wiersze, bo sam już pióra utrzymać w ręce nie miał siły. Kaszlał i miewał krwotoki. Z Krasnobrodu nikt nie przyjeżdżał pomimo tego, że uwiadomiono rodzinę o groźnym stanie chorego.

Sara tymczasem zbierała oklaski za swoje występy. Los jednak Szarskiego obchodził ją bardzo, bo raz wpadła do Branta, dopytując się o stan chorego. A kiedy doktor z wyrzutem powiedział jej, że winna jest śmierci poety, Sara z płaczem usprawiedliwiała się ze swego postępowania. Ona czuła się niegodną miłości Szarskiego, dlatego chciała go od siebie oddalić. Prosiła Branta, by pozwolił jej odwiedzić dogorywającego, a gdy lekarz odmówił, przychodziła na całe wieczory pod okna poety, chcąc jak najdłużej widzieć tego, którego zawsze kochała.

A w Szarskim cichł coraz więcej ból, zapominał o minionych nieszczęściach; pielęgnowany przez Marylkę, widząc jej anielską dobroć, pokochał ją wreszcie na łożu śmierci.

I niedługo zasnął na zawsze.

W rok potem na grobie poety klęczała Sara aktorka. Przychodziła tu często i stroiła grób zmarłego w kwiaty. Była przyczyną jego śmierci, ale chciała jego szczęścia. Biedna Sara, nie mogła zapomnieć, ani utulić się w bólu.

A Marylka Brzeźniakówna? Zgon Stanisława tak ją zmartwił, że wpadła w ciężką chorobę. Gdy wyzdrowiała, uspokoiła się powoli, wyszła za mąż i żyła szczęśliwa. Tylko w chwilach wspomnień łzy płynęły z jej pięknych oczu.

Na śmierci Szarskiego najlepiej wyszedł Bazylewicz. Wydał jego dzieła i zarobił na nich kilkanaście tysięcy.

---

*Powieść bez tytułu*, napisaną w r. 1855. w Żytomierzu, zaliczamy do tych utworów, w których Kraszewski przedstawił niektóre wypadki z własnego życia, zwłaszcza z młodości. Tutaj należą także: *Poeta i świat* (1839. r. w Omelnie), *Pamiętniki nieznanego* (1846. r. w Gródku) i *Sfinks* (1847. r. w Gródku). W tych powieściach nie opisuje siebie wiernie, lecz wiele rzeczy dodaje i zmienia tak, że czytelnik, który zna życiorys Kraszewskiego, potrafi osądzić, co autor zaczerpnął z własnego życia, a co wysnuł z fantazyi. Bohater takiej powieści poeta lub malarz kształci się, żyje i pracuje w podobnych warunkach, co Kraszewski, chociaż się inaczej nazywa. Zwyczajnie jest mu źle na świecie, bo go ludzie nie rozumieją. W *Powieści bez tytułu* przedstawia autor swoje lata nauki w Świsłoczy, pobyt na uniwersytecie we Wilnie, zachowanie się publiczności wobec jego pierwszych drukowanych utworów, przyjaźń z Hipolitem Klimaszewskim i t. d. Bohater, nazwany Szarskim, zastępuje więc niejako samego Kraszewskiego, podobnie jak on rwie się do pracy i do pisania powieści, ale w dalszym ciągu powieści różni się znacznie od niego.

Szarski mówi i myśli ustawicznie o sobie, o swoich kłopotach i nieszczęściach, Kraszewski troszył się mniej o siebie a więcej o drugich, o własną rodzinę i o cały naród. Szarski jest chorobliwie czuły i umiera z przesadnej miłości dla jednej kobiety Sary, Kraszewski kochał zarówno żonę i dzieci jak i współrodaków miłością zdrową i rozumną. Szarski gryzie się plotkami i napaściami złych ludzi, ale nie umie się przeciw nim bronić, bo jest nieporadny, Kraszewski był mężem dzielnym i umiał sobie w życiu dać radę. Nie zrażał się trudnościami, lecz pracował wytrwale, aby je usunąć.

---



Po upadku powstania w r. 1831. Polacy byli bardzo nieszczęśliwi. Nieprzyjaciele prześladowali i tępili zaciekle religię katolicką i narodowość polską. Wielcy panowie, szlachta i duchowieństwo, to jest warstwy oświecone doznawały srogiego ucisku ze strony wrogich rządów zaborczych i nie śmiały nawet myśleć o ratowaniu polskości. Chłopi żyli w nędzy i ciemnocie i z małymi wyjątkami nie rozumieli nawet strasznej klęski, jaka ojczyznę spotkała. Żydzi, którzy mieszkali na polskiej ziemi, nie uważali się za Polaków. Wielcy poeci: Mickiewicz, Słowacki i Krasiński żyli na wygnaniu, w kraju panowało przygnębienie i rozpacz.

W takiej chwili zaczęły się pojawiać pierwsze drukowane powieści Kraszewskiego, które głosiły narodowi, że nie wszystko jeszcze stracone. Wprawdzie Polacy nie mają swojego państwa ani króla, ale pozostał naród, którego żadna przemoc nie wytępi, jeżeli sam się nie zgubi przez własne wady i winy. Żaden wróg nie zdoła nam wydrzeć najdroższego skarbu, to jest języka ojczystego; dokąd zaś będzie dźwięczała mowa polska, dotąd będą istnieć Polacy. W tym pięknym języku przemawiał Kraszewski do narodu i przekonał ziomków, że polskie książki są piękniejsze niż francuskie, które dotychczas czytali. W swych powieściach wzywał autor szlachtę i wielkich panów, aby się pozbyli wad: pychy, niezgody, różrzutności, lenistwa, zachęcał ich, aby oświecali lud i dźwigali go z nędzy. Żydów pragnął zamienić przez swoje pisma w gorliwych Polaków. Wierzył Kraszewski niezłomnie, że, gdy wszyscy Polacy będą pracować w miłości i zgodzie pan z chłopem i mieszczaninem, gdy wszyscy będą kochali ojczyznę gorąco i rozumnie, to Polska dźwignie się z upadku.

Sam dawał narodowi przykład olbrzymiej pracowitości: napisał około sześciuset tomów powieści, komedyi, dramatów, poezyi i dzieł naukowych. Przez 57 lat pisał dla wszystkich i o wszystkim: o chłopach, rzemieślnikach, mieszczanach, szlachcie, magnatach, żydach, o szkole, o religii, o przemyśle i handlu, o polityce, o biednych i bogatych, o smutnych i szczęśliwych. Zajmował się gospodarstwem,



wydawaniem czasopism i gazet, malarstwem i muzyką. Był dyrektorem teatru, kuratorem szkół i założycielem Macierzy polskiej. Budził życie narodowe tam, gdzie ono gasło, dodawał odwagi, pocieszał, napominał, wyśmiewał wady, udzielał rad i przestróg. Wiedział o wszystkim, co się w całej Polsce działo i brał udział we wszystkich ważniejszych sprawach narodowych. Pracował w młodości i starości, w kraju i za granicą, na wolności i we więzieniu; wiek podeszły, choroba, nieszczęścia nie potrafiły zmniejszyć ani osłabić jego pracowitości, energii i wytrwałości. Książki jego zachęciły wielu do pisania, a cały naród do czytania polskich powieści, z których się uczymy rozumnej miłości ojczyzny, oraz tego, co dobre, użyteczne i szlachetne. Takich ludzi należy czcić i naśladować!



## T R E Ś Ć.

---

	Str.
Przedmowa . . . . .	5
CZĘŚĆ PIERWSZA. — ŻYCIE J. I. KRASZEWSKIEGO.	
W Dołhem i Romanowie. — W Białej, Lublinie i Świsłoczy . . .	11
We Wilnie . . . . .	23
U rodziców i w Horodcu . . . . .	29
W Gródku . . . . .	35
W Hubinie i Żytomierzu . . . . .	43
W Warszawie . . . . .	51
W Dreźnie. — Śmierć na tułactwie. . . . .	54
CZĘŚĆ DRUGA. — O POWIEŚCIACH J. I. KRASZEWSKIEGO.	
A) Powieści historyczne . . . . .	73
Stara baśń . . . . .	74
Powrót do gniazda . . . . .	97
Hrabina Cosel . . . . .	113
Rzym za Nerona . . . . .	127
B) Powieści współczesne. . . . .	140
1) Powieści ludowe . . . . .	140
Ulana . . . . .	143
Budnik . . . . .	149
Ostap Bondarczuk . . . . .	157
Jaryna . . . . .	164
2) Powieści szlacheckie . . . . .	173
Ostatni z Siekierzyńskich . . . . .	173
Morituri . . . . .	183
3) Powieści z życia autora . . . . .	200
Powieść bez tytułu . . . . .	200

---







20-

ANTYKWARIAT

DOM  
KSIĄZKI  
DOM

D N° 271373

POLITECHNIKA KRAKOWSKA  
BIBLIOTEKA GŁÓWNA

**II** 37376  
L. inw.

Kdn. Zam. 480/55 20.000

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



10000231520